

SMOLEŃSK PAMIĘTAMY
10/04 DEKADĘ PÓŹNIEJ

WYDANIE SPECJALNE NA ŚWIĘTA TYLKO ZA 6,90 ZŁ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 15 (384) 2020
6–13 kwietnia 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

ZWYCIĘZCA ŚMIERCI, PIEKŁA I SZATANA

JEŻELI PAN BÓG PRZEMAWIA PRZEZ WYDARZENIA, TO TRUDNO O BARDZIEJ WYMOWNE NIŻ OBECNE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

W NUMERZE

GÓRNY: WIELKANOC W CZASACH ZARAZY
PROF. HOŁÓWKA: JESTEŚMY W STANIE WOJNY
ROKITA: ŚWIAT SIĘ ZATRZYMAŁ. CZY MUSIAŁ?
JANECKI: BYE-BYE MAŁGOSIU, CZYLI KLĘSKA PO
NYKIEL: CZY OPOZYCJA NAM ZWARIOWAŁA?
PROF. MIZIOŁEK: RAFAEL – POCHWAŁA PIĘKNA W CZASACH BRZYDOTY
DŁUGOSZ: OSOBISTY ROZRACHUNEK Z KULTURĄ
RADZIWIŁŁ: TO NAZWISKO ZOBOWIĄZUJE

95 lat POLSKIEGO RADIA

POLSKIE RADIO

Unikatowe albumy okolicznościowe związane z obchodami 10. Rocznicy Katastrofy pod Smoleńskiem. Wydawnictwa stanowią fonograficzny i edytorski wyraz narodowej pamięci.

Patronat: Rada Mediów Narodowych



Smoleńsk – ostatnia misja. Pamięci Ofiar katastrofy smoleńskiej w 2010 roku

Lista 96. Ofiar Katastrofy z biogramami, dwa kanoniczne dla polskiej muzyki utwory – „Epitafium katyńskie" Andrzeja Panufnika oraz III Symfonia – „Symfonia pieśni żałosnych" Henryka Mikołaja Góreckiego.

Prezydent RP Lech Kaczyński. Świadectwo

Pełne fonograficzne kompendium wiedzy na temat prezydentury prof. Lecha Kaczyńskiego, na pięciu płytach CD archiwalne wypowiedzi Prezydenta uzupełnia przeszło sto fotografii.

www.sklep.polskieradio.pl

eprasa.pl fe81096850



Niech radość ze Zmartwychwstania Pańskiego będzie dla nas źródłem nadziei.

Niech ten wyjątkowy czas, w tym roku jeszcze bardziej niezwykły niż zazwyczaj, rozgoni nasze zwątpienia.

Niech dobro zwycięży nad złem, a życie nad śmiercią.

Zdrowych i wesołych świąt Wielkiejnocy życzy redakcja tygodnika „Sieci”



Stabilność cenniejsza niż złoto

„Ukradzione zwycięstwo”, „Wybory przełożone. Czy na zawsze?”, „Koniec polskiej demokracji?”, „Zamach stanu” – tak opozycyjne media tytułowałyby swoje artykuły, gdyby w sondażach prowadziła np. Małgorzata Kidawa-Błońska. Presja na przeprowadzenie elekcji byłaby ogromna. Podkreślano by, że dojrzałe demokracje głosują nawet w czasie wojny, że to jest w istocie święta sprawa. Wskazywano by na udane głosowanie korespondencyjne w Bawarii czy na Koreę Południową, która szykuje się do wyborów parlamentarnych zaplanowanych na 15 kwietnia (maseczki dla wyborców, sprawdzanie temperatury, dezynfekcja lokali wyborczych). Tak by było, ale nie jest – wyłącznie z tej przyczyny, że stawka kandydatów opozycyjnych nie zachwyciła w tej kampanii. Owszem, notowania Andrzeja Dudy rosną w czasie kryzysu, ale przecież i wcześniej był on zdecydowanym faworytem. Dla kontrastu – kampania Kidawy-Błońskiej zamieniła się w groteskę.

Polskę – i cały świat – czekają bardzo trudne lata. Zapaść gospodarcza może się okazać tak głęboka, że konieczne będą bardzo bolesne decyzje. Kryzys może uruchomić procesy społeczne, które sprawią, że wszystko stanie się możliwe, wręcz wybuchowe. Jak będzie wyglądała kampania wyborcza w takim otoczeniu? Czy Polskę stać na to, by w tak kluczowym momencie, zamiast walki o miejsca pracy, toczyła się walka wyborcza z udziałem totalnej, skrajnie nieodpowiedzialnej opozycji? Wybory należałoby przeprowadzić w terminie konstytucyjnym, przy zachowaniu najdalej idących środków bezpieczeństwa epidemiologicznego. Głosowanie korespondencyjne było tu idealną propozycją. Było też wykonalne – pod warunkiem zgody w obozie rządzącym i pełnej mobilizacji.

Kiedy piszę te słowa, nie wiadomo, czy uda się wprowadzić takie zmiany w Kodeksie wyborczym, które umożliwią przeprowadzenie wyborów w maju. Jeśli okaże się to niemożliwe, trzeba dążyć do wyborów w pierwszym kolejnym możliwym terminie, czyli w wakacje (30 dni stanu klęski żywiołowej, wybory możliwe po 90 kolejnych dniach od jego zakończenia). Miałoby to tę zaletę, że operacja zostałaby przeprowadzona w najcieplejszym okresie roku. To ważne, ponieważ pierwsze ustalenia naukowców brytyjskich i włoskich wskazują, że koronawirus rozprzestrzenia się sezonowo, podobnie jak grypa, a sprzyjają mu szczególnie niskie temperatury. Co ważne – wydaje się, że ewentualne przesunięcie wyborów o kilka miesięcy nie przerwie procedury wyborczej. Będzie to oznaczało, że o prezydenturę tak czy siak powalczy ta sama pula kandydatów.

Jedno jest pewne: sprawę wyborów trzeba albo załatwić szybko, albo odłożyć na naprawdę długo. Polska musi się zmierzyć z kryzysem, mając władze, które mocno i pewnie trzymają stery państwa.

Jacek Karnowski

Reklama | 33/0320/F

eprasa.pl fe81096850

SIECI

spis treści



38 *Zamrożeni. Na jak długo?* *Konrad Kołodziejski*



46 Z Michałem Wosiem *rozmawia Marcin Fijołek*



76 Gdzie jest złoty tron? *Przemysław Barszcz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PODOREDZIE**
Krzysztof Feusette

10 **EDUKACJA TO NIE KORPORACJA**
Dorota Łosiewicz

12 **HOMINIDZI KONTRA NANOPOTWORY**
Jan Pietrzak

13 **O POKORZE**
Bronisław Wildstein

14 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

16 **KOSTUCHA I GEN AUTODESTRUKCJI**
Andrzej Rafał Potocki

17 **MAMA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ZDJĘCIA Z PODRÓŻY PRZED KORONAWIRUSEM: KRZYSZTOF ZIEMIEC**
Michał Korsun

19 **WAŻNIEJSZE OD LUDZKIEGO ŻYCIA**
Dominik Zdort

WIELKANOC W CZASIE ZARAZY

22 **PUSTY PLAC, PŁACZĄCY KRZYŻ**
Grzegorz Górny

26 **Z PROF. JACKIEM HOŁÓWKĄ**
rozmawia Maja Narbutt

30 **GDY ŚWIAT SIĘ ZATRZYMAŁ**
Jan Rokita

KRAJ

34 **BYE-BYE MAŁGOSIU!**
Stanisław Janecki

36 **EGZAMIN Z POLITYCZNEJ ODPOWIEDZIALNOŚCI**
Marzena Nykiel

38 **ZAMROŻENI. NA JAK DŁUGO?**
Konrad Kołodziejski

42 **WIRUSOWA ZAGŁADA LIBERALIZMU**
Janusz Sytnik-Czetwertyński

43 **KORONAWIRUS POMOŻE TRUMPOWI?**
Aleksandra Rybińska

46 **Z MICHAŁEM WOSIEM**
rozmawia Marcin Fijołek

SMOLEŃSK PAMIĘTAMY

50 **10/04 DEKADĘ PÓŹNIEJ. OBRAZY SMOLEŃSKIE**
Marek Pyza, Marcin Wikło

56 **RODZINA SMOLEŃSKA**
Tomasz Łysiak

NA ŚWIĘTA

58 **Z JERZYM MIZIOŁKIEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

62 **IDEOLOGIA NA MAPIE**
Konrad Kołodziejski

65 **Z LESZKIEM DŁUGOSZEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

69 **OSPA NAD ODRĄ**
Wojciech Lada

72 **Z MACIEJEM RADZIWIŁŁEM**
rozmawiają Michał Karnowski i Andrzej Potocki

76 **GDZIE JEST ZŁOTY TRON?**
Przemysław Barszcz

80 **INACZEJ NIŻ ZAWSZE**
Anna Monicka

82 **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

84 **Z TOMASZEM CHRÓSTNYM**
rozmawia Maciej Wośko

96 **TABLETKI JAK WOJSKO, CZOŁGI I MYŚLIWCE**
Piotr Filipczyk

PODRÓŻE

98 **MOJE SZLAKI: NORBI**
Jolanta Gajda-Zadworna

99 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

100 **TO SIĘ NIE UDA**
Wojciech Reszczyński

101 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

102 **WICEK**
Aleksander Nalaskowski

103 **ŚCIEMA NIC NIE DA**
Wiktor Świetlik

104 **WIELKANOCNA LITURGIA DOMOWA**
Ryszard Makowski

105 **MODLITWA ZA NICH**
Leszek Długosz

106 **PRZERWA W ZABAWIE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 32/0320/F

eprasa.pl fe81096850



Zdrowych i spokojnych Świąt Wielkanocnych,
pełnych nadziei i miłości.
Niech Zmartwychwstanie, które niesie odrodzenie,
otuli Państwa serca pokojem i wiarą.

GRUPA CEDROB

eprasa.pl fe81096850



Sygnalista nadaje

Podczas posiedzenia Sejmu, na którym głosowano zmiany w regulaminie, ***Sławomir Nitras*** zaczepiał ***Jarosława Kaczyńskiego***. „Panie prezesie, jak Polak z Polakiem... ja z zaboru pruskiego, pan... A pan wie, panie prezesie, że mam książkę z dedykacją...” – pokrzykiwał, nawiązując do sytuacji z 1991 r., gdy wspierał w kampanii wyborczej Porozumienie Centrum i otrzymał publikację z dedykacją. Prezes PiS przez jakiś czas ignorował zaczepki Nitrasa, w końcu jednak odpowiedział: „Ja wiem, że ja jestem z wolnej Polski, a z zaboru pan, to widać”. Notujemy dla przyszłych pokoleń, żeby wiedziały, o co chodziło w polskich sporach.

Wiceprezydent stolicy ***Paweł Rabiej*** podzielił się ze światem taką oto refleksją: „Nocne obrady Sejmu dobitnie pokazały, że Polska mierzy się naraz z dwiema zarazami. Pierwszą – mniej groźną – jest koronawirus. Drugą – PiS i Kaczyński. Wybory w maju to absurd i skrajny cynizm. Obie zarazy zabijają. I obie musimy w najbliższych miesiącach pokonać”. Zdecydowanie zbyt ambitny plan. Skończy się na zwycięstwie nad zarazą numer 1 i zwycięstwem zarazy nr 2.

Aleksander Kwaśniewski, który z powodu zarazy utknął w Davos, też snuje opowieści o „wirusie Jarosława Kaczyńskiego”. Były prezydent jest przekonany, że wyborów 10 maja nie będzie, ale zastrzega, że jest jeden element, który wszystko może zmienić. To „zdyscyplinowany elektorat PiS, który nie bacząc nawet na ryzyko utraty zdrowia czy życia, zasiądzie w komisjach wyborczych i pójdzie na wybory”. To sensowna opinia. Ale to nie wzięło się znikąd. To premia za konsekwencję i przede wszystkim za cnotę dzielności.

„Potrzebny jest program pomocy mediom” – ogłosił na portalu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Łukasz Warzecha, znany zwolennik skrajnego ograniczania funkcji państwa. Jak uzasadniał, chodzi o program, który „dawałby mediom, szczególnie tym najbardziej narażonym na skutki kryzysu, szansę przetrwania, z uwzględnieniem ich całej specyfiki – w tym specyfiki tych najmniejszych, dotychczas działających tylko za sprawą hojności ich czytelników”. Tekst opublikowano 31 marca, więc to nie był żart primaaprilisowy. Ale i tak wyszło bardzo zabawnie.

A wybory muszą się odbyć 10 maja, tym bardziej że jest jeszcze sporo czasu i można się przygotować, tak jak Bawaria, w której głosowano korespondencyjnie, albo Korea Południowa, która 15 kwietnia pójdzie do urn (każdy wyborca w maseczce, mierzenie temperatury, cykliczna dezynfekcja lokali). Jeśli wrzeszcząca opozycja uzyska prawo do wyznaczania terminu głosowania, to wybory są właściwie niepotrzebne, bo wiadomo, kto rządzi. Poza tym: nie stać nas na kolejne miesiące politycznej walki. Kryzys gospodarczy będzie głęboki.

Jak odpowiedzieć na ów kryzys? Jan Śpiewak chce iść metodą Janosika: „Nie będzie lepszego czasu, by wprowadzić podatek od fortun i zlikwidować raje podatkowe. Jest dość kasy na świecie do walki z epidemią i skutkami kryzysu. Wystarczy opodatkować tych, którzy okradali nas, niszcząc planetę i społeczeństwa w imię chciwości i krótkoterminowych zysków”. Lewicowe recepty bywają słuszne, ale w Polsce tylko wówczas, gdy realizuje je PiS. Lewica nie zna umiaru.

Roman Giertych ma propozycję: „Ogłaszam amnestię dla pierwszych 10 posłów PiS, którzy opuszczą klub parlamentarny i przejdą do opozycji. Mogą liczyć na moje zaangażowanie w obronę przed potencjalnymi zarzutami związanymi z ich dotychczasowym

eprasa.pl fe81096850

udziałem w tej grupie. Amnestia oczywiście nie dotyczy kierownictwa". Doświadczenie uczy, że w sytuacji kryzysowej lepiej sięgnąć po jakiegoś bardziej stabilnego mecenasa.

Przy okazji ustawy antykryzysowej i zmian w regulaminie opozycja pokłóciła się solidnie, ale jest to tak zawiłe, że nawet nie chce się wnikać. Warto jednak odnotować słowa ***Władysława Kosiniaka-Kamysza***, który zadał takie oto pytanie: „Czy jakby PiS wpisał do ustawy antykryzysowej, że Jarosław Kaczyński zostaje królem Polski, to PO też by za tym zagłosowała?". PO pewnie by nie zagłosowała, ale sam pomysł bardzo ciekawy.



Szymon Hołownia skierował pytanie do Władysława Kosiniaka-Kamysza: „Kto finansuje Twoją kampanię? 8,3 mln zł z budżetu państwa, naszych podatków na PSL, a my robimy obywatelski ruch i prowadzimy obywatelską zbiórkę. Mi partia nie da" – mówił „niezależny kandydat". Tia... Ale to dobry pomysł, by zaapelować o ustawę o jawności finansowej tzw. prekampanii. Chodzi zwłaszcza o kandydatów, za którymi mogą stać oligarchowie lub wielkie koncerny medialne.



Hołownia, który w jednym z sondaży spadł poniżej 3 proc., zaczął krzyczeć. Co nagranie to głośniej. Wygląda to więcej niż groteskowo, a najlepiej, gdy wyłączy się głos. W jednym z filmików Hołownia narzeka na „bezjajectwo" polityków i deklaruje: „Ja nie mogę na to patrzeć spokojnie i nie będę patrzył spokojnie!". Twierdzi, że tego właśnie ludzie oczekują dziś od „odpowiedzialnego lidera". Co najlepsze – ma chyba na myśli siebie samego.



Lider Ruchu Narodowego Robert Winnicki twierdzi, że kandydat Konfederacji rośnie w siłę i dlatego jest mocno atakowany. „Szczujnie wyczuły, że na głównego rywala wyrasta Dudzie Krzysztof Bosak. TVP, GazPol, Sieci i inne gadzinówki ruszyły z całą mocą. Bój to ich ostatni. Pisowskie ośrodki medialne, realizując równolegle propagandę »sukcesy rządu w walce z epidemią« polegną wkrótce na tym głównym froncie". To jednak prawda, że oni żyją w bunkrze.



Kandydat Bosak poskarżył się na ciężki los młodzieży. „Ciężkie czasy dla nastolatków: z jednej strony nie wolno im wyjść z domu bez rodzica. Z drugiej strony, jak już wyjdą z rodzicem, to nie wolno im się do niego zbliżyć na mniej niż dwa metry. Jedyne, co im wolno, to najwyraźniej siedzieć w domu i oglądać prezydenta na TikToku". Wbrew zarzutom nikczemników nie mówił o sobie, jest sporo starszy.

Donald Tusk wysłał list do członków Europejskiej Partii Ludowej, w którym zapowiedział powrót do dyskusji nad członkostwem Fideszu w tej strukturze. Bo – jak twierdzi – przy okazji epidemii Orbán wziął zbyt dużo władzy. Odpowiedział mu premier Słowenii Janez Janša, także chadek, choć naprawdę twardy: „Drogi Donaldzie Tusk, prosimy, przyślij nam i krajom na południe od nas trochę wyposażenia do ochrony osobistej. Respiratory są także potrzebne i byłyby przyjęte z wdzięcznością. Dziękuję". Tusk nie odpowiedział. On nigdy nie był od ciężkiej roboty.

Niemiecka prasa atakuje Orbána, bo ogłosił stan nadzwyczajny i tym samym odwołał bezterminowo wszystkie wybory. Atakuje też Kaczyńskiego, bo chce robić wybory. Korespondent „Süddeutsche Zeitung" w tekście pt. „Blisko zamachu stanu" ocenia, że „niedemokratyczne jest już samo trwanie przy wyborach w trakcie faktycznego stanu wyjątkowego". Co pisałby, gdyby prowadziła Kidawa i rząd chciał wybory przełożyć?

Jerzy Owsiak też chce pomóc, ale robi to jak zwykle, czyli tak, by dokuczyć tym, których nie lubi. Najpierw kupił w Chinach artykuły medyczne, a później zażądał, by towar przywiozło do Polski... Ministerstwo Obrony Narodowej. Jak relacjonuje, kancelaria premiera „postawiła zaskakujące wymagania i mówiąc krótko – w minutę osiem cały plan wykorzystania transportu MON legł w gruzach". Państwo polskie stać na sprzęt i medykamenty, nie potrzebuje „zatrutych podarunków", które okazują się pułapką i marnowaniem cennego czasu.

Ale to nie koniec sprawy. Szef KPRM Michał Dworczyk: „W ubiegły piątek przedstawiciele Fundacji WOŚP zostali poinformowani o gotowości udzielenia rządowego wsparcia w ramach mostu powietrznego identycznego dla wszystkich NGOs, samorządów etc. Do dziś żaden pracownik organizacji nie wrócił do nas z deklaracją współpracy". Czyli nie dość, że kreują problemy w czasie zarazy, to jeszcze nie mówią prawdy?

„Rzeczpospolita" – dokładnie w rocznicę śmierci Jana Pawła II – zaprosiła do rozmowy o wyborach satanistę Nergala. Satanista „jest zwolennikiem tego, żeby wybory prezydenckie przełożyć i nie narażać zdrowia ludzi". Sądzi też, że „Polacy przegonią tę władzę tak, jak przegonili komunistów". Ktoś, kto to wymyślił, też musi być z jakiegoś zaboru.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Mateusz Żelnik

eprasa.pl fe81096850

Podorędzie



KRZYSZTOF FEUSETTE

Szanowne chamstwo..., to znaczy państwo, szanowni, mamy w poście... w Polsce... chorobę pokaźną... zakaźną – o nazwie wirus... kurnawirus... korona... I trzeba zdobić wszystko... zrobić..., żeby ją... jego... podtrzymać... powstrzymać...

Dobra, przerwa, bo z tego zmęczenia zacznę zaraz słowa zakręcać... przekręcać... Panie Bartłomieju... Bartoszu..., możemy przećwiczyć teraz to do Sejmu? Okey, czyli tak... Ja was okrążam! To znaczy oskarżam! Poszukiwaliście nas! Oszukiwaliście! Od początku ukrywaliście zdradliwą Wanię... wadliwą Danię... drażliwą... wrażliwe danie... dane... nosz, cholera ciemna... jasna...

Nie, ja się muszę skonstruować... skoncentrować... Zarzynam od początku... zaczynam... Więc, choć nie zaczyna się od „więc", oskarżam was, że nic nie broiliście... broniliście... robiliście... Już dawno mówiliśmy wam, że poprzedni jest... że potrzebny jest tost dla każdego... test... na chorobawirusa... korona... Na pochodzie Europy... zachodzie... każdy, kto chce, może nawrócić się... zwrócić się – z groźbą... prośbą... o taki tekst... test..., o takie baranie... o takie badanie. I oni albo je zarobią... zrobią..., albo nie. To znaczy tak. To nie jest najfajniejsze... najważniejsze, tylko to, że nie da się dziś rozbić... robić... kompanii wyborczej... kampanii... kiedy na luzie... na ludzi... spada taki czas... takie coś... taki cios, jak ta fińska... grupa... grypa... chińska. Ten kolanowirus...

Koledzy, czy ja się nie za często myję? To znaczy mylę? Bo, jakby co, to mi pogrzebcie... powiedzcie... To jeszcze można potrafić... poprawić... Muszę napocząć... odpocząć... Sława horroru... humoru... honoru... Słowo.

Dobra, jestem gotowa... Zaczynamy, na początek się szczerzę... na początek chciałam szczerze: jestem zniesławiona... zniesmaczona postawą pana Schetyny. Jego słowa o tym, że jeśli zmieni się termos... termon... termin wyborów, to wszystko jest podarte... otwarte – były nie na miejscu. Bo mogły podpinać... podcinać... skrzydła kandydatce, która nie musi wcale spać w pozycji na straceńca... spać na straconej pozycji... stać. Także Krzysiu... Grzesiu... uważaj, co mówisz, bo te słowa mogą się kiedyś przewrócić... odwrócić naprzeciwko ciebie... tobie, przeciwko.

A teraz zwracam się do innych kandydatów, którzy szturmują... startują, a raczej mieli startować w wyborach prezydenckich. Do pana Hołowczyca, pana Boskiego, pana Kociniaka i pana Bidona, przepraszam, jeśli przekręciłam nazwisko – my wszyscy musimy dziś odjąć... podjąć najważniejszą decyzję w naszej politycznej kamerze... karierze. Te wybory nie mogą się odbić... odbyć, nie możemy zarażać... narażać ludzi na takie niebezpieczeństwo jak głosowanie na Dudę! Czy nie widzieliście cmentarzy... sondaży?! Czy nie rozumiecie, że społeczeństwo jest gotowe zagłosować na tego łapacza... łamacza konstytuści... konstytucji? Musimy powstrzymać tę zarazę, mówię o PiS-ie, bo zgadzam się z kolegą Ragiejem... Rabiejem..., że to taka sama zaraza jak ten kurna.... świrus... korona...

Ale jest na nich szczepionka, chlorocholera chińszczyzna... chloro... chinina... i to my będziemy tą cholerą! Wycofajmy się z tej nierównej walki, zostawmy Dudę w domu, jak skandują moi poborcy... wyborcy... z Komitetu Obory Demonstracji... Demokracji... Ochrony... Obrony... O, Boże... Mam nadzieję, że to wyrżniecie... wytniecie... Bo chyba się pomyliłam. To ze zmęczenia. Potwornie męcząca jest taka kompania bez kąpania... bez kampari... bez kampanii. Poproszę o werwę... przerwę...

Wzywam z batem... zatem... wszystkich kandydatów, i kandydatki, nie, przecież siebie nie wzywam, wzywam tylko kandydatów: przystąpcie do mojego bojkotu. Ja osobiście, jeśli o mnie chodzi, a przecież chodzi, zawieszam wielką... wszelką działalność i od dziś będę rąbała... robiła tylko to, co zdobiłam... robiłam do tej pory. Ktoś może zapytać, co w takim razie zamieszam... zawieszam... ale nie odpowiem na to pytanie. Na razie wzywam kandydatów, by się wykręcili... wykreślili z listy wyborczej, i dzięki temu pandemia... pan Duda... nie będzie mógł wygnać... wygrać... drugiej karencji. Kadencji.

Zresztą, co mi tu... to znaczy: co mi tam. Dostatecznie... ostatecznie stać moją ogromną... skromną... osobę na to, by dziurawców... wejść... wyjść przed szereg i ogłosić pełne zawierzenie... zawieszenie... mojej kampanii. To znaczy – ja te wybory bojkotuję. I to aż do tego Stępnia... stopnia, że mogę w każdej chwili zbojkotować nawet własny bojkot. Co też nienijszym... ni... niejszym, ni nie nejszyn... nejszym... czynię. I stąd przemysł... pomysł na to podorędzie... orędzie... Orędzie, dodajmy, bez żadnych respiratorów... inspiratorów, bo ja, jak łatwo zważyć... zauważyć..., doradców za bardzo nie mam.

Aha, bobym zapodała... zapomniała: w związku z tym, że do bojkotu zgładziłam... zgłosiłam się jako pierwsza, wszystkie głosy nieoddane w najbliższych wyborach postponuję... proponuję... policzyć jako moje. Dziękuję za zniewagę.

Reklama | 62/0320/F

eprasa.pl fe81096850

Sprawdzaj wiarygodne źródła:

www.gov.pl/koronawirus
Bezpłatna infolinia 24/7:
800 190 590

KPRM

Tarcza Antykryzysowa

Skorzystaj pracowniku, skorzystaj pracodawco

2 tygodnie. Tyle czasu minęło od pierwszej prezentacji założeń Tarczy Antykryzysowej do jej wejścia w życie. Od początku kwietnia, pracownicy oraz pracodawcy mogą korzystać z konkretnych rozwiązań chroniących miejsca pracy i kondycję finansową polskich firm.

Bezpieczeństwo pracownika

Dopłaty do pensji – nawet do 40% przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce dla pracownika w firmach, którym znacząco spadły obroty.

Postojowe – dopłata państwa do pensji dla pracownika w firmach, które zmuszone są do przestoju ekonomicznego.

Świadczenie gwarantowane – ok. 2 tys. zł dla osób samozatrudnionych i pracujących w oparciu o umowę zlecenie czy dzieło.

Wakacje kredytowe – możliwość zawieszenia spłaty kredytów: hipotecznych, konsumpcyjnych (klienci indywidualni) i kredytów dla przedsiębiorstw.

Przesunięcie płatności za prąd i gaz – w porozumieniu z dostawcami mediów, stworzony zostanie mechanizm, umożliwiający odsunięcie w czasie rachunków za prąd lub gaz.

Walka ze wzrostem cen – Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów już kontroluje i monitoruje codzienne ceny podstawowych artykułów spożywczych. UOKiK ma do dyspozycji szeroki wachlarz sankcji i kar dla nieuczciwych podmiotów.

Bezpieczeństwo pracodawcy

Bez składek ZUS – zwolnienie ze składek ZUS przez 3 miesiące dla samozatrudnionych i firm zatrudniających do 9 pracowników.

Bezzwrotna pożyczka – 5 tys. zł dla mikrofirm (do 9 pracowników), jeśli nie zwolnią swoich pracowników przez najbliższe 3 miesiące.

Przedłużenie kredytów obrotowych – wznowienie bez problemu przez bank kredytu obrotowego firmy, jeśli kończy się jego termin

Rozszerzenie gwarancji – możliwość uzyskania przez małe i średnie firmy, kredytu z gwarancją de minimis do wysokości 3,5 mln złotych. Zmiana pozwala na objęcie gwarancjami do 80 proc. kwoty kredytu.

Wsparcie płynności – możliwość uzyskania przez średnie i duże firmy podwyższenia kapitału lub finansowania w postaci obligacji. Polski Fundusz Rozwoju (PFR) przeznacza na to 6 mld zł.

Wsteczne rozliczenie strat – odliczenie straty poniesionej w 2020 r. od dochodu uzyskanego w 2019 r. Będzie można odliczyć stratę do wysokości 5 mln zł.

Czytaj więcej na specjalnie przygotowanych stronach:

www.gov.pl/web/tarczaantykryzysowa – tu znajdziesz informacje o rozwiązaniach z podziałem na wielkość firmy i opis wszystkich 5 filarów Tarczy.

www.pfr.pl/tarcza – tu znajdziesz i ściągniesz kompletny oraz przystępnie napisany przewodnik antykryzysowy dla przedsiębiorców.

Więcej informacji znajdziesz na stronie: www.gov.pl/koronawirus

KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

Tarcza Antykryzysowa

eprasa.pl fe81096850

WIEŻA BAB

Edukacja to nie korporacja

Dość szybko poczułam się w moim mieszkaniu jak w naszpikowanym kamerami domu Wielkiego Brata

Gdy kubek z kawą na stole zaczął się podejrzanie trząść, a drewniany sufit nad moją głową wydawać dźwięki, jakby przebiegał tam średnich rozmiarów słoń, zaniepokoiłam się, czy aby do epidemii nie dojdzie nam jeszcze trzęsienie ziemi. Jednak mąż nie zdradzał oznak niepokoju. Gdy otworzyłam usta, żeby zapytać, co się dzieje, po schodach sturlało się zasapane coś, domagające się dwóch butelek wody. To była moja 14-latka.

– Aż tak ci się chce pić? – zapytałam.

– Woda stoi na podłodze – ze stoickim spokojem odpowiedział mąż.

– Co tam się dzieje? – zdążyłam wrzasnąć, ale dziecka już nie było.

Spojrzałam więc na męża, zamieniając twarz w znak zapytania.

– No przecież WF ma – odpowiedział niewzruszony.

A był to drugi dzień od wprowadzenia nowych przepisów dotyczących kształcenia na odległość, które mają obowiązywać (przynajmniej na ten moment) do 10 kwietnia. Dzięki rozporządzeniu MEN możliwe ma być prowadzenie kształcenia na odległość w okresie czasowego ograniczenia funkcjonowania szkół i placówek oświatowych w związku z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19.

To, co dla jednych jest na odległość, dla mnie jest na wyciągnięcie ręki. Zaciekawiona poszłam na górę. Zajrzałam do pokoju. Córka machała butelkami jak hantlami, a na monitorze laptopa mniej więcej to samo robiło kilka koleżanek i pani od WF.

– Mamo, sio! Przeszkadzasz w lekcji – usłyszałam.

Dwa tygodnie temu opisywałam państwu problemy z dostępem do sprzętu, które spadły na nas jak grom z jasnego nieba, gdy okazało się, że szkoły są zawieszone, ale edukacja nie. Udało nam się jakoś przebrnąć przez ten wstępny etap domowej edukacji, choć nie sądzę, by paru milionom rodzin poszło równie gładko i byśmy z dnia na dzień stali się drugą Finlandią. No ale w naszym domu wirtualna szkoła jakoś zaczęła działać. Przynajmniej w tych łatwiejszych przypadkach (czyli dziewczyny), bo o tych trudniejszych zaraz.

Generalnie dość szybko poczułam się jak w naszpikowanym kamerami domu Wielkiego Brata. Dzień później, gdy już dochodzący z Mai pokoju hiszpański, angielski czy ogólna wesołość mimo braku realnych towarzyszy przestały mnie dziwić, zaskoczyło mnie co innego. Po zwyczajowym porannym prysznicu, zawinięta w szlafrok, z turbanem na głowie wyszłam zrobić sobie kawę. Wtedy zganiła mnie moja 10-latka:

– Mamo, ogarnij się! Mam telekonferencję z wychowawczynią.

Zamarłam, bojąc się zrobić krok dalej, rozejrzałam się, czy gdzieś mogą mnie tropić jeszcze jakieś kamerki i przypomniał mi się wpis na forum jednej ze szkół: „Kochani rodzice, bardzo prosimy, ubierajcie się, będąc w zasięgu kamerek internetowych, ponieważ pewnych rzeczy nie da się odzobaczyć”.

Na szczęście z przedszkolem jest nieco łatwiej. To, co dziecko powinno zrobić, wisi na stronie internetowej. Zgodnie z zaleceniami latałam więc już jak bocian, skakałam jak żaba, muczałam jak krowa, beczałam jak owca, gdakałam jak kura, a na środku kuchni miałam stawik (koc), do którego wskakiwały gąski (cudna rytmika z panią Elizką).

Na szczęście lub na nieszczęście nie wszystkie lekcje odbywają się online, bo dzięki temu dzieci mogą się wymieniać sprzętem. U syna, który słabo ogarnia te wszystkie nowe systemy (albo udaje, żeby ograć system), najwięcej jest drukowania. Rosną więc kupki z kartami prac zrobionymi i do zrobienia (cierpliwości, drodzy nauczyciele, próbujemy mu wytłumaczyć partykuły i ostrosłupy – szacun dla was, że dajecie radę). I gdy właśnie sprawdzałam jedną z takich kart, wcielając się akurat w rolę polonistki, od mamy znacznie większej gromadki niż moja dostałam link do teledysku nagranego przez rodzinę Lusarów „KoronaEDUsong, edukacja to nie korporacja”, w którym dwie uczennice śpiewają:

„Wstrętny wirus odizolował nas. Jak najlepiej mogę spędzić ten czas? Pierwsza myśl: wreszcie zrobię wszystko to, na co chwili brak, gdy pędzimy wciąż. Lalkę uszyję, namaluję las, posadzę bluszcz, znajdę pannę wśród gwiazd, programowanie zacznę zgłębiać lub założę z rodzeństwem sportowy klub. Jednak na to czasu nie mam, bo nad lekcjami muszę siedzieć wciąż. Płyną maile z zadaniami, tematami, ćwiczeniami, przed oczami cyfry, głoski, plączą się, jak królowie Polski, karty pracy i zeszyty... Stop! Mam dość! A przecież edukacja to nie korporacja, życie, to nie zadań stos. Edukacja to nie korporacja. Niech dzisiaj zabrzmi ten głos! Bo przecież edukacja to nie korporacja, to nie wyścig, to nie bieg. Edukacja to nie korporacja. Niech przygodą stanie się”.

Pod rozwagę wszystkim.

Dorota Łosiewicz



Autopromocja

Zostaję w domu

A Ty?



ZAMÓW
E-PRENUMERATĘ SIECI

PROMOCJA!

~~19,99~~ **9,99/miesiąc** • ~~159,99~~ **89,99/rok**

WEJDŹ NA: **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl fe81096850

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Hominidzi kontra nanopotwory



Jan Pietrzak

Przeróżne scenariusze powstawały na temat wybuchu III wojny światowej. Powieści, filmy, dzieła naukowe, tajne raporty. Rozważano też nieraz możliwości wojny biologicznej. Jednak scenariusza, który realizowany jest obecnie, nikt nie przewidział.

A tu trwa wojna ludzi z wrogą inwazją. Że ta wojna ogarnia cały świat, to widać. A więc mamy wojnę światową. Nie wiemy jedynie, czy uprawnione jest wpisanie jej w ciąg wojen prowadzonych przez ludzi z innymi ludźmi.

Dwie światówki były bardziej zrozumiałe. Ludzkie plemiona zawsze z sobą walczyły. Dzidami, maczugami, na koniach szablami... Rewolucja przemysłowa sprawiła, że powstała nowa skala morderczych możliwości. Rezultaty postępu technicznego dały agresorom niesamowite możliwości eksterminacji nielubianych narodów. W wojnie państw centralnych z ententą w latach 1914–1918 zginęło ok. 20 mln ludzi. W wojnie państw osi z aliantami w latach 1939–1945 ok. 80 mln.

Obecnie toczy się wojna, którą wypowiedział gatunkowi ludzkiemu agresor z innego wymiaru. Z rzeczywistości gołym okiem niewidzialnej. Atakuje z zaskoczenia. Celu strategicznego i siły rażenia napastnika nie znamy. Przyzwyczajano nas w salach kinowych do walki światów. Do inwazji „obcych". W filmach tamten świat reprezentują na ogół istoty lub maszyny dużo większe. Dało się wypatrzyć ich słabe strony, mankamenty różnych predatorów, kosmitów, terminatorów, ufoludów. Obrońcy Ziemi mieli szansę w finale zaatakować słaby punkt i ocalić ludzkość. W tym przeświadczeniu opuszczaliśmy nieraz kino, prężąc muskuły z wiarą, że hominidzi obronią nie tylko swoją planetę w gwiezdnych wojnach, lecz także prześladowane ludy sąsiednich galaktyk.

Teraz mamy do czynienia z inwazją mikrobów, których wrednej natury nie znamy. Jeszcze do niedawna głównym wrogiem Ziemian była wysoka temperatura, globalne ocieplenie, emisja dwutlenku*, o czym przekonywali nas Al Gore i Greta Thunberg. Niemal z dnia na dzień koronaagresor spowodował, że „obrońcy klimatu" przestali zawracać nam głowy wydumanym zagrożeniem. Nowe zagrożenie jest realne jak cholera!

* Na ten temat warto obejrzeć bardzo ciekawy wykład prof. Jacka Rońdy na YT dla Blogpressportal, w klubie Ronina



Zrozumieć samego siebie

*Z aktorem **Bartłomiejem Kotchedoffem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Jaki miał pan motyw, przyjmując rolę w „Motywie"?

Bartłomiej Kotchedoff: I w tym przypadku, i za każdym innym razem staram się znaleźć jak najwięcej punktów wspólnych między postacią a sobą. Trochę poznać własne motywy poprzez przeżycia drugiego człowieka. Doświadczając postaci, spotykając się z nią, mogę lepiej zrozumieć samego siebie, odkryć, co tam we mnie jest.

I co odsłonili najnowsi bohaterowie?

Maks Porębski, którego gram w retrospekcji lat 80. ub.w. (dzięki temu lepiej poznajemy działania współczesnych postaci), ma na pewno ogromny apetyt na życie. To romantyczny, rozpoetyzowany wolny duch, trochę beatnikowski. Pragnie swobody, unika zobowiązań. W pewnym momencie zatraca się w relacjach, a potem rzeczywistość stawia mu granice, zostaje zmuszony do wzięcia odpowiedzialności za to, jak żyje.

Patrząc na pana role w serialach „Motyw" i „Zawsze warto", myślę, że w tym przypadku zdecydowanie „szata zdobi człowieka".

Chociaż w pierwszej postaci jestem bardziej punkowy, w drugiej zostałem opakowany w eleganckie garnitury (śmiech). Na szczęście adwokat Rafał Wardecki parę spraw przeżywa, trochę mu się życie komplikuje, dzięki czemu mogłem nie tylko wyglądać, ale też zagrać. Taką szansę dał mi również serial „Ludzie i bogowie" w reżyserii Bodo Koxa, świetnie opowiedziana historia oddziału likwidacyjnego AK. Tu mój bohater musi sam ze sobą walczyć, by nie wciągnęła go mroczna strona. Bardzo czekam na tę emisję.

Fot. TVN / FOKUSMEDIA.COM.PL

eprasa.pl fe81096850

BRONISŁAW WILDSTEIN

O pokorze

Pycha płodzi wiarę w ideologiczne utopie. Uniesieni nią wyobrażają sobie, że potrafią na nowo i całościowo zaprojektować świat. Domagają się jednoznacznych rozwiązań dla wszystkich problemów



Pandemia powinna być dla nas przede wszystkim lekcją pokory. Urojenia naszej epoki, że panujemy nad naturą, przekraczamy ją, dowolnie nią sterujemy, kruszą się w zderzeniu z nieszczególnie groźnym wirusem. Wyobraźmy sobie, co byłoby, gdyby, jak w wypadku eboli, jego śmiercionośność była radykalnie wyższa.

Wielkanoc stanowi fundamentalne święto religii chrześcijańskiej, które pozwala przeżywać zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Religia to konfrontacja z tajemnicą. Otwiera na to, co wyższe i nieobejmowalne dla człowieka. Każda religia zawiera w sobie pierwiastek tajemnicy wpisany w przekraczającą nas boską potęgę. Dlatego przeżywaniu jej towarzyszyć musi poczucie pokory. W doświadczeniu religijnym czujemy, że otwieramy się na coś, co jest nieskończenie większe od nas, a więc niemożliwe do ostatecznego poznania.

Współcześnie pokora nie cieszy się szacunkiem. Utożsamiana jest ze służalczością, serwilizmem, uniżonością. Charakterystyczne dla naszej epoki jest zagubienie jej zasadniczego, metafizycznego wymiaru i sprowadzenie wyłącznie do relacji międzyludzkich, co uniemożliwia jej rozumienie.

Przeciwieństwem pokory jest pycha. To podstawowy grzech, z którego wyrastają wszystkie inne. Nasi prarodzice chcieli być jak Bóg i dlatego sięgnęli po zakazany owoc. Powodowany pychą grzech pierworodny ma charakter archetypiczny. Jego różne, choć w podstawowym przekazie, tożsame wyobrażenie pojawia się w rozmaitych religiach czy mitologiach. To pycha okazuje się przyczyną ludzkiej tragedii.

Towarzyszy ona rozwojowi cywilizacji zachodniej już od momentu rodzenia się nowoczesności. Człowiek ma zastąpić Boga najpierw sprowadzonego do roli wielkiego zegarmistrza, który wyłącznie nakręcił zegar rzeczywistości, aby grzecznie usunąć się na stronę, potem zaś relegowanego w krainę fantazji. Człowiek miał stać się panem świata, który siłą swojego rozumu przeniknie wszelkie jego zagadki – bo do tej roli sprowadzone zostały tajemnice – aby ostatecznie ukształtować go na miarę swoich potrzeb. Z czasem religia nauki, która miała opisać całość rzeczywistości i pozwolić się nią dowolnie człowiekowi posługiwać, ukazała swoje ograniczenia i paradoksy. Poznając więcej, odkrywamy jeszcze większe przestrzenie ludzkiej niewiedzy i ograniczenia naszych możliwości; docieramy do fenomenów, które przestajemy rozumieć.

Sama nauka zakłada zresztą istnienie przekraczającego nas ładu. To on pozwala nam ufać w przyczynowo-skutkowe relacje, które wiążą strukturę świata. Inaczej stwierdzić moglibyśmy wyłącznie, że w znanych nam przypadkach zjawisko X poprzedzało zjawisko Y. A porządek, który nie jest naszym dziełem, powinien wyzwalać pokorę. Taką samą postawę budzi poczucie zakorzenienia i piękna, które objawia nam natura. Również ludzka domena dostarcza nam świadomości ograniczenia naszych osobniczych potencji. To cywilizacja tworzy człowieka. Czym bylibyśmy bez znajomości języka i budującej nas kultury? Ile jesteśmy w stanie indywidualnie dorzucić do kształtującego nas kulturowego środowiska? Funkcjonuje ono w partykularnych, wspólnotowych odmianach. Czym bylibyśmy wspólnoty takiej pozbawieni?

Cnota pokory pozwala rozumieć nasze ograniczenia, a więc wykorzystywać posiadane zdolności. Pokora, która umożliwia odnalezienie przypisanego człowiekowi miejsca, daje jednocześnie poczucie pewności i buduje zaufanie. Ci, którzy rozumieją jej potrzebę, pojmują, że świat jest głębszy niż nasze o nim wyobrażenie, a nasza jednostkowa racjonalność musi być zakorzeniona w kulturze. Mają do niej podejście ogrodnika, który stara się pielęgnować wielopokoleniowy ogród, aby przekazać go w jak najlepszym stanie następcom. Pokora wymaga postawy ostrożnej i roztropnej.

Pycha płodzi wiarę w ideologiczne utopie. Uniesieni nią wyobrażają sobie, że potrafią na nowo i całościowo zaprojektować świat. Domagają się jednoznacznych rozwiązań dla wszystkich problemów.

Czy unoszeni pychą potrafią przemyśleć lekcję obecnej pandemii? Wątpliwe. Szukać będą odpowiedzialnych, tłumaczyć, że to tylko wypadek przy pracy i już, już znajdziemy lekarstwa na wszelkie możliwe choroby, wydłużymy w nieskończoność życie, staniemy się nieśmiertelni.

Rozrechotany filister, który powtarza ideologiczne slogany, uważając je za klucz mądrości, to jedna z bardziej trywialnych i groteskowych, a jednocześnie rozpowszechnionych figur naszej rzeczywistości. Świat dla niego jest pozbawiony tajemnicy, a więc głębi, fakty nie łączą się. Dominująca, emancypacyjna ortodoksja skutecznie chroni go przed jakąkolwiek refleksją. Małe szanse, aby obecna pandemia spowodowała zmianę jego postawy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fe81096850

Solidarność w czasach zarazy

Austria



Kanclerz Austrii Sebastian Kurz w rozmowie z dziennikiem „Kronen Zeitung" ostro skrytykował zarządzanie kryzysowe Unii Europejskiej oraz brak solidarności między państwami członkowskimi. Według Kurza – jak tylko skończy się kryzys związany z koronawirusem – „Unia Europejska będzie musiała znieść krytyczną dyskusję na swój temat".

Kanclerza rozzłościła postawa Niemiec, które na początku marca zatrzymały transport masek ochronnych (władze Austrii wprowadziły obowiązek noszenia masek, m.in. w supermarketach) przeznaczonych dla szpitali w Wiedniu oraz austriackiego Czerwonego Krzyża. Transport utknął na granicy austriacko-niemieckiej, a presja wywierana przez minister gospodarki Austrii Margaretę Schramböck na jej niemieckiego kolegę Petera Altmaiera nie dawała żadnych rezultatów. Berlin tłumaczył przetrzymanie transportu tym, że „musi sprawdzić, czy zakup masek był legalny i czy nie trafią one w niepowołane ręce". 4 marca niemieckie Ministerstwo Gospodarki wydało zakaz eksportu produktów i urządzeń medycznych, które mogą być przydatne w walce z epidemią COVID-19. W konsekwencji zatrzymany został nie tylko transport masek przeznaczonych dla Austrii, lecz także masek zakupionych przez Włochy i Szwajcarię w Chinach. Choć austriacka strona nie nagłaśniała zbytnio tej sprawy, zamieniła się ona w coś w rodzaju „małego skandalu międzypaństwowego" – jak pisze dziennik „Wiener Zeitung". Dopiero osobista interwencja prezydenta Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera pozwoliła uwolnić transport. „Nie może tak być, że przez dwa tygodnie walczymy w całkowitym osamotnieniu o to, by ciężarówka z pilnie potrzebnymi i już zapłaconymi maskami ochronnymi mogła do nas dotrzeć" – grzmiał Kurz.

Na tym jednak nie koniec sporów w UE na tle pandemii. Państwa tzw. Północy (Finlandia, Holandia), ale także Austria i Niemcy sprzeciwiają się proponowanej przez rządy Francji, Hiszpanii i Włoch emisji wspólnych unijnych obligacji określanych mianem koronaobligacji. Poczucie opuszczenia w kryzysie euro, a potem migracyjnym już wcześniej podsycało rozczarowanie Włochów do Unii. W minioną środę włoscy politycy, zarówno lewicy, jak i prawicy, opublikowali ogłoszenie w niemieckim dzienniku „Frankfurter Allgemeine Zeitung", w którym błagali Niemcy o pomoc, inaczej „Unia Europejska przestanie istnieć". Według nich Berlin powinien się zgodzić na emisję koronaobligacji. „Pomóżcie nam, tak jak myśmy wam pomogli po II wojnie światowej" – zaapelowali

Aleksandra Rybińska

Fot. StephanBecker.photography/Shutterstock.com

Wirus poprawności politycznej

USA

Gdy Donald Trump użył określenia „chiński wirus", opisując koronawirusa, lewicowe media uznały, że to rasizm. CNN nazwał takie określenie stygmatyzującym. Pisarka Celeste Ng poszła jeszcze dalej i zasugerowała, że nazywanie COVID-19 chińskim wirusem prowadzi do prześladowania Azjatów. W Wikipedii pojawiło się rozbudowane hasło „Lista rasistowskich i ksenofobicznych incydentów powiązanych z pandemią koronawirusa w latach 2019–2020". Opisywane są w niej incydenty z niemal każdego kontynentu, gdzie zdaniem autorów hasła pojawił się rasizm związany z koronawirusem. Na liście nie ma Polski.

Ostatecznie Trump wycofał się z nazywania COVID-19 chińskim wirusem. Nie przeprosił za użycie takiego określenia, ale przyznał, że nie zamierza go dłużej stosować. „Każdy wie, że pochodzi on z Chin, ale zdecydowałem, że nie powinniśmy robić z tego problemu" – powiedział. Trump przyznał, że celowo używał określenia chiński wirus, ponieważ chińska propaganda rozpowszechniała teorię spiskową o roznoszeniu wirusa przez amerykańską armię. Jednak nie tylko Trump łączył wirusa z miejscem jego pojawienia się. Media, w tym prestiżowy magazyn „Time", używały w pierwszych doniesieniach określenia „wirus z Wuhanu".

Jak dotąd nazywanie wirusów od ich miejsca pojawienia się nigdy nie było uznawane za rzecz naganną. Koksakiwirus dostał swoją nazwę od amerykańskiego miasteczka Coxsackie, leżącego przy rzece Hudson. Norowirus, zwany też The Norwalk Virus, ma nazwę od miasta Norwalk w stanie Ohio. Wirus ebola został odkryty w wiosce w Kongo, która leży blisko rzeki Ebola, a wirus zika pochodzi od lasu Zika w Ugandzie. Wszystko zmieniło się w 2015 r., gdy WHO zaleciło, by nie nazywać wirusów od geograficznych nazw. „Widzieliśmy, jak niektóre nazwy chorób wywołują sprzeciw wobec członków określonych wspólnot religijnych lub etnicznych, tworzą nieuzasadnione bariery w podróżach i handlu oraz powodują niepotrzebny ubój zwierząt" – pisali pięć lat temu naukowcy związani z WHO.

Warto się więc przyjrzeć, jak będzie się rozwijała debata o koronawirusie w kontekście poprawności politycznej. Trumpowska prawica ma w głębokim poważaniu zastrzeżenia lewicy, czemu dał wyraz m.in. senator z Teksasu John Cornyn, mówiący, że należy winić Chiny za wirusa, bo „jest to kultura, gdzie ludzie jedzą nietoperze, węże, psy i inne takie rzeczy, co powoduje, że kraj ten jest siedliskiem wirusów". Wypowiedź została uznana za rasizm. Czy jest jednak nieprawdziwa?

Łukasz Adamski

eprasa.pl fe81096850



Ukraina

Na granicy upadku

Rządzący Ukrainą obóz polityczny Wołodymyra Zełenskiego nie miał wyboru i musiał przepchnąć przez parlament ślimaczącą się od miesięcy i wzbudzającą wielkie emocje ustawę gwarantującą uwolnienie obrotu ziemią oraz specjalne prawo nazywane w mediach anty-Kołomojski lex. Ma ono wykluczyć możliwość zwrotu akcji poprzednim właścicielom banków, które albo zostały przejęte wcześniej przez państwo, albo postawione w stan upadłości. Chodzi o to, aby uniemożliwić odzyskanie kontroli nad największym ukraińskim bankiem komercyjnym oligarsze Ihorowi Kołomojskiemu oraz potwierdzić nieodwracalność przejęć w ukraińskim sektorze finansowym.

W obu tych sprawach ekipa Zełenskiego stanęła pod ścianą, bo był to warunek pomocy ze strony Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Chodzi nie tylko o 5,5 mld dol., o których mówiło się wcześniej, lecz o dodatkowe pieniądze do poziomu 9 mld dol. Bez tych środków Ukraina w krótkim czasie zostałaby zmuszona do ogłoszenia niewypłacalności.

Wydaje się, że nasz sąsiad wkracza w jeden z najtrudniejszych okresów w swojej najnowszej historii. Pusta kasa państwowa, kryzys, a nawet krach gospodarczy, problemy społeczne, tlący się konflikt na wschodzie kraju, podzielone elity polityczne to tylko niektóre problemy, z którymi musi się mierzyć Kijów. Do tego dochodzi całkowite nieprzygotowanie do walki z nadciągającą epidemią. Dość powiedzieć, że Ukraina ma już trzeciego, w ciągu sześciu tygodni, ministra zdrowia. Z tym że obecny jest tylko pełniącym obowiązki, bo Zełenskiemu nie udało się zmobilizować własnej formacji, aby wybrała nowego członka rządu. Jego poprzednik stracił stanowisko po tym, jak powiedział w wywiadzie, że w obliczu pandemii służba zdrowia powinna zajmować się ludźmi poniżej 65. roku życia, bo pozostali „to trupy". Jednak dymisja niewiele zmieni. Wszystkie regiony alarmują o tym, że w szpitalach brakuje wszystkiego, począwszy od rękawic, fartuchów i maseczek, na testach skończywszy. Na to nakładają lokalne wybuchy paniki, nawet w służbie zdrowia, bo – jak informują media – pozbawieni środków ochrony lekarze odmawiają kontaktu z podejrzanymi o infekcję. To wrażenie chaosu potęgowane jest przez nie do końca przemyślane decyzje władz, takie jak np. w Kijowie, gdzie w ramach walki z pandemią zamknięto metro, co spowodowało, że dziesiątki tysięcy ludzi tłoczyło się w autobusach.

Ukrainy nie stać, jak powiedział prezydent Zełenski, aby wzorem państw Zachodu „zamrozić" gospodarkę. Ale bez pomocy społeczności międzynarodowej jego państwo może nie przetrwać.

Marek Budzisz

Fot. Orest Iyzhechka/Shutterstock.com



Etiopia

Jak biblijna plaga

Ludność naszej planety – prócz epidemii koronawirusa – doświadcza dziś drugiej klęski naturalnej, którą ONZ porównuje do plagi biblijnej. Chodzi o największą od 70 lat inwazję szarańczy w Afryce Wschodniej. Roje owadów, które wylęgły się na pustynnych terenach Jemenu, Omanu i Somalii, zaatakowały już Etiopię, Kenię, Sudan Południowy, Ugandę i Kongo.

Gatunek szarańczy, który pustoszy tamte ziemie, jest najbardziej żarłoczny ze wszystkich. Na pojedynczy rój składa się kilka miliardów owadów, które zajmują powierzchnię wielkości Manhattanu. Przenoszone wiatrem pokonują olbrzymie przestrzenie. Pożerają całą roślinność, jaką napotykają na swojej drodze, przede wszystkim uprawy rolnicze. W ciągu jednego dnia – jak podaje „Wall Street Journal" – są w stanie pochłonąć żywność zdolną wykarmić 80 mln ludzi. Plaga sprawia, że przed mieszkańcami Czarnego Lądu staje realne widmo głodu i śmierci. Dalsza inwazja szarańczy może pchnąć w kierunku Europy kolejne milionowe fale uchodźców.

Eksperci wskazują, że największe roje wylęgły się na terenach „państw upadłych", pogrążonych w zbrojnych konfliktach, takich jak Jemen czy Somalia. W normalnych warunkach powinien zadziałać tam system monitoringu szarańczy, która zostałaby zniszczona środkami owadobójczymi, zanim osiągnęłaby zdolność latania. Ten mechanizm przestał jednak funkcjonować. Poza tym – jak zauważył amerykański ekolog i geolog Paul Driessen (autor książki „Zielona władza, czarna śmierć") – różne międzynarodowe organizacje, np. oenzetowskie czy unijne, kierując się względami ekologicznymi, przez lata uzależniały pomoc dla ubogich państw tamtego regionu od rezygnacji ze stosowania pestycydów w rolnictwie. W efekcie zabrakło środków do tępienia szarańczy.

W tej sytuacji państwa afrykańskie zwróciły się do krajów europejskich z prośbą o pomoc w walce ze skrzydlatą plagą. Z powodu epidemii koronawirusa transporty dotrą jednak na miejsce z dziesięciodniowym opóźnieniem. W tym czasie dziesiątki tysięcy hektarów upraw zostaną zniszczone.

Grzegorz Górny

Fot. Jen Watson/Shutterstock.com

eprasa.pl fe81096850

OGNIEM NA WPROST

Kostucha i gen autodestrukcji



W związku z unoszącym się w Europie morowym powietrzem coraz więcej Włochów wyraża swoją wściekłość na Unię Europejską. Powodem jest kompletny brak empatii i konkretnych działań pomocowych ze strony wspólnoty. Wiceprzewodniczący włoskiej Izby Deputowanych poseł narodowo-konserwatywnych Braci Włochów (Fratelli d'Italia) Fabio Rampelli usunął już ze swojego biura flagę Unii. W gabinecie powiewa tylko włoski trójkolor. Przy tej okazji warto przypomnieć dyplomatyczną hierarchię umieszczania flag w urzędach państwowych. Najpierw flaga państwowa, za nią flagi samorządowe (regionów, województw, miast, gmin), a dopiero na końcu organizacji międzynarodowych jak UE. Rampelli nie jest odosobniony w swoim postępowaniu. Wielu jego rodaków zamalowuje żółte gwiazdki umieszczone na niebieskim tle ułożone w okręgu z lewej strony tablicy rejestracyjnej samochodu. Jednak nie wszystkie. Pozostawiają cztery. Tak jak jest na fladze Chińskiej Republiki Ludowej. Znamienne.

Grupa posłów Lewicy złożyła pod koniec zeszłego miesiąca w Sejmie interpelację do Ministerstwa Edukacji Narodowej. Piszą, iż „w podręcznikach do nauki historii, które zostały dopuszczone do użytku szkolnego, znajduje się wiele rażących błędów". Uwagę zwraca fragment o Stefanie Czarnieckim. Według podstawy programowej do IV klasy podstawówki Stefan Czarniecki jest bohaterem, a zdaniem przedstawicieli Lewicy bohaterem nie był, tylko zbrodniarzem wojennym. Posłanka Lewicy z Łodzi Hanna Gill-Piątek tak argumentuje powyższe stanowisko: „Czarniecki w czasach bardzo krwawych wyróżniał się wyraźnie na tle epoki czymś, co można nazwać wyjątkową inwencją w ekspresji okrucieństwa. Więc podobnie jak Bury czy Łupaszka nie powinien być wynoszony na pomniki". Szkoda czasu tutaj na polemikę z takimi i podobnymi tezami głoszonymi przez polityków tej formacji. Uwagę natomiast zwraca to, gdy się śledzi kolejne wypowiedzi tej grupy osób (nie tylko w kwestiach historycznych), że coraz bardziej wydaje się prawdopodobna teza, iż padły one w młodości ofiarą tajemniczych eksperymentów medycznych na ludzkim mózgu, zwanych pospolicie lobotomią.

Od 30 lat nieprzerwanie w brytyjskim Brighton odbywają się parady LGBT. To „centrala" wyspiarskich odmieńców. W Anglii szaleje SARS-CoV-2. Zachorowali premier, minister zdrowia i następca tronu – a więc z punktu widzenia walki z epidemią i nie tylko trzy najważniejsze osoby w państwie. Na szczęście w ostatniej chwili udało się odizolować królową matkę. Niepomni tego aktywiści mniejszości seksualnych wcale nie myślą o rezygnacji z tegorocznych „tęczowych jasełek" w Brighton. Żeby było jeszcze weselej, zaprosili na nie zespół Pussycat Dolls i gwiazdę popu Mariah Carey. Ma być wesoło i hucznie. Choć Angole w końcu się wystraszyli i wycofali z eugenicznej polityki „odporności stadnej" walki z wirusem, to wesołki z LGBT ani myślą zastosować się do zaleceń władz. Lata obserwacji tego towarzystwa pokazują, że ma ono wmontowany jakiś gen autodestrukcji. Od lat dziesiątkuje ich HIV, a teraz w sposób zorganizowany pchają się na celownik nowej zarazy. Przypomnijmy za Fabiano Di Marco, lekarzem ze szpitala w Bergamo, który powiedział, że za tragedię, jaka spotkała Włochy, winę może ponosić... mecz piłkarski. 19 lutego na San Siro w Mediolanie, gdzie Atalanta grała z Valencią w 1/8 finału Ligi Mistrzów. Spotkanie oglądało z trybun 40 tys. kibiców i stało się według określenia burmistrza Bergamo „bombą biologiczną". Istnieje spore prawdopodobieństwo, że koronawirus zbierze podobne żniwo w konsekwencji mityngu w Brighton, organizowanego w szczycie pandemii. Czego nie zrobił HIV, dokończy SARS-CoV-2.

Dlatego nie bez kozery po internecie krąży żart z gatunku czarnego humoru. Ponieważ jak ulał dotyczy on sytuacji w Brighton, warto go zacytować. Do brytyjskiego biura odpowiednika naszej Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa wchodzi kostucha w czarnej pelerynie i z kapturem zakrywającym czaszkę. Po chwili Śmierć zwraca się z pytaniem do urzędniczki: „Czy mogę u pani złożyć wniosek o dotację unijną?" „Oczywiście! A na co?" – dopytuje pracownica Agencji. „Na kombajn".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fe81096850

Mama



Marta Kaczyńska-Zielińska

Gdy Lech Kaczyński został wybrany na urząd prezydenta RP, wielu wątpiło, czy sprawdzi się w roli pierwszej damy, ale sympatia i szacunek, okazane jej zwłaszcza po tym kiedy tragicznie zginęła, świadczą o tym, że i tym razem nie zawiodła. Tysiące tulipanów i tłumy ludzi na trasie przejazdu trumny z jej ciałem pokazały, że sprostała zadaniu. Maria Kaczyńska była bezpośrednia i naturalna. Miała ogromne poczucie humoru i dystans do siebie. Jej szczere niebieskie, śmiejące się oczy zapadły w pamięć zapewne nie tylko najbliższym. Była niespotykanie komunikatywna i szybko nawiązywała znajomości. Skracała dystans. Miała mocny serdeczny uścisk dłoni. We wspomnieniach przewija się przekonanie, że w ciągu kilku chwil potrafiła zbudować relację, w której rozmówca miał poczucie, że jego słowa mają znaczenie, że jest słuchany. Podobno każdy, kto spotkał ją osobiście, miał wrażenie, że zna ją od dawna. Kilka dni temu zagadnął mnie pewien miły starszy pan, mówiąc, że otrzymał kiedyś filiżankę od mojej Mamy. Okazało się, że wiele lat temu miał szwalnię, a jego koszule były sprzedawane w pewnym małym sklepiku w Warszawie. Mama była jego klientką.

Znała cztery języki, uwielbiała literaturę i sztukę. Umiała słuchać i rozmawiać niemal ze wszystkimi i o wszystkim. Była silna, miała własne poglądy i nie obawiała się ich publicznie wyrażać. Nie kalkulowała. Pozostawała daleko od politycznych rozgrywek. Zdając sobie zapewne sprawę z fali krytyki, którą na siebie ściągnie, przyznała, że popiera zabiegi in vitro, uznając, że stanowią problem, który należy sytuować ponad politycznymi sporami i koncentrować się na małżeństwach, które pragną zostać rodzicami.

Jako pierwsza dama aktywnie udzielała się społecznie. Starała się wysłuchać bez wyjątku wszystkich tych, którzy prosili ją o wsparcie. Wstawiła się za wnuczkiem weteranki Armii Krajowej, który został skazany w Tajlandii na 12-krotną karę śmierci. Polak został ułaskawiony. Wzięła w obronę Czeczenkę, która nielegalnie przekraczając granicę ze swoimi dziećmi, straciła troje z nich. Dzieci zamarzły. Mama pojechała do niej i pomogła w uzyskaniu w Polsce statusu uchodźcy. Powodowała nią matczyna empatia. Może łatwiej było jej wczuć się w rolę tej kobiety, bo sama urodziła się w czasie wojny i doświadczyła jej nieszczęścia? Może pozostawały w niej wspomnienia ze stanu wojennego, kiedy internowano jej męża i w zimową noc została z dzieckiem sama, bez możliwości ustalenia, co się z nim dzieje przez kilka pierwszych dni? Na jej pomoc mogły liczyć zarówno zupełnie obce osoby, jak i przyjaciele. Do dziś pamiętam, jak w latach 80. swoim czerwonym maluchem woziła znajomym zakupy – co swoją drogą mogłoby być bezcenne, zwłaszcza dziś.

Nie pracowała zawodowo, od kiedy się urodziłam. Udzielała jedynie lekcji języka angielskiego i sporadycznie tłumaczyła. Intensywne i różnorodne życie poliglotki i ekonomistki zatrudnionej w Instytucie Morskim, a także pilotki wycieczek zagranicznych zamieniła na domowe zacisze, w pełni poświęcając się dziecku i mężowi, a z czasem również opiece nad schorowaną matką. Świetnie spełniała się i w tej roli. To Mama przede wszystkim tworzyła nasz dom – miejsce ciepłe i bezpieczne. Ostoję dla zapracowanego męża, bazę dla dorastającej córki i gromadki zwierząt, która dopełniała naszą rodzinę. Dom pełen książek, czasopism, bibelotów, fotografii, dobrej muzyki, z drzwiami zawsze otwartymi dla przyjaciół. Była pełna optymizmu, domowym menedżerem, specjalistą od przeprowadzek i remontów, sprawiania, że niemożliwe staje się osiągalne.

Dziesięć lat temu wybierała się z Ojcem do Katynia, by towarzyszyć mu w obchodach 70. rocznicy ludobójstwa polskich oficerów i by wspomnieć o swoim stryju Witoldzie Mackiewiczu, uwięzionym w Starobielsku, 17 maja 1940 r. zamordowanym w Charkowie. O tym, że leci do Smoleńska, dowiedziałam się dzień przed wylotem. Zdawało mi się, że tym razem Tata leci sam. Po powrocie z Rosji miałyśmy się spotkać nad morzem...



Z najgłębszym żalem przyjęłam wiadomość o śmierci wybitnego kompozytora, dyrygenta i pedagoga

PROFESORA
KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Człowieka, którego twórczość wywarła wpływ na muzykę całego świata.
Kompozytora, który czerpał z dziedzictwa polskiej kultury.
To niepowetowana strata dla nas wszystkich.

Cześć Jego pamięci!

Marszałek Sejmu
Elżbieta Witek

55/0320/F

eprasa.pl fe81096850

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY *Krzysztofa Ziemca* PRZED KORONAWIRUSEM





Kraków

Wszystkie te zdjęcia są dla mnie ważne i wymowne z wielu powodów. Symbolizują bowiem nie tylko beztroski, jak się już dziś wydaje, czas przed pandemią koronawirusa, lecz i pokazują, jak atrakcyjne, choć wymagające, jest intensywne dziennikarstwo.

Najpierw wspólne zdjęcie z Magdaleną Wolińską-Riedi. Pogoda jak pod koniec sierpnia, choć mamy październik 2018 r. Krakowski rynek. Magda na co dzień w Rzymie, ja w Warszawie, a połączył nas i sprowadził do królewskiego miasta Jan Paweł II. Trwa właśnie próba. Stoimy na zapleczu sceny, na której za kilka godzin wystąpią gwiazdy chcące upamiętnić 40. rocznicę wyboru Karola Wojtyły na papieża. Pokazać, że pamiętamy! My ten koncert wspólnie poprowadzimy, a wszystko wieczorem zobaczą widzowie TVP1. Po 20.00 rynek zapełni się po brzegi. A wśród zasłuchanych będzie też wielu turystów z Włoch, Hiszpanii czy Francji, dla których Kraków i Polska stały sie w ostatnich latach niemal obowiązkowym punktem wycieczek.

Teraz, tuż po symbolicznym tegorocznym 2 kwietnia, a przed Wielkanocą, patrzę na to zdjęcie z nieukrywanym niepokojem i żalem w sercu. Bo pewnie nie tylko nieprędko taki koncert będzie możliwy do zorganizowania, artyści będą mogli zaśpiewać, a ja ich przedstawić na scenie, lecz także dlatego, że dziś epidemia położyła tamę wszelkim wspólnym obrzędom Wielkiego Tygodnia, w których uczestniczenie dla wierzących jest przecież tak fundamentalne! Kiedy wróci normalność?...

Magdeburg

Ten plan, niemal filmowy, to... Magdeburg. A dokładnie słynna twierdza, w której ponad 100 lat wcześniej był przetrzymywany Józef Piłsudski. Pojechaliśmy tam z ekipą zdjęciową dosłownie dzień po tym koncercie w Krakowie, co pokazuje właśnie, jak wygląda praca dziennikarza. Niemal jak na poligonie.

Kręciliśmy tam kolejny odcinek cyklu pt. „Ojcowie Niepodległości", którego bohaterem tym razem był Naczelnik. Odcinek miał zaledwie ok. trzech minut, ale nasza praca z podróżą zabrała nam kilka dni. Stłoczeni w niewielkim busie, po kilku godzinach jazdy non stop zatłoczonymi autostradami, dojechaliśmy na położone z dala od centrum miasta miejsce. Ledwo tam trafiliśmy, ponieważ z oczywistych względów oznakowania nie ma. Turystów też. My tego dnia byliśmy jedynymi zwiedzającymi dawny, choć już odnowiony imponujący ceglano-ziemny obiekt. Opiekujące się nim właściwie społecznie – uwaga – małżeństwo Niemki i Rosjanina z pasją opowiadało nam o tym, jak zorganizowało tę izbę pamięci i cały czas się nią opiekowało, by pamięć o tym przetrwała. Kiedy kończyliśmy zdjęcia, na pożegnanie nie mogli nie podzielić się z nami osobistymi refleksjami dotyczącymi życia w mieście. Mieście, które w ostatnich latach bardzo podupadło. Po raz pierwszy po wojnie, kiedy wyzwolili go Amerykanie, ale ostatecznie władzę przejęli Rosjanie, ustanawiając tam granicę NRD. Drugi raz po zjednoczeniu, kiedy wielu mieszkańców wyjechało na Zachód. A trzeci raz po 2015 r., kiedy Magdeburg stał się jednym z tych miast, gdzie masowo kierowani zostali arabscy uchodźcy, a miejscowi w obawie o bezpieczeństwo wręcz uciekali np. do Berlina. Dziś w Magdeburgu nie ma już ani tak dużej liczby uchodźców, ani tych wszystkich, którzy miasto wtedy opuścili. Ulice stają się puste już o zmierzchu.



eprasa.pl fe81096850



Londyn

Na drugim biegunie znajduje się Londyn. Miasto, które tak jak Nowy Jork nigdy się nie budzi, bo nigdy nie zasypia. Miasto, które tętni życiem tak samo o każdej porze roku. Gdzie na ulicy słychać wszystkie języki świata, gdzie w metrze spotkać można osobników o tak oryginalnym, że aż szokującym wyglądzie, gdzie bogactwo i wielkie interesy mieszają się z biedą i leżącymi w podcieniach pięknych sklepów bezdomnymi. Gdzie na każdym kroku tradycja wręcz walczy z nowoczesnością. Londyn wciąga i pociąga. Wszystkim. Ja poznałem to miasto jako student, kiedy w 1989 r., wyrywając się zza żelaznej kurtyny i szarzyzny późnej PRL, po raz pierwszy pojechałem tam, by zarabiać na zmywaku. Nie pomyślałbym wówczas, że po latach przyjadę tam, ale już „służbowo", by we wrześniu 2018 r. z okazji awansu Polski do grona rynków rozwiniętych w specjalnym studiu telewizyjnym w siedzibie London Stock Exchange przeprowadzić wywiad z prezesem GPW Markiem Dietlem.

I znów symboliczne miejsce i temat. Bo o to, jak bardzo koronawirus zmieni światową gospodarkę, spierają się obecnie tuzy światowej ekonomii. Jeśli rację mają ci, którzy wieszczą tsunami, to i Londyn, i tamtejsza giełda, i tamta ważna dla Polski uroczystość przestaną mieć już takie znaczenie. Oby nie mieli racji, ale już ta ich dyskusja i obawy czy przeczucia mojej skromnej osoby pokazują, że możemy chyba zacząć opisywać świat przed i po pandemii.

Spisał ***Michał Korsun***

Fot. archiwum prywatne / Shutterstock

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Ważniejsze od ludzkiego życia



Dominik Zdort

Pisałem tu nie tak dawno, że pandemia koronawirusa przywraca niektórym zmysły. Kilku włodarzy miast, którzy dotąd się upierali, że samochody osobowe nie powinny wjeżdżać do centrum, zrozumiało, iż zaraza najszybciej się rozłazi w metrze, tramwaju i autobusie, więc zlikwidowało opłaty za parkowanie, żeby zachęcić obywateli do korzystania z aut.

Gdzieniegdzie jednak pewne dogmaty nadal bywają „ważniejsze od ludzkiego życia" – że zacytuję damę, która ostatnio godnie zastąpiła jopka w roli asa oratorskich wpadek.

Choć kowid wykazał, z jakim niebezpieczeństwem wiąże się tłok w transporcie zbiorowym, to w warszawskim ratuszu ideologiczne betony trzymają się mocno. Jeśli rzeczywistość nie zgadza się z ich uczonymi teoriami, to tym gorzej dla rzeczywistości.

Epidemia szaleje, na całym świecie rozsądni ludzie zachęcają, aby korzystać z prywatnych aut, a mędracy od prezydenta Trzaskowskiego chwalą się, że właśnie podpisali kontrakt na poważne zwężenie ulicy w samym centrum stolicy, przy jednym z najruchliwszych jej rond. Ma być mniej pasów dla samochodów, za to znajdzie się miejsce na pas dla rowerów. Nie jestem przeciw, ale może lepiej kosztem wyjątkowo tam szerokich i nieuczęszczanych chodników? Tyle, że im nie chodzi o rowery, ale o to, żeby sparaliżować ruch samochodów, utrudnić ludziom dojazdy do pracy, odwożenie dzieci do szkół, bo jak mówi jedno najświętszych przykazań lewackiego dekalogu miejskiego: „Zwężanie ulic likwiduje korki".

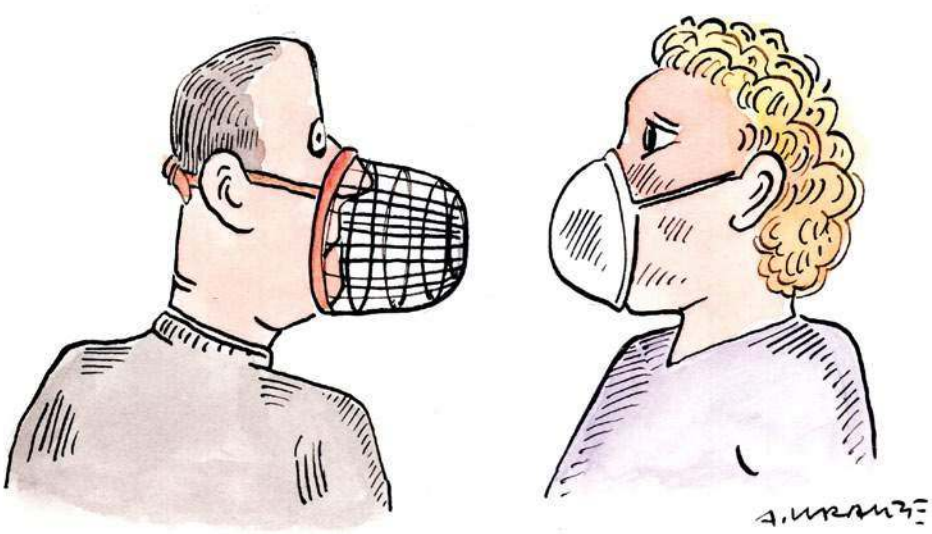
Gdyby założyć, że epidemia z ostrą kwarantanną potrwają jeszcze lata, fabryki nie będą produkować, fryzjerzy nie będą strzyc, a pozostali warszawiacy wybiorą pracę zdalną, może to nie byłoby nawet straszne. Dziś ulice polskich miast są komfortowo opustoszałe, jak w najgorętsze wakacyjne dni w latach 70. XX w., samochodów jest na nich niewiele (a mimo to, jak na marginesie epidemii zauważył kolega Krzysio P., smog narasta, co obala naiwne ekologiczne teoryjki), więc wszędzie dojechać łatwo. Można by machnąć ręką i powiedzieć: a niech sobie zwężają.

Ale co nastąpi, jeśli epidemia będzie się tlić przez wiele miesięcy lub lat, a większość ludzi zostanie zmuszona do powrotu do normalnej pracy? Czy także wtedy lewaccy ideolodzy będą zmuszać Polaków do korzystania z metra? W imię czego? Że są sprawy ważniejsze od ludzkiego życia?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl fe81096850

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

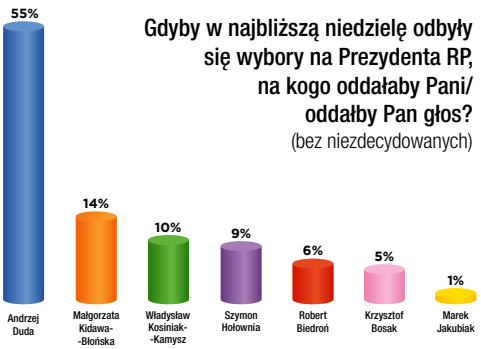
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ZVONIMIR ATLETIC/SHUTTERSTOCK.COM, KPRP, SHUTTERSTOCK.COM

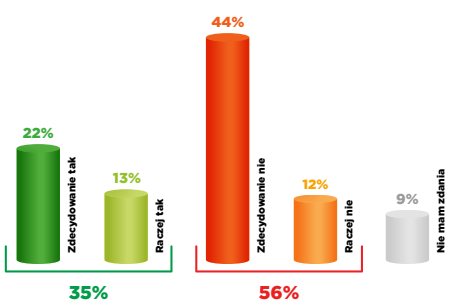
nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

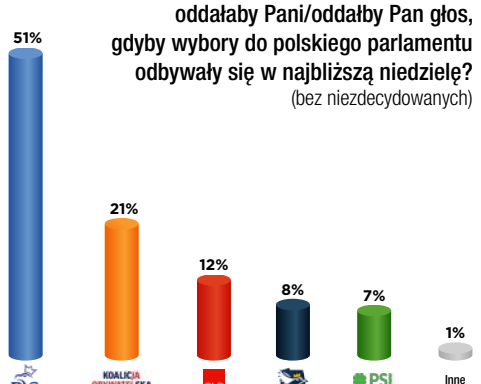
Gdyby w najbliższą niedzielę odbyły się wybory na Prezydenta RP, na kogo oddałaby Pani/oddałby Pan głos?
(bez niezdecydowanych)



Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w wyborach prezydenckich, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?



Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1062.

Zakres czasowy badania 27–30 marca 2020 r.

Reklama | 3/0420/F

eprasa.pl fe81096850

Wielkanoc 2020



Na ten wyjątkowy czas Wielkiej Nocy życzymy Czytelnikom zdrowia, pogody ducha oraz siły w przezwyciężeniu trudów, jakimi jesteśmy ostatnio doświadczani.

Niech Zmartwychwstały Chrystus obdarzy nas wszystkich swoją łaską i pozwoli z nadzieją spojrzeć w przyszłość.

Rada Nadzorcza, Zarząd Grupy LOTOS S.A. oraz pracownicy Grupy Kapitałowej LOTOS

LOTOS

eprasa.pl fe81096850

Pusty pla
płaczący k



GRZEGORZ GÓRNY

Główne przesłanie Świąt Wielkanocnych mówi, że nie ma innej drogi do zbawienia jak tylko przez krzyż. Wielu chrześcijan nawet podczas pandemii nie pamięta o tym, a duchowni o tym nie przypominają

Ten obraz wrył się w pamięć milionów ludzi na całym świecie. Smutny deszczowy wieczór. Pusty plac św. Piotra, a na nim samotna postać w bieli. To scena, która będzie powracać nawet za wiele lat, kiedy będą przywoływane niezwykłe wydarzenia zapoczątkowane w pamiętnym roku 2020. Nikt nie ma wątpliwości. Kościół przeżywa dziś wyjątkowy czas w swojej historii. Po raz pierwszy od 1700 lat, a więc od wyjścia z katakumb, chrześcijanie nie mogą uczestniczyć publicznie we mszy św. Nie mogą też wziąć udziału w celebrowaniu swego najważniejszego święta, czyli Wielkanocy. Przy czym jest to sytuacja, która dotyczy nie tylko jednego kraju czy kontynentu, lecz całego świata. Jeśli Pan Bóg przemawia przez wydarzenia, to trudno o bardziej wymowne.

MILCZENIE PASTERZY

Scena z placu św. Piotra jest symboliczna jeszcze z jednego powodu. To jakby obraz Kościoła znajdującego się w próżni, niemającego styczności z życiem większości Europejczyków. Jedyny związek z chrześcijaństwem, jaki im jeszcze pozostał, to jakaś nić sympatii do tej samotnej postaci w białej sutannie, którą podziwiają za walkę z globalnym ociepleniem, politykę imigracyjną czy dialog międzyreligijny. Poza tym wokół pustka.

Epidemia obnażyła słabość nie tylko Unii Europejskiej (co powtarzają dziś wszyscy), lecz także Kościoła katolickiego w Europie. W przeszłości – zwłaszcza w trudnych momentach dziejowych – bywał on jednym z podstawowych punktów odniesienia dla mieszkańców naszego kontynentu. Dziś przestał być realnym podmiotem społecznym, głos hierarchów katolickich pozostaje zaś niesłyszalny.

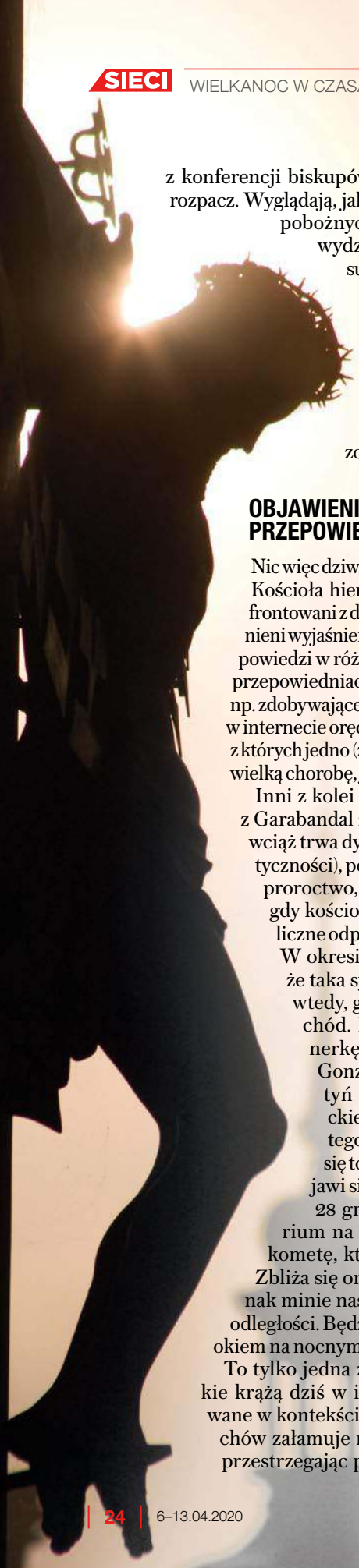
W ciężkich chwilach wyznawcy Chrystusa zawsze zadawali sobie pytanie, co Pan Bóg chce nam powiedzieć przez konkretne doświadczenia naszego życia. Odczytywali więc znaki czasu zarówno w odniesieniu do własnej egzystencji, jak i życia całych społeczności. W dzisiejszej sytuacji przed chrześcijanami stoją dwa pytania, które domagają się odpowiedzi w perspektywie teologicznej. Bez takiej odpowiedzi w świetle wiary, która nadaje sens dziejącym się wydarzeniom, grozi nam to, że życie się zamieni (jak czytamy w „Makbecie") w „opowieść idioty, pełną wrzasku i wściekłości, lecz nic nie znaczącą".

Pierwsze pytanie dotyczy tego, gdzie jest Bóg w czasie pandemii. W tym kontekście uderzające jest unikanie przez hierarchów teologicznej interpretacji wydarzeń oraz oceny w perspektywie historii zbawienia. Ich komentarze najczęściej mają charakter naturalistyczny, pomijając całkowicie aspekt sprawczości Boga. Rumuński publicysta Gelu Trandafir skomentował to następująco: „Czytając komunikaty prasowe

Fot. YARA NARDI/POOL/AFP/East News

c, rzyż





z konferencji biskupów w Europie, ogarnia cię rozpacz. Wyglądają, jakby zostały napisane przez pobożnych urzędników lokalnych wydziałów zdrowia lub szefów supermarketów dystrybuujących łaski, którzy informują was, że nie mają już środków dezynfekujących ani detergentów i że najprawdopodobniej już w przyszłym miesiącu okaże się, kiedy dostawy zostaną wznowione".

OBJAWIENIA, PROROCTWA, PRZEPOWIEDNIE

Nic więc dziwnego, że w obliczu milczenia Kościoła hierarchicznego wierni skonfrontowani z dramatyczną sytuacją i spragnieni wyjaśnień w świetle wiary szukają odpowiedzi w różnego rodzaju objawieniach, przepowiedniach i proroctwach, takich jak np. zdobywające coraz większą popularność w internecie orędzia w Trevignano Romano, z których jedno (z września 2019 r.) zapowiada wielką chorobę, jaka przyjdzie z Chin.

Inni z kolei przypominają objawienia z Garabandal z lat 1961–1965 (w Kościele wciąż trwa dyskusja na temat ich autentyczności), podczas których pojawiło się proroctwo, iż wkrótce nadejdą czasy, gdy kościoły będą zamknięte, a publiczne odprawianie mszy zabronione. W okresie zimnej wojny uważano, że taka sytuacja jest możliwa tylko wtedy, gdy komuniści podbiją Zachód. Dopytywano więc wizjonerkę z Garabandal Conchitę González, czy zamknięcie świątyń będzie wynikiem sowieckiej inwazji. Nie potwierdziła tego, dodając jedynie, że stanie się to w czasie, gdy na niebie pojawi się kometa.

28 grudnia 2019 r. obserwatorium na Hawajach wykryło nową kometę, której nadano nazwę Atlas. Zbliża się ona w kierunku Ziemi, jednak minie naszą planetę w bezpiecznej odległości. Będzie jednak widoczna gołym okiem na nocnym niebie 23 maja.

To tylko jedna z wielu przepowiedni, jakie krążą dziś w internecie i są przywoływane w kontekście pandemii. Część hierarchów załamuje nad tym zjawiskiem ręce, przestrzegając przed spirytualizmem lub pseudomistycyzmem. Problem polega na tym, że sami nie dają odpowiedzi na palące dziś ludzi pytania. Albo ich odpowiedź jest zupełnie niesłyszalna.

KARA BOŻA W BIBLII

Przedstawiciele Kościoła hierarchicznego najczęściej nie mówią publicznie, jak interpretować teologicznie obecne wydarzenia, natomiast mówią, jak ich nie interpretować. Otóż większość z nich odrzuca stanowczo i kategorycznie możliwość odczytywania epidemii w kategoriach kary Bożej. W koncepcji miłosiernego Boga nie ma miejsca na karę, a w dodatku tak dotkliwą jak pandemia.

Czy nie jest to jednak idea skrojona na miarę epoki wychowania bezstresowego, w której karanie dzieci jest surowo wzbronione? Co począć bowiem z następującymi słowami z Listu do Hebrajczyków? „Synu mój, nie lekceważ karania Pana, nie upadaj na duchu, gdy On cię doświadcza. Bo kogo miłuje Pan, tego karze, chłoszcze zaś każdego, którego za syna przyjmuje. Trwajcież w karności! Bóg obchodzi się z wami jak z dziećmi. Jakiż to bowiem syn, którego by ojciec nie karcił? Jeśli jesteście bez karania, którego uczestnikami stali się wszyscy, nie jesteście synami, ale dziećmi nieprawymi".

W świetle powyższych słów z Nowego Testamentu kara nie jest więc wyrazem odwetu srogiego bóstwa, lecz przejawem miłości troskliwego i kochającego Ojca. Nie można więc zbyt pochopnie odrzucać idei kary Bożej. Warto natomiast przyjrzeć się jej w świetle objawienia biblijnego i tradycji Kościoła.

W Starym Testamencie istnieje bardzo ścisły związek między grzechem a karą. Już na początku Księgi Rodzaju pierwszy grzech prarodziców powoduje wypędzenie Adama i Ewy z Edenu. Karami za grzechy są m.in. potop zesłany za czasów Noego, zagłada Sodomy i Gomory czy niewola babilońska. Grzechy Dawida sprowadzają kary na innych: cudzołóstwo z Batszebą powoduje śmierć ich syna, dokonanie spisu powszechnego przynosi zaś plagę, która uśmierca 70 tys. Izraelitów. Zarazem istnieje jednak idea cierpienia niezawinionego, którego ofiarą pada Hiob i jego rodzina. Powtarza się ona także jako skarga w wielu psalmach.

Wraz z pojawieniem się Chrystusa przychodzi bardziej zróżnicowane podejście do nieszczęść dotykających ludzi. Nowy Testament zna cztery różne greckie słowa na określenie karcącego działania Boga (kolázô, timôréô, díkê, payéuô), z których każde ma nieco inne znaczenie. Nowe przymierze nie odrzuca idei kary za grzechy, lecz wskazuje, że możliwe są także inne przyczyny doświadczania ludzi tragicznymi wydarzeniami. Gdy uczniowie pytają, czyj grzech spowodował ślepotę mężczyzny niewidomego od urodzenia, Jezus odpowiada: „Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale stało się tak, aby się na nim objawiły sprawy Boże". W innym miejscu Chrystus mówi apostołom o Galilejczykach zabitych na rozkaz Piłata: „Czyż myślicie, że ci Galilejczycy byli większymi grzesznikami niż inni mieszkańcy Galilei, że to ucierpieli? Bynajmniej, powiadam wam; lecz jeśli się nie nawrócicie, wszyscy podobnie zginiecie". Także w dziejach Kościoła pojawiały się różne wytłumaczenia plag spadających na ludzkość. Najczęściej chrześcijanie, w tym liczni święci, interpretowali je jako karę zesłaną przez

Fot. Shutterstock

eprasa.pl fe81096850

Boga za grzechy i niewierności. Tak było również w czasie licznych epidemii dżumy, cholery czy czarnej ospy. Św. Bernardyn ze Sieny pisał: „Trzy są plagi, którymi karze Bóg – wojna, zaraza i głód". Św. Brygida Szwedzka ostrzegała, że w momentach, gdy narody odwracają się od Boga, przychodzą klęski naturalne. Dlatego zawsze, gdy nastawały czasy zarazy, Kościół wzywał do ekspiacji. Organizowano nabożeństwa i procesje przebłagalno-pokutne. Wyznawano winy, wyrażano żal i skruchę za grzechy. Podejmowano pokutę, obiecywano poprawę i proszono Boga o oddalenie nieszczęścia.

Dziś biskupi na całym świecie wzywają do modlitwy o ratunek, ale niemal nikt nie wzywa do pokuty. Wydaje się, jakby słowo „pokuta" (nie mówiąc już o pokucie publicznej) zostało w ogóle wymazane ze słownika chrześcijańskiego. A przecież jest to kluczowe słowo orędzia z Fatimy, o którym Benedykt XVI w 2010 r. powiedział, że nie straciło swej profetycznej mocy i nadal pozostaje aktualne. W trzeciej tajemnicy fatimskiej pojawia się anioł z ognistym mieczem zdolnym podpalić świat i wzywa ludzkość donośnym głosem: „Pokuta! Pokuta! Pokuta!".

Kto dziś odpowiada na to wezwanie? Przyjęcie pokuty to uznanie grzechu, zaś to pojęcie jest dziś również niepopularne. Za przekonaniem, że Bóg nie może karać człowieka za grzechy, kryje się teza, iż nie ma takiego grzechu, za który człowiek mógłby zostać przez Boga ukarany. To całkowita odwrotność tego, co głosili Ojcowie i Doktorzy Kościoła, zaś w XX w. np. św. Jan XXIII, który w 1958 r. mówił, że „człowiek, który sieje winę, zbiera karę. Kara Boga jest odpowiedzią na ludzkie grzechy".

Poza tym odrzucenie kar doczesnych w imię Bożego miłosierdzia musi logicznie prowadzić do odrzucenia kary wiecznej, czyli potępienia w piekle. Co jest bowiem gorsze: choroba, a nawet śmierć w boleściach (mogące przynieść nawrócenie), czy niewyobrażalne cierpienia, które trwać będą w nieskończoność? Jeśli miłosierny Bóg nie może karać nikogo tu na ziemi, to jakże mógłby skazywać kogoś na wieczne męki?

NIEWYGODNY KRZYŻ

Drugie pytanie, jakie zadaje sobie dziś wielu katolików na świecie, brzmi: co Pan Bóg chce nam powiedzieć przez to, że nie możemy uczestniczyć w mszy? Mamy bowiem do czynienia z sytuacją paradoksalną. Niegdyś chrześcijanie oddawali życie, by móc przystąpić do Eucharystii, dziś natomiast sami biskupi zamykają drzwi świątyń przed wiernymi. W niektórych krajach dochodzi nawet do sytuacji, gdy księża za odprawienie mszy dla garstki wiernych są nie tylko aresztowani przez policję, lecz i ganieni przez własnych biskupów. Nie chodzi tu o oskarżanie hierarchów, lecz o odpowiedź na pytanie: dlaczego Bóg postanowił zabrać katolikom możliwość uczestniczenia w Eucharystii?

Wydaje się, jakby ludzkość powtarzała gest Wielkiego Inkwizytora z „Braci Karamazow" i wskazywała Chrystusowi drzwi, mówiąc: „Idź i nie przychodź więcej". Widzimy, jak chrześcijaństwo jest dziś rugowane z życia publicznego, symbole religijne usuwane, a wiara wyśmiewana. Państwa wprowadzają ustawy, które czynią łamanie piątego przykazania „Nie zabijaj" podstawowym prawem człowieka. Rzesze ludzi żyją tak, jakby Boga nie było. Może więc w końcu zadośćuczyni On żądaniom człowieka i przestanie się narzucać? Może usunie się na jakiś czas, pozostawiając ludzi na pastwę ich samych?

Na razie usuwa się nieco z życia Kościoła, pozbawiając wiernych dostępu do mszy. Wielu z nich pyta: gdzie jest Bóg? Nie pytają: a gdzie my jesteśmy? Rzesze chrześcijan traktują religię jako coś, co ma służyć człowiekowi, nie dopuszczają zaś do siebie myśli, że to człowiek powinien służyć Bogu. Takie pojmowanie religii, której celem jest zapewnienie ludziom dobrego samopoczucia, amerykański apologeta Rod Dreher nazywa „moralistycznym deizmem terapeutycznym". To wizja chrześcijaństwa, w której nie ma miejsca na krzyż, a więc gotowości do ponoszenia ofiar, zgody na przyjęcie cierpienia. A przecież nie ma innej drogi do zbawienia jak tylko przez krzyż. O tym jednak – nawet w czasie epidemii – większość duchownych milczy.

Na placu św. Piotra Franciszek modlił się przed krzyżem. Ta scena ma jeszcze jedno symboliczne znaczenie. Był to XV-wieczny krucyfiks z kościoła św. Marcelego, który w 1519 r. jako jedyny przedmiot ocalał z pożaru świątyni. Modlitwom pod tym krzyżem przypisuje się ustanie w Rzymie zarazy w 1522 r. Dwa tygodnie temu przez dwie godziny był on wystawiony na placu św. Piotra podczas deszczu bez żadnej ochrony. Woda spowodowała poważne uszkodzenia, pod lakierem powstały bąble, w wielu miejscach rozpuściła się farba. Teraz konserwatorzy starają się ocalić zabytkowy krucyfiks. Wielce wymowne: przez dwie godziny drogocenny krzyż był niszczony na oczach całego świata i nikt tego nie zauważył.

Z ogromnym żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP. PROFESORA
KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Kompozytora, dyrygenta i pedagoga,
jednego z najwybitniejszych artystów naszych czasów,
doktora honoris causa wielu renomowanych uczelni,
odznaczonego Orderem Orła Białego
oraz Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis",
wielkiego polskiego patrioty.

Maestro zmienił obraz sztuki muzycznej,
odciskając piętno swej renesansowej osobowości na całej epoce.
Szeroko czerpał z bogactwa polskiej kultury, polskiej religijności,

Jego największe dzieła sięgały korzeni chrześcijaństwa, naszej wiary.

Po Jego odejściu muzyka światowa już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Profesor otaczał szczególną opieką młode pokolenie twórców.

Był ciepłym, dobrym człowiekiem.

Jego Rodzinie oraz Bliskim
składam wyrazy najgłębszego współczucia

Wiceprezes Rady Ministrów
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Piotr Gliński

8/04420/F

eprasa.pl fe81096850



Fot. BARTEK SYTA

Filozofia na trudne czasy

Jesteśmy w stanie wojny. Na wojnie wydaje się i wykonuje rozkazy. Stawką jest nie tylko życie ludzi, ale i przyszłość kraju. W przypadku pandemii nie może to być ciągnąca się wojna hybrydowa, ale szybkie, zdecydowane działanie

Z prof. Jackiem Hołówką, filozofem i etykiem, rozmawia Maja Narbutt

Pandemia sprawiła, że znaleźliśmy się w sytuacji bez precedensu, na którą nikt nie był przygotowany. Jak to wygląda z punktu widzenia filozofa i etyka?

Jacek Hołówka: Będę mówić rzeczy niepopularne. Po pierwsze, pandemia sprawia, że jesteśmy w stanie wojny. Stawką jest nie tylko życie ludzi, ale i przyszłość kraju. Musimy się zgodzić, by zrezygnować z pewnych uprawnień obywatelskich. Jest dobre powiedzenie, że nie zmienia się konia pośrodku rzeki. Zagrożenia są zbyt wielkie, by narzekać na rząd, niezależnie od tego, czy uważamy, że jest świetny, czy nie, czy mamy pretensje, czy ich nie mamy, zgadzamy się, że nie powinniśmy biegać w parkach, czy wręcz przeciwnie. Nie ma nic gorszego niż wzniecanie niezadowolenia i pustego krytycyzmu. Nie możemy grymasić, to zostawmy na czas pokoju. Nie możemy się domagać mało istotnych zmian, bo zawalimy sprawy najważniejsze. Wymaganie lojalności jest absolutnie kluczowe.

Stawia pan sprawy na ostrzu noża. Co jeszcze oznacza stan wojny?

Obowiązuje zupełnie inna etyka niż w czasach pokoju. Musimy mieć pewien rodzaj postawy utylitarnej, to znaczy takiej, której celem jest uratowanie możliwie największej liczby ludzi. Straty powinny być zminimalizowane, osiągnięcie celu uzyskane w sposób twardy, z pewnymi wyrzeczeniami i poświęceniem. To oznacza zawieszenie łagodnego, delikatnego i cywilizowanego sposobu życia. Na wojnie wydaje się i wykonuje rozkazy. Przede wszystkim trzeba osiągnąć cele podstawowe.

Jeśli chodzi o koronawirusa, to moim zdaniem niedopuszczalny jest ten rodzaj krytyki, który teraz słyszałem z różnych stron. Polega na mówieniu, że trzeba za wszelką cenę wspomagać osoby najsłabsze i najbardziej narażone. Tak niestety nie można robić. Państwo opiekuńcze działa w czasach pokoju. Jeśli zgodzimy się, że jesteśmy w stanie wojny, wojny z koronawirusem, to w pewnym momencie zminimalizowanie szkód medycznych nie może być naszym priorytetem. Stanie się celem drugorzędnym lub wręcz trzeciorzędnym. To będzie druga faza wojny.

Rzeczywiście mówi pan rzeczy niepopularne. I wręcz brutalne.

Wiem, że możemy się nie zgadzać. Ale postawa utylitarna może w pewnym momencie mieć sporo wspólnego z postawą opartą na religijności. Chodzi o sens poświęcenia, który w wypadku tej religijnej tradycji jest wręcz silniejszy niż w wypadku tradycji, z której ja wyrastam.

Powiedzmy szczerze: przyjdzie taki moment, kiedy trzeba będzie uruchomić gospodarkę i znieść ograniczenia, które mają chronić życie obywateli. Jeśli mówię, że chcę być lojal-

eprasa.pl fe81096850

nym obywatelem, to nie będę podpowiadał, jak mną rządzić i kiedy należy to zrobić. Powiedzmy niezobowiązująco, że stanie się to za miesiąc. Straty, które ponosimy, są przerażające, tysiące firm zbankrutują, a instytucje za chwilę nie będą już w stanie normalnie funkcjonować. Życie wielu ludzi może zostać zniszczone.

Po co prowadzi się wojny? Żeby wygrać i powrócić do stanu pokoju. Do takiego stylu życia, który identyfikujemy z własną przeszłością i tradycją i tym rodzajem dobrobytu, który staramy się odtworzyć.

W przypadku pandemii nie może być to ciągnąca się wojna hybrydowa, ale szybkie, zdecydowane działanie.

> To, co dzieje się w parlamencie, jest wręcz nieznośne, obrzydliwe. W głowie się nie mieści. Blokowanie wszystkiego, domaganie się pieniędzy nie wiadomo skąd

I uważa pan, że potem, po tej wojnie, otrzepiemy kurz bitewny i powiemy, że nic się nie stało? Chociaż musieliśmy zrezygnować z ważnych dla nas wartości?

Kiedy skończy się pandemia, musimy uczcić swoich zmarłych i bohaterów. Postawić jakieś pomniki. Tak, uważam, że powinien np. powstać pomnik Anonimowej Pielęgniarki. Musimy powiedzieć, że przez jakiś czas trzeba było działać jako naród i państwo w sposób szorstki i decyzje były podjęte z ciężkim sercem. Ale cenimy tych wszystkich, którzy zachowywali się lojalnie, podporządkowali się, bo robili to dla swych dzieci i wnuków.

A potem nadejdzie okres rozwagi, refleksji, na czym polega nasza wspólnotowość. To nieprawda, że każda wspólnota jest taka sama.

To, co przeżyjemy, w pewien sposób nas też połączy. Czas pokoju, dobrobytu i rywalizacji ekonomicznej nasilają postawy egoistyczne i konkurencyjne. Czas wojny i epidemii to czas okrucieństw, ale i altruizmu. Może wyniknąć z tego korzyść moralna. Po upadku komunizmu nie udało nam się utworzyć prawdziwej wspólnoty. Może trudne doświadczenia nauczą nas, że mamy wspólny los.

Jak to się stało, że w naszym cywilizowanym świecie pojawia się pandemia i rzuca nas na kolana? Co nas zawiodło? Nauka, w którą pan przecież wierzy?

Pandemia to zjawisko i klęska żywiołowa taka sama jak tsunami. Jeśli ktoś wierzy, że takie rzeczy nie będą się zdarzać, to wierzy w bajki dla prostodusznych dzieci. Zawsze musimy oczekiwać niespodziewanych trudności i ich się spodziewać. Uważam zresztą, że pandemia COVID-19 nie będzie tak straszna, jak epidemia hiszpanki, która po I wojnie światowej zdziesiątkowała Europę. Mój ojciec przechodził hiszpankę, znam to z rodzinnych przekazów. Kiedyś było takie lekarskie powiedzenie: największym szczęściem dla chorego starca w szpitalu jest zapalenie płuc. Nie było antybiotyków, więc zapalenie płuc oznaczało szybką śmierć. Siedemdziesięciokilkuletniego człowieka nie można było uratować. Dziś powiedzenie to brzmi skandalizująco.

Teraz mówi się, że pandemia uczy nas pokory...

Ja tak nie mówię. Mnie żadnej pokory nie uczy. Po co nam pokora? Mamy przed czymś bić czołem? Pandemia uczy



Fot. Andrzej Skwarczyński



nas rozsądku i powściągliwości. Trzeźwości myślenia i odrzucenia naiwnych złudzeń. Nie można żyć złudzeniami. Trzeba dorosnąć.

Bardzo lubimy być mamieni, oszukiwani, rozbawiani. Liczymy na to, że ktoś wieczorem nas położy spać i będziemy spać spokojnie. Usypiać nas może telewizja, gry komputerowe, doniesienia o kursach walut. Chcemy wiedzieć, że żyjemy na najlepszym z możliwych światów. Teraz trzeba się przebudzić.

Czy filozofia może nam jakoś pomóc w czasach pandemii?

Na ciężkie czasy, kiedy trzeba się poświęcić, najlepszy jest Fryderyk Nietzsche. Zachęcam do lektury. Pomaga odnaleźć w sobie siłę, szlachetność, ducha arystokratycznego. Uczy, że powinniśmy się wyzbyć interesowności, zachłanności, bezczelności, naiwności i negatywnego zwalczania innych. On to nazywał resentymentem. Najgorsza przywara ludzka, to co nazywał „ludzkie, arcyludzkie", to resentyment, to znaczy zazdroszczenie innym, że mają lepiej. Żywienie trwałej, chorobliwej niechęci, która nie jest w pełni nienawiścią, ale zrzędzącą, małpią złośliwością. Czyli to, co robi w tej chwili opozycja.

To, co dzieje się w parlamencie, jest wręcz nieznośne, obrzydliwe. W głowie się nie mieści. Blokowanie wszystkiego, domaganie się pieniędzy nie wiadomo skąd.

Myśli pan, że rzeczywiście Nietzsche będzie czytany?

Sam się zdziwiłem, kiedy kilka lat temu na Uniwersytecie Warszawskim zobaczyłem, że Nietzsche staje się wśród studentów popularny. To zawsze tak jest. Ci młodzi ludzie, którzy nie potrafią się dostosować do świata, w którym żyją, szukają rozwiązań i odkrywają zapomniane wątki. Potem przejmują to od nich dorośli.

Komu będzie sprzyjać epoka koronawirusa? Tym, którzy są idealistycznie nastawieni, wymagają dużo od siebie, a zarazem szanują innych. Dlatego karnie stajemy w odległości dwóch metrów od siebie i zwracamy uwagę na przestrzeganie bezpiecznego dystansu.

Narzekanie i malkontenctwo, o których pan wspomniał, w ciężkich czasach rażą bardziej niż zwykle.

Rzeczywiście. Wychodzę z domu po zakupy i obserwuję, co dzieje się pod sklepami. Zawsze jest tak samo. Są sceny żenujące i głupkowate. Jakiś facet w kolejce, z reguły ten, który stoi piąty, zaczyna się awanturować. Przepycha się. Żąda, by pierwsza osoba, która stoi przed drzwiami, zajrzała do środka. „Dlaczego to tak długo trwa? Jak oni nas traktują, jak bydło".

Człowiek ciągle krytykujący, arogancki i domagający się przywilejów w obecnej sytuacji odstaje od reszty. Miesiąc temu nie odstawał. Jednak teraz widać, że jedni są karni i samosterowni, a inni bezczelni i nachalni.

Pandemia sprawiła, że zaczynamy doceniać dawno zapomnianą wartość dyscypliny.

Powinniśmy się nauczyć być posłuszni. To jedno z najsłynniejszych powiedzeń niedawno zmarłego brytyjskiego filozofa Rogera Scrutona. Żądanie wolności jest często żądaniem usprawiedliwionym, ale często jest zupełnie nieprzytomnym. Scruton uważał, że ludzie w XXI w. są ukrytymi anarchistami, choć nie zdają sobie z tego sprawy. Domagając się wolności, w rzeczywistości domagają się bałaganu. Co ciekawe, jeśli są do tego zmuszeni, łatwo się podporządkowują woli instytucji rządzących krajem. Chętnie akceptują ograniczenia i równocześnie narzekają. To bardzo typowe. Narzekać i wypełniać wymagania, przed którymi nie można uciec. Jak widać, pewnych rzeczy można się nauczyć w sposób łatwy lub trudny.

Odbieramy więc teraz szybką lekcję stosownych zachowań.

To trudne ćwiczenie z przyzwoitości. Trzeba wziąć na siebie pewne obowiązki, nie oglądać się za siebie, czy ktoś nas pilnuje. Najbliższe tygodnie powinny nas tego nauczyć. Nie należy oszukiwać, nawet jeśli nikt tego nie zauważy. Nie przeciągać na swoją stronę. Trzeba myśleć o innych, czy są zdrowi, czy mają co jeść, jak można im pomóc. I pogodzić się ze swoim losem. Wyrzec się hucpowatego żądania, że wszystko się nam należy. Owszem, coś się nam należy, ale na pewno nie wszystko.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fe81096850

Wracamy do poważnego widzenia świata, takiego jak było w starożytnej Grecji. Człowiek powinien znać swoje miejsce. Nie powinien dać się zepchnąć na dół, ale też nie może aspirować do miejsca, które się mu nie należy.

Każdy powinien znać swoje miejsce. Czyli podważa pan świat powszechnej równości.

Hierarchię społeczną należy uszanować. Egalitaryzm jest dobry jako teoria porządkowania własnych emocji i psychologicznego widzenia świata, ale nie można na nim oprzeć zarządzania społeczeństwem. Ktoś musi nami rządzić i ma prawo decydować oraz dokonywać wyborów.

Jak już mówiłem, w tej trudnej sytuacji, w jakiej jesteśmy, najważniejsza jest lojalność wobec państwa i podporządkowanie się. Mówiąc żartobliwie, będę teraz chodził do sklepu między godziną 10 a 12. I jeśli zechcę przyjść w innych godzinach, muszę się liczyć z tym, że jacyś panowie z ochrony wyprowadzą mnie na zewnątrz.

Pandemia wydaje się wręcz idealnym tematem rozważań etyka. Bo przecież sytuacja, w której ktoś kogoś zakaża, budzi moralny niepokój. Jest problem winy i odpowiedzialności.

Jest takie świetne zdanie amerykańskiego filozofa Johna Rawlsa: nawet pies wie, kiedy ktoś go kopnie, a kiedy się o niego potknie. Tym bardziej jest to prawdziwe w stosunku do ludzi. Jeśli więc człowiek kogoś zakazi, absolutnie nie zdając sobie z tego sprawy, że to możliwe, jest niewinny. Był tylko nieświadomym instrumentem przenoszenia wirusa. Taka sytuacja może dotyczyć każdego z nas, bo przecież wiele osób przejdzie zakażenie koronawirusem bezobjawowo.

Możemy mieć więc tylko nadzieję, że jeśli kogoś tak zakaziliśmy, to ta osoba zakażona się z tego wykaraska. Nie powinniśmy w tej sytuacji epatować poczuciem winy, że być może hipotetycznie komuś zaszkodziliśmy. W teologii takie zachowania nazywa się „sumieniem czułostkowym" i jest moralną wadą.

No dobrze, ale są zupełnie inne sytuacje, o których ciągle słyszymy. Ktoś powinien siedzieć w domu, bo odbywa kwarantannę, ale wyszedł na ulicę lub do sklepu. Albo zataił, że miał kontakty z kimś chorym, czy też wrócił z zagranicy, gdzie było dużo zachorowań, a mimo to nie unikał spotkań towarzyskich.

Jeśli założę się z kimś, że przejadę samochodem z zamkniętymi oczami sto metrów, to jestem winny, nawet jeśli nie spowoduję katastrofy. Kiedy świadomie podejmuje się ryzyko i igra z niebezpieczeństwem, jest się winnym i ponosi pełną odpowiedzialność.

Są też sytuacje bardziej skomplikowane: załóżmy, że lekarz zbyt wcześnie wypisze pacjenta ze szpitala i ten będzie zakażał, to kto będzie winny? Albo nie zdiagnozuje u niego koronawirusa, choć powinien.

Poczucie winy jest sprawą skomplikowaną. Klasyczny przykład: kierowca samochodu osobowego zahamował przed wybiegającym na ulicę dzieckiem. Ale nagle stuka go hamująca z tylu ciężarówka. I popchnięte auto zabija dziecko. Kto będzie miał poczucie winy? Oczywiście kierowca samochodu osobowego, choć przecież zrobił, co mógł, by je uratować.

W sytuacji pandemii z założenia trzeba być szczególnie ostrożnym.

To wypływa z teorii gier. Prowadzimy grę z naturą, nie wiemy dokładnie, jaki będzie następny ruch przeciwnika, ale opierając się na statystyce, widzimy już, że na razie najlepszą strategią jest izolacja. Musimy się z nią pogodzić. Jako osoba dość towarzyska złoszczę się, że nie mogę się spotykać z bliskimi osobami, ale czekam, aż sobie to w końcu powetuję.

Narodowa kwarantanna i samoizolacja kiedyś się skończą.

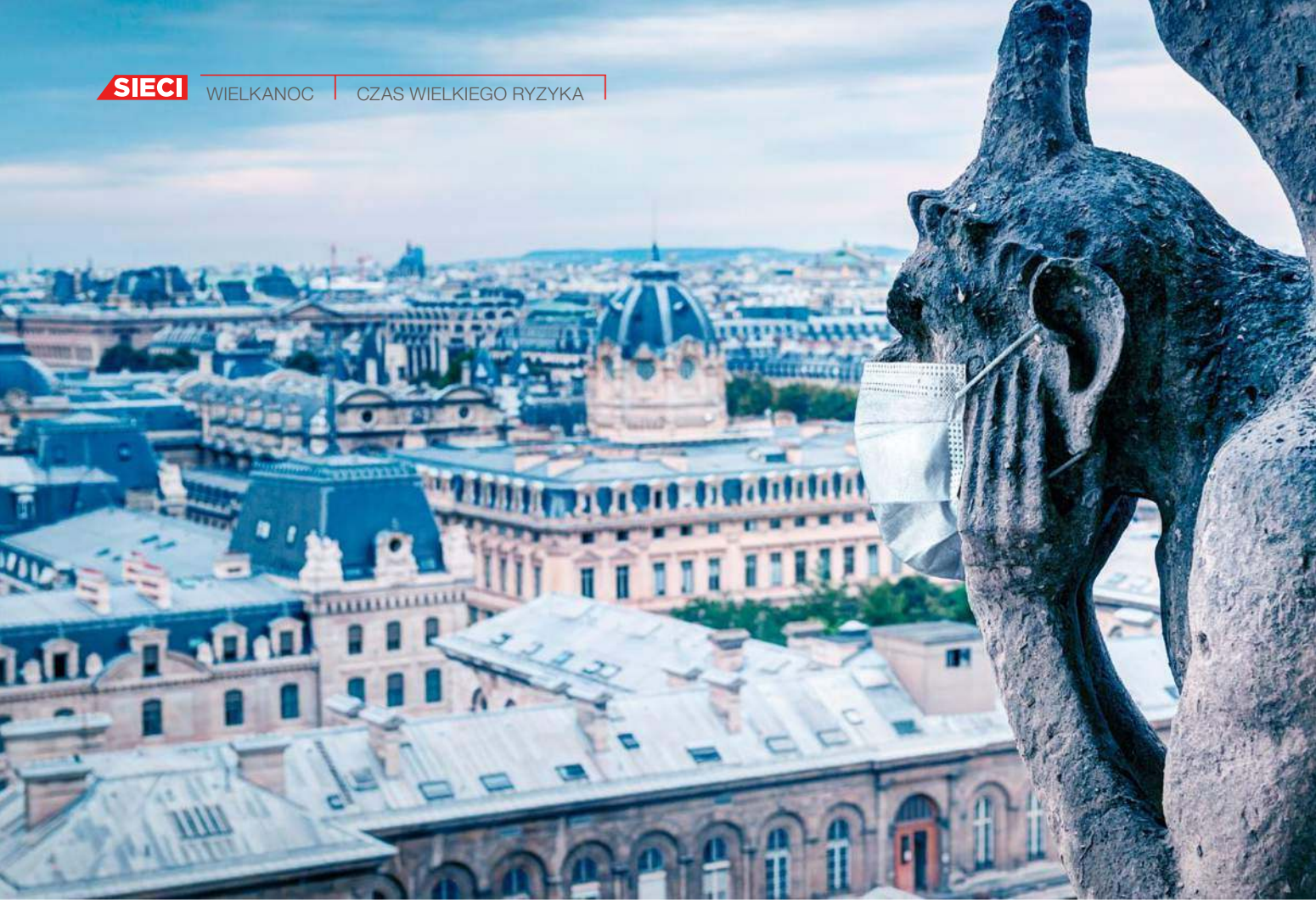
Tak jak mówiliśmy na początku, w stanie wojny z wirusem konieczna jest etyka wojenna. Dalsze straty ludzkie są nieuniknione i wtedy nikt już za to nie odpowiada. Za nie odpowiada przyroda, bieg wydarzeń. Człowiek musi minimalizować szkody, ale nie może powiedzieć, że jest za nie odpowiedzialny i że musi zrobić wszystko, by je doprowadzić do zera. Bo wtedy przegramy wszystko i nie wrócimy już do kraju, o którego szczęście walczyliśmy i na które przez lata harowaliśmy.

REKLAMA



54/0320/F

eprasa.pl fe81096850



Gdy świat się zatrzymał

Źródłem kryzysu, w jaki obecnie wchodzimy, jest bezprecedensowa w nowożytnej Europie polityczna decyzja rządów o zatrzymaniu gospodarki i życia społecznego. Zarządzenie przymusowego „lockdownu”



JAN ROKITA

Wbrew temu, co powiedziano w dziesiątkach wystąpień polityków i setkach tekstów publicystycznych, to nie zaraza roznieciła ogień pod tym wszystkim, co zwykliśmy dotąd uważać za nasze normalne życie. Zrobili to nasi politycy, którzy po chwilowym wahaniu w większości demokratycznych krajów uznali, że muszą postawić wszystko na jedną kartę, byle tylko ograniczyć liczbę tych, którzy mogliby umrzeć w efekcie złapania wirusa. Dlaczego strachliwi zazwyczaj demokratyczni politycy tym razem zdecydowali się na podjęcie aż tak wielkiego ryzyka?

Dlaczego z premedytacją postawili na recesję, bezrobocie, zadłużenie, upadłość firm, a w perspektywie najprawdopodobniej także na inflację i kryzys finansowy? Sądzę, że owa decyzja, bezprecedensowa w skali nowożytnej historii Europy, stanie się na długie lata tematem kontrowersji intelektualnych, debat i książek. A zarządzony przez polityków „lockdown” roku 2020 będzie być może przez następne wieki uważany za sytuację graniczną, zwłaszcza dla dziejów demokratycznej Europy.

eprasa.pl fe81096850



Fot. Shutterstock

„EFEKT LOMBARDZKI"

Na dziś wiemy tyle, że odpowiedź, jakiej najczęściej udzielają sami politycy, mówi o obawie o wytrzymałość systemów opieki zdrowotnej. Najwyraźniej w kręgach politycznych Europy przerażenie wzbudził efekt niekontrolowanej fali jednoczesnych zachorowań w Lombardii, który załamał tamtejszą opiekę szpitalną, zwiększając skalę zgonów wśród chorych niemogących znaleźć pomocy w zakorkowanym systemie ochrony zdrowia. Obserwacja lombardzkiego doświadczenia skłoniła do radykalnej zmiany strategii gabinet premiera Johnsona, po tym jak otrzymał on szacunki ekspertów, iż przy liberalnym podejściu do zarazy w jej wyniku może umrzeć 510 tys. Brytyjczyków (tak mówi cytowana przez angielskie media ekspertyza Imperial College). Do tego samego doświadczenia odwołała się kanclerz Merkel, tłumacząc Niemcom, iż ich system służby zdrowia może wytrzymać najwyżej taką skalę przyrostu infekcji, w ramach której ich liczba będzie się podwajać w ciągu dziesięciu (a nie jak ostatnio w ciągu pięciu) dni.

W Polsce za pomocą dokładnie tej samej logiki minister Szumowski zwykł uzasadniać wszystkie restrykcje, zaostrzane z tygodnia na tydzień. Tyle że w polskich warunkach ta argumentacja ma jeszcze mocniejsze podstawy niż gdziekolwiek w Europie. Z prostego powodu: nasz system opieki zdrowotnej jest bardziej niż gdzie indziej podatny na zakorkowanie. I choć władze roztropnie, aby do tego nie dopuścić, względnie wcześnie narzuciły restrykcje na podróże i kontakty międzyludzkie, nikt na razie nie jest w stanie zagwarantować, że za parę tygodni i u nas nie wystąpi w jakiejś mierze „efekt lombardzki". Wyłączanie specjalnych szpitali, rezerwacja hoteli czy akademików, które awaryjnie mogą się zmienić w lazarety, ściąganie respiratorów etc. – to przedsięwzięcia także mające nieco zwiększać odporność systemu.

Jednak realne wąskie gardło polskiej opieki zdrowotnej to nie budynki, rzeczy ani wyposażenie, lecz ludzie. Dane publikowane w 2019 r. przez Komisję Europejską wyglądają dla Polski zabójczo. Mamy najniższą liczbę lekarzy w Unii liczoną na tysiąc mieszkańców (wskaźnik 2,4 wobec średniounijnego 3,6) oraz trzecią od końca – przed Bułgarią i Łotwą – liczbę pielęgniarek (odpowiednio 5,1 wobec 8,5). Jeśli ktoś chciałby bliżej przyjrzeć się temu smutnemu w dzisiejszym czasie układowi kartezjańskich współrzędnych, to można go oglądać na stronach OECD (https://www.oecd.org/poland/Polska-Profil-systemu-ochrony-zdrowia-2019-Launch-presentation.pdf). To oczywiste, że taki stan rzeczy jest skutkiem długoletniej błędnej polityki, ani nie próbującej przeciwstawiać się masowej emigracji lekarzy, ani nie zwiększającej skokowo liczby studentów medycyny. Polityki, którą po raz pierwszy nazbyt ostrożnie zaczęto modyfikować dopiero w ciągu ub.r.

Dlatego niewykluczone, że w polskich warunkach decyzja o zamknięciu granic państwa powinna była zapaść nawet wcześniej, niż to się stało, choć stało się na tle innych państw europejskich i tak stosunkowo wcześnie – 13 marca, gdy potwierdzonych było u nas mniej niż sto przypadków infekcji. Cała Unia na taki krok zdecydowała się dopiero cztery dni potem, co nie oddaje faktycznej skali opóźnienia, gdyż zaraza dotarła przecież do Polski grubo później niż do Włoch, Hiszpanii czy Francji. We Włoszech obecny lider prawicowej opozycji Matteo Salvini już w styczniu, gdy jeszcze nikt nie przewidywał, że zachodnia Europa stanie się globalnym centrum zarazy, domagał się zamknięcia granic państwa, by – jak przekonywał – nie dopuścić do Italii i całej Europy „chińskiego wirusa". Wtedy w styczniu dość powszechnie potraktowano go jako obsesjonata, który tylko szuka pretekstu, aby pozbawić Europę dobrodziejstwa otwartych granic, jakie przyniósł traktat z Schengen. Z perspektywy czasu trudno nie stawiać sobie pytania, jak wyglądałby dzisiaj nasz świat wokół, gdyby Salvini nie stracił w ub.r., po serii własnych politycznych błędów, funkcji włoskiego wicepremiera i szefa MSW? Problem poniekąd podobny do słynnych rozważań Tołstoja z „Wojny i pokoju" na temat skutków kataru Napoleona pod Borodino.

STRACH POLITYKÓW I EUGENIKA NATURY

Za przywoływanym ciągle przez polityków argumentem o groźbie załamania systemu i masowych zgonów stoją jednak dwie znacznie głębsze racje, słabo przebijające się w debacie publicznej. Pierwsza to racja czysto polityczna, słabo publicznie obecna, gdyż wstydliwa, zwłaszcza dla rządów i partii rządzących. W rządowych gabinetach państw demokratycznych zapanował bowiem po prostu zwykły strach przed utratą władzy. Wizja telewizyjnych transmisji z przejazdu wojskowych konwojów wywożących trumny z Lombardii i coraz bardziej emocjonalnie wyrażane pretensje lekarzy pod adresem państwa to czarny sen niemal wszystkich polityków sprawujących dzisiaj władzę. Z jednej bowiem strony liczą oni na dobrze znany efekt społecznej konsolidacji obywateli wokół państwa i rządu, jaki występuje w sytuacji każdego zbiorowego nieszczęścia. Z drugiej zaś boją się, że pewnego dnia zostaną obarczeni polityczną odpowiedzialnością za chaos służby zdrowia i masowe zgony. I nie wiedzą,

eprasa.pl fe81096850

który z tych sprzecznych mechanizmów mocniej zadziała w ich własnym przypadku.

W Polsce owocem tej właśnie obawy jest (daremny jak się zresztą zdaje) upór Kaczyńskiego co do majowego terminu wyborów prezydenckich. We Francji na ów efekt społecznej konsolidacji liczył Macron, któremu tak bardzo zależało na przejęciu przez jego ludzi paryskiego merostwa, że mimo ekspansji zarazy dopuścił pierwszą turę wyborów municypalnych. Gdy jednak jego kandydatka odpadła w pierwszej turze, drugą turę odwołał. I teraz jest oskarżany o zawinienie setek zachorowań członków komisji wyborczych i zaangażowanych w procedury wyborcze partyjnych działaczy. Z kolei w USA, mimo słynnego optymizmu Amerykanów uważanego czasem za ich narodową cechę, nadmiar naiwnego optymizmu ze strony Trumpa może się okazać jego gwoździem do trumny w jesiennych wyborach (o ile te się odbędą). Z charakterystyczną pewnością siebie Trump zapowiadał już bowiem szybkie odejście zarazy, nieodległą perspektywę wyprodukowania szczepionki oraz masowy dostęp do testów dzięki systemowi cyfrowemu opracowywanemu przez „tysiąc siedmiuset inżynierów" z Google. Jak dotąd wszystko to okazało się „wishful thinking". A realia są dziś takie, iż to Ameryka powoli przejmuje od Europy rolę globalnego centrum zarazy. Zaś Trump co prawda dotąd nie utracił szans na listopadowe zwycięstwo, to jednak wedle wszystkich marcowych sondaży faworytem wyborów, gdyby odbywały się one dzisiaj, byłby Joseph Biden.

Druga, a prawdę mówiąc, fundamentalna racja przemawiająca na rzecz zarządzonego przez polityków „lockdownu", pochodzi z porządku metapolitycznego. U początków kwietnia mamy już w zasadzie pewność, że uderzenie, jakie zgotowała nam natura, ma wymiar eugeniczny. Jak dobitnie napisał do mnie w ostatnich dniach filozof prof. Piotr Nowak – to rzecz zwyczajna, że dane nam jest poznać „nazistowski aspekt natury, nie ma co wybrzydzać, tak było, jest, tak będzie". Statystycznie rzecz biorąc, zaraza zabija chorych, starych i słabych, czyli potencjalnie mogłaby „uzdrowić" i „odmłodzić" stare i zmęczone społeczeństwa europejskie, uzdrawiając także przy okazji załamujące się systemy emerytalne. Bodaj największy paradoks dzisiejszej sytuacji polega na tym, że nasze społeczeństwa, przesiąknięte duchem humanitaryzmu, w żaden sposób nie mogą się na to zgodzić. A w rezultacie demokratyczne rządy zmuszone zostały do podjęcia walki na śmierć i życie z eugenicznym ostrzem zarazy. Egzekutorem tej walki stało się państwo – jedyna instytucja z jednej strony dysponująca potrzebnymi do takiej walki zasobami (policją, wojskiem, budżetem, szpitalami, prawem wprowadzenia stanu wyjątkowego etc.), z drugiej zaś zdolna do kierowania się humanitarnymi ideałami, a nie jedynie brutalną racjonalnością ekonomii i demografii. Dlatego właśnie prawdziwym bohaterem czasów zarazy stało się państwo, które choć opieszałe, biurokratyczne i niewydolne, spektakularnie ujawniło w kryzysie swoje moralne znaczenie.

> U początków kwietnia mamy już w zasadzie pewność, że uderzenie, jakie zgotowała nam natura, ma wymiar eugeniczny

Jednak cała ta argumentacja nie sprawia bynajmniej, aby polityczne decyzje obecnie podejmowane miały cechę oczywistości. Całkiem przeciwnie. Najpierw dlatego, że nie ma wcale pewności, iż liberalne, a nie restrykcyjne podejście do zarazy musi się skończyć hekatombą zgonów. Przykłady Korei Południowej, a w Europie Szwecji – krajów, które pozostając w wyraźniej mniejszości, konsekwentnie trzymają się liberalnego kursu wobec zarazy, dostarczają (przynajmniej dotąd) koronnych argumentów na rzecz tej właśnie nieoczywistości. Żaden z tych krajów nie znajduje się bowiem w czołówce statystyk zachorowań i zgonów, ich kondycja gospodarcza zaś po odejściu zarazy będzie zapewne dużo lepsza niż tych, którzy zaordynowali u siebie – tak jak Polska – niemal totalny „lockdown".

W telewizyjnym przemówieniu do Szwedów premier Löfven odwołał się do argumentu o dorosłości czy raczej dojrzałości obywateli. Mówił: „My, którzy jesteśmy dorośli, dokładnie takimi musimy się dziś okazać: dorosłymi. Żadnej przesady, paniki ani plotki". Szwedzki rząd nie zdecydował ani o zakazie przebywania w miejscach publicznych, ani nie zamknął szkół i uczelni, ani nawet nie zablokował życia towarzyskiego w parkach, klubach czy restauracjach. W samej końcówce marca zarządził jedynie, aby zgromadzenia publiczne nie przekraczały liczby 50 osób. Nie ma dziś pewności ani tego, czy Szwecja utrzyma do końca zarazy taką strategię, podobnie jak nie ma pewności co do jej możliwych złych skutków. Jedno jest tylko pewne. Jeśli Szwedom uda się zachować konsekwencję, to w konkurencyjnej rywalizacji dzień po zarazie znajdą się w dużo lepszym punkcie niż wszyscy ci, którzy będą dopiero wychodzić z ciężkiego „lockdownu".

„LOCKDOWN" I CO DALEJ?

Nie należy bowiem żywić złudzeń, że świat, albo nawet Unia Europejska, dzień po zarazie będzie zdolna do ekonomicznej solidarności. Już dziś zaczęła się rywalizacja o to, kto wykaraska się z obecnej opresji najmniej gospodarczo poturbowanym i osłabionym. To, co bowiem może się okazać najtrwalszym skutkiem zarazy – to właśnie nowy układ sił, niekoniecznie tożsamy z tym, który skłonni byliśmy dotąd uważać za niemal niezmienny.

Ten problem w szczególności dotyczy Polski jako kraju w ciągu ostatnich dwóch dekad sprawnie nadganiającego Europę Zachodnią, która uciekła nam, gdy nad naszą częścią kontynentu niemal na pół wieku zapanował komunizm. Jeśli dzień po okaże się, że za sprawą strachu przed załamaniem naszej służby zdrowia i eksplozją liczby zgonów zrujnowaliśmy naszą wyjściową pozycję konkurencyjną w Europie, możemy za to płacić poziomem życia i społeczną frustracją przez wiele długich lat. Nic więc dziwnego, że przynajmniej co niektórzy polscy

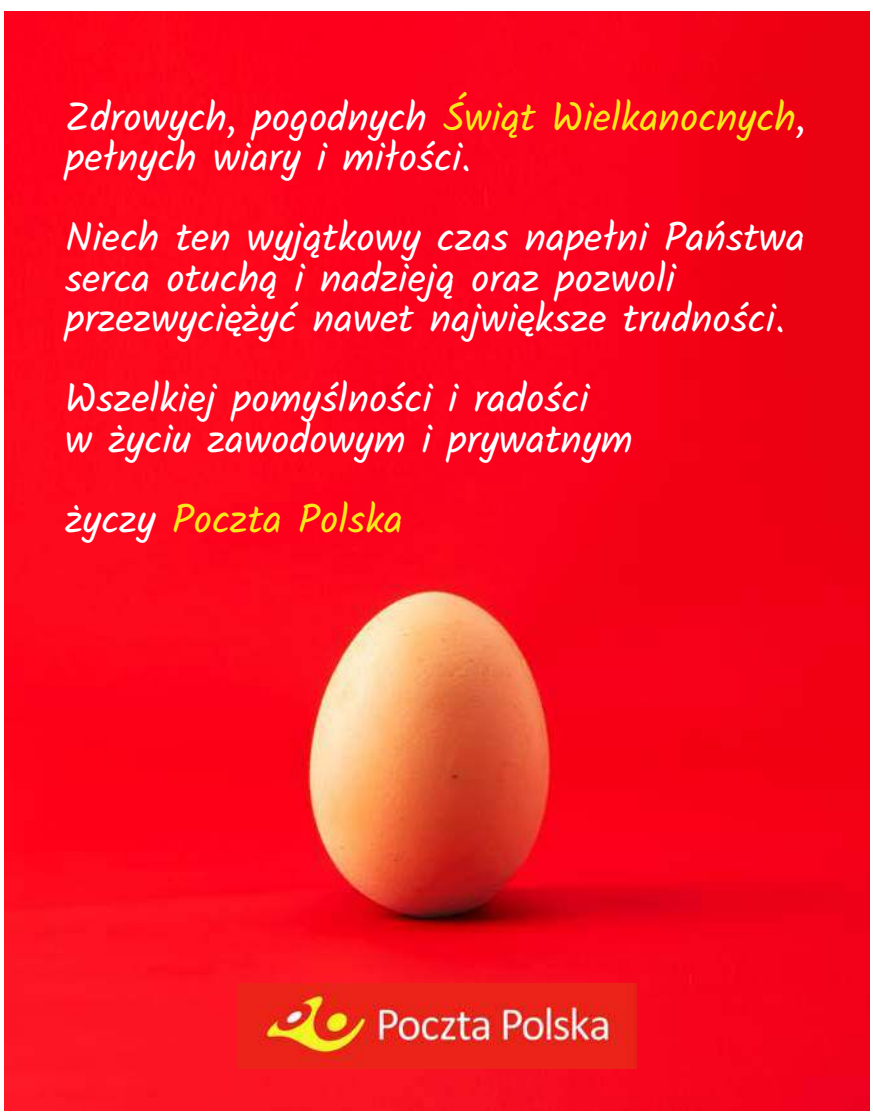
eprasa.pl fe81096850

politycy coraz głośniej przebąkują o konieczności szybkiego powrotu do normalności. Najdalej posunął się jak dotąd wicepremier Gowin, który kilka dni temu sugerował, że już po Wielkanocy nastąpić powinien czas powrotu, ale najwyraźniej został zmuszony do wycofania się. W wywiadzie dla Radia Zet z 31 marca musiał przyznać otwarcie, że się mylił z podaniem tak szybkiego terminu. Na razie w polskim rządzie wygrywa optyka lekarza i ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego, w której bezwzględnym priorytetem jest walka o niezakorkowanie systemu służby zdrowia. Trzeba tylko mieć pełną jasność, że jest to optyka, która ma swoją sporą cenę.

Jakby tego wszystkiego było mało, w najwyższym stopniu nieoczywisty jest również patent na ograniczanie złych skutków wymuszonej przez polityków blokady gospodarki. Jak zwykle bowiem w takich razach doświadczenia przeszłości rzutują na idee, jakie rodzą się dzisiaj. Wielki kryzys finansowy lat 2008–2009 został przełamany dzięki pompowaniu przez rządy i banki centralne wielomiliardowych kwot drukowanych pieniędzy, ratujących z jednej strony wypłacalność banków, z drugiej ożywiających społeczną konsumpcję. W Polsce taką pozytywną ekonomicznie rolę odegrał wówczas (wbrew temu, co wieszczyli ekonomiści) program 500+. Tyle tylko, że kryzys, w jaki obecnie wchodzimy, jest całkiem inny, gdyż jego źródłem nie są perturbacje rynkowe, ale (powtórzmy to raz jeszcze) bezprecedensowa w nowożytnej Europie polityczna decyzja rządów o zatrzymaniu gospodarki i życia społecznego. Jeśli więc przymusowy gospodarczy „lockdown" miałby się przeciągać, to wielomiliardowe kwoty wpompowywane w rynek mogą nie tylko nie przynieść oczekiwanego ożywienia, ale wywołać znany dobrze z historii gospodarczej efekt powojennej inflacji. Jak zgrabnie ujął to ostatnio niegdysiejszy reformator polskich banków Stefan Kawalec: „Impuls popytowy nie ożywi działalności gospodarczej wstrzymanej decyzjami władz, a ludzie nie będą jeść pieniędzy".

Wystraszonych upadkiem firm i bezrobociem ludzi rządy pocieszają teraz wizją wielkich pieniędzy, które kosztem równie wielkiego długu publicznego miałyby być tłoczone na rynek. Wicepremier Gowin mówi: „Potrzebujemy setek miliardów". Ale im dłużej gospodarka będzie stała na rozkaz władz, a na rynku będą się pojawiać coraz nowsze pomocowe pieniądze, tym większe prawdopodobieństwo zjawiska powojennej inflacji, która zeżre owe pieniądze i doprowadzi do lawinowego wzrostu cen, bez wpływu na ożywienie gospodarcze. Całkiem prawdopodobne zatem, że dzień po wygrają te kraje, które wyzbyte lewicowych przesądów będą zdolne do szybkiej liberalizacji i deregulacji swych gospodarek, tak by za wszelką cenę dać impuls nowej przedsiębiorczości. Niemal dokładnie tak samo jak my w Polsce, a po nas cała Europa Środkowa uczyniła po upadku komunizmu w 1989 r. Czy dzisiaj bylibyśmy zdolni do takiej powtórki? W każdym razie widać jasno, że podobnie jak sam wybór strategii walki z zarazą, tak i wszelkie tarcze antykryzysowe obarczone są znacznie większą dozą ryzyka, niż się to dziś komukolwiek wydaje. Przy obecnym poziomie niepewności skutków każdej decyzji dziękować Bogu może ten, kto nie będąc Morawieckim, Szumowskim, Gowinem, a przede wszystkim Kaczyńskim, nie musi brać na swoje barki owego ryzyka. Chyba po raz pierwszy w wolnej Polsce rola tych, którzy sprawują władzę, jest aż tak bardzo nie do pozazdroszczenia.

REKLAMA



56/0320/F

eprasa.pl fe81096850

Bye-bye Małgosia!



Kandydatka Platformy Obywatelskiej na prezydenta ciągnie partię na dno, ale nadal nie wiadomo, jak się jej pozbyć



STANISŁAW JANECKI

Kiedy Małgorzata Kidawa-Błońska ogłosiła, że zawiesza kampanię wyborczą, mało kogo w Platformie Obywatelskiej to obeszło. Tym bardziej że już od kilkunastu dni partyjne struktury nie interesowały się kampanią swojej kandydatki na prezydenta. Parły do tego, aby za wszelką cenę nie dopuścić do wyborów, co w praktyce sprowadzało się do oskarżania Zjednoczonej Prawicy o to, że zmierza do prezydenckiej elekcji, a tym samym zgadza się na hekatombę Polaków, a więc będzie miała „krew na rękach". A za to poniesie konsekwencje nie tylko polityczne, ale wręcz karne. Jedyne, czym zajmuje się obecnie PO, to trzymanie się narracji o „zbrodniczości" wyborów.

Małgorzata Kidawa-Błońska też się w to włączyła, a nawet mówiła o tym w Sejmie, choć nowe władze partii i przewodniczący Borys Budka nie byli wcale przekonani, czy powinna w ogóle występować tuż po serii kompromitujących wpadek. Ale w końcu jej pozwolono. Wtedy przypuściła wielki atak na rząd, zarzucając mu, że zaniechał właściwie wszystkiego w walce z pandemią koronawirusa. Miało się to nijak do rzeczywistości i było wyjątkowo ponure w tonie, nawet jak na opozycję i PO. Ale nikt się tym w partii specjalnie nie przejął, gdyż wspieranie Kidawy-Błońskiej i prowadzenie jej kampanii już wtedy przestały być głównym problemem PO. Zastąpiło je kombinowanie, jak z najmniejszym uszczerbkiem dla własnego wizerunku wycofać kandydatkę z wyborów, najlepiej z powodów obiektywnych.

NAJWIĘKSZY PROBLEM PLATFORMY

Dlaczego Małgorzata Kidawa-Błońska stała się dla partii ciężarem nie do uniesienia? Dlaczego stało się to oczywiste zarówno dla nowego przewodniczącego Borysa Budki, jak i dla jego poprzednika Grzegorza Schetyny, że ciągnie ona Platformę Obywatelską na dno? Wszystkie jej zalety, m.in. spokój, stateczność, pochodzenie, prezencja, polityczna nieostrość, wyczerpały się mniej więcej po dwóch tygodniach kampanii. Potem był już tylko gwałtowny zjazd. Ujawniło się jej kompletne niezrozumienie polityki, absolutne dyletanctwo w najważniejszych dziedzinach (gospodarka, finanse, bezpieczeństwo, polityka zagraniczna, energetyka), problemy z poprawnym wysławianiem się, gubienie sensu i logiki nawet w krótkich wypowiedziach.

Najpierw tylko Grzegorz Schetyna łapał się za głowę, słuchając i oglądając własną kandydatkę na najwyższe stanowisko w państwie, a potem także nowe kierownictwo musiało uznać, że „królowa jest naga". Nie tylko w sondażach zaczął ją doganiać Władysław Kosiniak-Kamysz (jej spadało, jemu rosło), ale cała Koalicja Obywatelska zaczęła tracić. Wtedy w partii zaczęto szukać jakiegoś pretekstu, by się kandydatki pozbyć – w miarę elegancko, choć bez przesady. To „bez przesady" wynika z tego, że sama Małgorzata Kidawa-Błońska nie widzi swoich błędów i tego, co złego robi partii. Dlatego była zdziwiona, a nawet zniesmaczona najpierw wypowiedziami Schetyny, następnie Budki. A później praktycznym odcięciem partyjnego wsparcia dla jej kampanii.

Zawieszenie kampanii nie wynikało z woli kandydatki, lecz z jej faktycznego wstrzymania przez partię. Dlatego w dniu zawieszenia wciąż kampanię prowadziła, choć kompletnie przez partię porzucona. Na dodatek to z partii wyszły kompromitujące jej własną kandydatkę nagrania z czata (odbył się już po wycofaniu), gdzie rozpaczliwie próbowano jej pomóc wybrnąć ze słów, jakoby „konstytucja była ważniejsza niż życie ludzi". I gdy autor pytania odwrócił sens tamtego powiedzenia na „życie ludzkie jest ważniejsze od konstytucji",

eprasa.pl fe81096850

Małgorzata Kidawa-Błońska z wielkim zapałem zapewniała, że tej korzystniejszej dla siebie wersji nigdy nie wypowiedziała. Wtedy współpracownicy nie wytrzymali i upowszechnili kompromitujące nagranie. Chciano w ten sposób powiedzieć kandydatce: „Kończ Małgosiu, wstydu oszczędź!". Ona sama była potem oszołomiona tym, że ktoś z kolegów czy współpracowników mógł jej zrobić takie świństwo. Z kolei oni nie mogli już znieść, że „ona wciąż to robi", a w dodatku nie zdaje sobie z tego sprawy. Po tym incydencie nawet Borys Budka wyrywałby sobie włosy z głowy, gdyby miał co wyrywać.

Fot. Andrzej Wiktor

NOWE OTWARCIE

Gdy najpierw Grzegorz Schetyna, a potem także Borys Budka zaczęli rozważać „nowe otwarcie", czyli zresetowanie wyborów prezydenckich tak, żeby nawet od nowa wyłaniać kandydatów, w tym przeprowadzić nowe prawybory w Platformie Obywatelskiej, wynikało to z możliwości skorzystania z okazji, która może się nie powtórzyć. A tą szansą byłoby wprowadzenie któregoś ze stanów nadzwyczajnych w związku z rozszerzającą się epidemią. Konstytucyjnie zarejestrowanych komitetów wyborczych i kandydatów nie da się odwołać, chyba że sami się wycofają. I apele PO o wycofanie się wszystkich opozycyjnych kandydatów zmierzają do tego, aby można było zresetować wybory i wymienić Małgorzatę Kidawę-Błońską.

Problemem jest to, że pozostali opozycyjni kandydaci doskonale wiedzą, z czego to wołanie wynika, i wcale nie chcą pójść PO na rękę, nawet gdyby np. Szymon Hołownia też zawiesił kampanię (choć wciąż ją prowadzi). Sama Małgorzata Kidawa-Błońska, a potem PO zaczęły wzywać do bojkotu wyborów, żeby zwycięzca miał słaby mandat, który poza tym można by zanegować skargami do Sądu Najwyższego lub pozwami o „ochronę dóbr osobistych", czyli życia i zdrowia wyborców, co chcą przeprowadzić m.in. znani z inicjatywy „Wolne sądy" adwokaci Sylwia Gregorczyk-Abram i Michał Wawrykiewicz. W takiej atmosferze można by próbować wymienić kandydatkę PO, choć prawnie jest to bardzo trudne, jeśli sama się nie wycofa, a na razie nie chce. Ale w PO liczą, że efekt da jej „młotkowanie" i w końcu ulegnie tej presji. A przedstawiono by to jako protest przeciwko narażaniu życia i zdrowia ludzi oraz zachętę dla innych kandydatów, a nawet rodzaj moralnego szantażu wobec nich.

Niezależnie od tego, jakie rozwiązanie zostanie przyjęte na poziomie państwa (stan nadzwyczajny i przesunięcie wyborów) czy opozycji (wycofanie kandydatów), Małgorzata Kidawa-Błońska jest już wyłącznie na ścieżce politycznego upadku. Jeśli kandydatka PO przetrwałaby, jeszcze przed wyborami zostanie prześcignięta przez któregoś z konkurentów, co wizerunkowo byłoby katastrofą i niwelowało właściwie do zera jej szanse na drugą turę. Tym bardziej że wszystko, co robiła ostatnio, umacniało w opinii publicznej przekonanie, że się poddaje, ewakuuje, że się nie liczy w wyborczym wyścigu, że jest już przeszłością. A taki kandydat jest po prostu niewybieralny. Tego nie da się odrobić po zakończeniu pandemii.

> Wszystkie zalety Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, m.in. jej spokój, stateczność, pochodzenie, prezencja, polityczna nieostrość, wyczerpały się mniej więcej po dwóch tygodniach kampanii. Potem był już tylko gwałtowny zjazd

To wszystko jest obecnie przedmiotem zgryzot w kierownictwie Platformy, dostrzegany w tym gronie upadek Małgorzaty Kidawy-Błońskiej może mieć bowiem daleko idące skutki dla partii i jej przywództwa, a przez to dla całej opozycyjnej części sceny politycznej. Im dłużej Kidawa-Błońska będzie kandydatką, tym więcej PO może tracić. I to niezależnie od tego, jak pandemia wpłynie na notowania rządzącej Zjednoczonej Prawicy.

Może to doprowadzić do zdystansowania PO przez Lewicę lub PSL, podziałów w partii lub nawet jej rozpadu. Ale też do powrotu Grzegorza Schetyny. Bo choć to on Kidawę-Błońską wymyślił, znacznie bardziej szkodzi ona obecnie Borysowi Budce niż Schetynie. Z okazji może skorzystać ten trzeci, czyli Rafał Trzaskowski. Tyle że jego działania w Warszawie w czasie pandemii mocno nadwerężyły mit tego ponoć sprawnego polityka.

POWRÓT TUSKA?

W Platformie Obywatelskiej nie pozostał już chyba nikt ważny, kto nie przyznawałby, że największym problemem partii jest teraz Małgorzata Kidawa-Błońska. A drugim problemem jest Donald Tusk. Choć zupełnie z innego powodu. Wycofanie Kidawy-Błońskiej (albo rezygnacja) stwarzałoby szansę na powrót do polskiej polityki byłego premiera i przewodniczącego Rady Europejskiej, nawet w roli kandydata na prezydenta. Tusk miałby okazję honorowo zneutralizować poprzednią rejteradę, a kryzys związany z pandemią nadałby temu obiektywny charakter. Ale żeby Tusk wszedł do gry, wymagałoby to wycofania się wszystkich kandydatów, tak by na scenie politycznej został sam Andrzej Duda, a to wydaje się mało realne.

Poza tym wiara w Tuska jako zbawcę mocno w PO przygasła, zwłaszcza w czasie pandemii, gdy w Brukseli wcielił się w rolę zrzędzącego tetryka. Ale słabnącej PO Tusk i tak może się wydawać najlepszym rozwiązaniem – kimś, kto zapobiegnie upadkowi partii.

Na razie nie ma podstaw do jego powrotu, a jedyne, co spędza sen z powiek kierownictwu Platformy, poza waleniem w rząd, PiS i Jarosława Kaczyńskiego, to minimalizacja strat wyrządzanych przez Małgorzatę Kidawę-Błońską.

eprasa.pl fe81096850

Egzamin z politycznej odpowiedzialności

Strach rośnie. Nie tylko przed zarazą, lecz i przed jej konsekwencjami, które dotkną każdej przestrzeni naszego życia. Wszyscy poddani jesteśmy trudnemu egzaminowi z odpowiedzialności. Zarówno obywatele, jak i politycy. Nie ma lepszego weryfikatora politycznej sprawności niż obserwacja działań rządu i opozycji w czasach pandemii



MARZENA NYKIEL

Po kilku tygodniach walki z COVID-19 wiemy już wszystko o tym, kto się sprawdza w sytuacjach kryzysowych, kto potrafi podejmować sprawne i właściwe decyzje, kto posiada zdolność długomyślności i zapobiegliwości, a kto jest zwyczajnym ujadaczem, hejterem i szują.

DLA DOBRA WSPÓLNEGO

Wystarczy się przyjrzeć decyzjom podejmowanym przez rządy poszczególnych krajów w obliczu tego samego zagrożenia, by stwierdzić, że państwo polskie zadziało wyjątkowo sprawnie. Decyzje podejmowane są błyskawicznie, rząd dysponuje na każdym etapie pełnym pakietem informacji, prezydent w każdej chwili jest w miejscu, w którym powinien się znaleźć, a niestrudzony minister zdrowia Łukasz Szumowski z troską o bezpieczeństwo zdrowotne Polaków pracuje ponad siły. Prezydent Andrzej Duda podjął liczne działania, które mają zabezpieczyć Polaków podczas tąpnięcia ekonomicznego, jakie nas czeka. Wystąpił do banków z prośbą o odroczenie płatności rat kredytowych, wspólnie z rządem pracował nad nadzwyczajnymi regulacjami – programem tarczy antykryzysowej z budżetem w wysokości 212 mld zł – które ułatwią milionom rodzin i tysiącom przedsiębiorstw przejście przez potężny kryzys, który nad nami wisi. Nikt nie sieje niepotrzebnej paniki, wszystkie służby stają w najwyższej gotowości, a podjęte przez władzę decyzje wdrażane są przez obywateli, równie odpowiedzialnie rozumiejących sprawę dobra wspólnego.

Obserwujemy też niebywałe zjawisko, którego istnienie jeszcze niedawno trudno było sobie wyobrazić. Ludzie ze szczerością i oddaniem odbudowują wspólnotę. Pomagają sobie bez oglądania się na światopogląd, łamiąc wszelkie dotychczasowe podziały polityczne. Co ciekawe, akceptują działanie władz i w większości uznają je za słuszne, nawet jeśli wprowadzane obostrzenia totalnie zachwiały dotychczasową codziennością. Ale jest jeszcze trzecie oblicze tego pandemicznego obrazu.



Kontrast pomiędzy postawą obywateli a postawą dużej części opozycji poraża.

ZAMĘT I DEZINFORMACJA

Koalicja Obywatelska rozsiewa ze wściekłością fake newsy, mając do dyspozycji spore zaplecze medialne. Niektóre gazety ledwie nadążają z drukowaniem kolejnych antyrządowych manifestów. „Gazeta Wyborcza", wy-

eprasa.pl fe81096850

chodząc od ataku na prezydenta, któremu rzekomo „koronawirus spadł z nieba", przeszła płynnie do montowania obywatelskiego buntu. Ogłasza, że grozi nam „faszyzm sanitarny", a wskutek obostrzeń wprowadzanych przez rząd przed sklepami „będą zamieszki". Podobny zamęt informacyjny towarzyszy omawianiu kwestii medycznych. Małgorzata Kidawa-Błońska wraz z partyjnymi kolegami podważa dane Ministerstwa Zdrowia o liczbie zarażeń, a kolejni opozycyjni eksperci powielają wrzutki dezinformacyjne.

Politycy Koalicji Obywatelskiej nie przestają atakować, sieją niepokój, rozpętują panikę. Wszystko to w czasie, w którym ze szczególną uwagą należy weryfikować podawane dalej informacje.

Walka polityczna jest tak zacięta, że KO gotowa była się sprzymierzyć z Konfederacją, byle tylko zakwestionować propozycję Prawa i Sprawiedliwości o zdalnym posiedzeniu Sejmu. Podczas gdy wszyscy obowiązkowo muszą się chować w Domach, gdy nie wolno się gromadzić w więcej niż dwie osoby na wolnym powietrzu, i to z zachowaniem dystansu, gdy w ogromnych kościołach zebrać się może co najwyżej pięć osób, na Wiejską zjechało blisko 460 posłów oraz kilkuset pracowników Sejmu. Po co? By część opozycji mogła odegrać swój spektakl i zakwestionować zaproponowaną przez rząd tarczę antykryzysową.

Nie zabrakło popisowych wystąpień Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, Borysa Budki czy Barbary Nowackiej oraz internetowego lansu z maskami. Skrajnie prymitywnym występem zasłynął poseł Witold Zembaczyński, który odziany w gogle, rękawiczki i maskę obwieścił: „Tu jest Sejm i my pracujemy. Gdzie jest mały tchórz z Żoliborza". W chwili gdy odziany w roboczą odzież ochronną zadawał swoje pytanie na Twitterze, prezes PiS Jarosław Kaczyński wykonywał obowiązki posła na sali plenarnej. Bez maski i rękawiczek. Ale prymitywny atak poszedł w świat.

Ta sama opozycja, która ciągle upomina się o wprowadzenie stanu wyjątkowego, zarzuca rządowi, że zarządza zbyt daleko posunięte restrykcje. Taki sam brak konsekwencji towarzyszy jej ekspertom oraz mediom. Niektóre wydania „Faktów" TVN wydają się wymierzone wprost w rozpętanie społecznej paniki. Można się z nich dowiedzieć m.in., że „pod pretekstem nadzwyczajnych ustaw rząd ogranicza nasze podstawowe prawa". Zakwestionowano np. zapis: „Kto umyślnie nie stosując się do wydawanych przez funkcjonariusza policji lub straży granicznej, na podstawie prawa, poleceń określonego zachowania się, uniemożliwia lub istotnie utrudnia wykonanie czynności służbowych, podlega karze aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny". I choć wiadomo, że dotyczy to możliwości karania osób łamiących kwarantannę, z czym zmagają się nie tylko polscy policjanci, lecz także funkcjonariusze innych krajów, którym rozszerzono uprawnienia, postawiona wątpliwość ma budzić strach.

> Kontrast pomiędzy postawą obywateli, rozumiejących sprawę dobra wspólnego, a postawą dużej części opozycji i związanych z nią mediów poraża

By tak się stało, poproszono o pomoc prof. Marka Chmaja, ulubionego konstytucjonalistę „Gazety Wyborczej" i TVN, który podzielił się z widzami „Faktów" swoimi osobliwymi obawami. „Mogą nam wydać każde polecenie, nawet takie, które narusza godność bądź prawa człowieka. Na przykład może nam kazać obnażyć się w miejscu publicznym" – stwierdził prof. Chmaj. I niby można się na to uśmiechnąć z politowaniem, ale tego rodzaju przekazem widzowie i czytelnicy mediów sprzyjających opozycji torpedowani są każdego dnia. Jak w tym wszystkim mają normalnie funkcjonować, i to w czasie kwarantanny, która wymaga wyjątkowego spokoju informacyjnego?

POTRZEBA JEDNOŚCI

Każdy atak, każdy fake news, każdy akt rozpętania paniki trzeba bardzo dokładnie zapamiętać. Ludzie, którzy nie rozumieją powagi sytuacji w tak poważnym kryzysie, który prawdopodobnie na lata zmieni oblicze świata, nie dorośli do sprawowania funkcji publicznych. Na żadnym szczeblu. Polacy potrzebują teraz jedności, realnego wsparcia, otuchy i poczucia bezpieczeństwa. Nie pogłębiania podziałów. To wszystko jest dla części opozycji drugorzędne. Nie rozumieją, że walcząc z PiS z użyciem swojej starej strategii, walczą de facto ze swoimi rodakami. A sytuacja jest coraz bardziej poważna. Wiele sektorów polskiej gospodarki zostało zamrożonych. Wieści ze świata rysują się coraz bardziej katastroficznie. Trzeba na to odpowiedzieć mądrze i odpowiedzialnie. Nie wystarczy rzucać nieprzeliczonymi pomysłami, którymi opozycja próbuje zakrzyczeć tarczę antykryzysową.

To ważny moment weryfikacji odpowiedzialności politycznej. Frustracja kandydatów opozycyjnych wymierzona w prezydenta Dudę daje dużo do myślenia. Skupieni na swoich antypisowskich strategiach nie potrafią wykrzesać pozytywnego przekazu i autentycznych odruchów solidaryzmu. Poprzestają na sianiu niepokoju, powielaniu fałszywych informacji, podważaniu wiarygodności rządu i prezydenta, wpędzaniu ludzi w lęki i niepokoje. Aż chciałoby się zadać pytanie: co by było, gdyby w czasie pandemii rządziła opozycja? Arogancja, którą obrzucają dziś rząd i prezydenta, skupiłaby się na obywatelach. Czyż w obliczu powodzi i innych klęsk w przeszłości nie mieliśmy już wystarczającego sprawdzianu? Pewnie i dziś dostalibyśmy złotą radę, że „trzeba było się ubezpieczyć".

Opozycja musi zacząć zdawać sobie sprawę, że wszystko to ze wzmożoną siłą w nią uderzy. Polacy będą wystawiać ocenę za czas pandemii. Widzą, kto stoi po ich stronie, a kto dba wyłącznie o własny interes. Nieczęsto decyzje polityczne mają tak bezpośrednie przełożenie na realną sytuację obywateli i na ich głos wyborczy.

eprasa.pl fe81096850

Zamrożeni. Na jak długo?

Szok wywołany wybuchem epidemii koronawirusa może już wkrótce ustąpić miejsca kolejnemu wstrząsowi, jakim jest nadciągający w następstwie pandemii kryzys gospodarczy w naszym kraju



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Już dziś mamy pierwsze efekty lockdownu, czyli zamrożenia kontaktów międzyludzkich i gospodarki – pierwsze wraz z zamknięciem granic i ograniczeniem podróży ucierpiały branże transportowa oraz turystyczna. Linie lotnicze uziemiły swoje samoloty, zniknęła większość połączeń kolejowych, a hotele – zgodnie z postanowieniami polskiego rządu – niemal całkiem ograniczyły swoją działalność (zresztą i tak od wybuchu epidemii brakowało gości). Następnie fala uderzyła w branże gastronomiczną i rozrywkową – swoje podwoje zamknęły restauracje, kawiarnie i kina. W pustych, ciemnych galeriach handlowych nie działają dziś żadne sklepy poza spożywczymi i aptekami, do których czasem zajrzy jakiś zabłąkany klient.

Polskie firmy, zwykle niewielkie i cierpiące na chroniczny brak kapitału, zaczęły gwałtownie szukać oszczędności. Na pierwszy ogień poszły wydatki reklamowe, co uderzyło już w branżę medialną. Pojawiają się też informacje o zwolnieniach pracowników, na początku tych zatrudnionych na umowach śmieciowych, bo łatwiej ich się pozbyć.

Jeśli ta fala potrwa dłużej i nabierze mocy, to już wkrótce staniemy u progu zapaści gospodarczej, która dotknie każdego z nas. Bo konsument pozbawiony pieniędzy przestaje być konsumentem i kupuje tylko rzeczy niezbędne do życia. Producenci i dystrybutorzy innych dóbr, a zatem ich zdecydowana większość, znajdą się w poważnych kłopotach, a państwo, i tak zmuszone do wykładania ogromnych środków na przeciwdziałanie skutkom epidemii, ściągnie znacznie niższe podatki i zacznie się zmagać z rosnącym deficytem. To z kolei – na zasadzie upadających kostek domina – spowoduje cięcia kosztów usług publicznych oraz budżetów służb państwowych i instytucji.

Czy ten czarny scenariusz się sprawdzi? Czy Polska ma szansę wyjść z kryzysu stosunkowo mało poturbowana? Na te pytania brakuje dziś odpowiedzi, bo nikt nie wie, ile potrwa pandemia i na jak długo należy zamrozić gospodarkę.

TRZY WARIANTY

Tymczasem – jak obliczają ekonomiści – nawet krótki przestój przyniesie duże straty. Morgan Stanley szacuje w tej chwili, że w skali roku nasza gospodarka, która rosła do tej pory o ponad 4 proc., może wskutek epidemii spaść nawet o 5,6 proc. PKB. W przeliczeniu na pieniądze oznacza to ubytek co najmniej 120 mld zł, bo o tyle mniej zarobią Polacy, niektórzy dlatego, że zmniejszą się im dochody, inni dlatego, że w ogóle stracą pracę. A to wszystko i tak pod warunkiem, że w maju zaczniemy wracać do życia. Dzisiaj można mieć co do tego wątpliwości. Ale nawet jeśli rzeczywiście uda się odmrozić gospodarkę za miesiąc, to nie oznacza to, że automatycznie wszystko wróci do normy. Część branż będzie potrzebowała czasu, aby stanąć na nogi, zwłaszcza że jesteśmy ściśle powiązani z globalną gospodarką i wiele zależy od tego, jak będzie się rozwijać sytuacja ekonomiczna poza naszymi granicami. Z drugiej strony należy podchodzić z dużą ostrożnością do najczarniejszych scenariuszy. Piszą je głównie ci, którym często z partykularnych powodów najbardziej zależy na utrzymaniu zysków i jak najszybszym odmrożeniu gospodarki, nawet kosztem zdrowia publicznego.

Większość ekonomistów przewiduje trzy warianty określane symbolicznie literami: V, U i L. Oznaczenia pochodzą od kształtu krzywej przypominającej wymienione litery. „V" to najbardziej optymistyczny scenariusz: szybki spadek i równie szybkie odbicie do normy. „U" to znacznie powolniejszy wzrost, a litera „L" to trwały spadek i przewlekły kryzys.

Nikt jeszcze nie wie, z jakiego rodzaju wariantem będziemy mieć do czynienia. Zdaniem ministra finansów Tadeusza Kościńskiego prawdopodobieństwo wystąpienia każdego scenariusza jest zbliżone, choć – jego zdaniem – dziś coraz więcej wskazuje na wariant „U". Kluczowe znaczenie ma czas. Im dłuższa pandemia, tym więcej zniknie kapitału i większe prawdopodobieństwo spełnienia scenariusza „U" lub „L". Najpierw stracą słabsi, pracownicy najemni i małe firmy, potem jeśli gospodarka będzie dalej zamrożona, przyjdzie czas na tych największych i najbogatszych. Zasoby kapitału stop-

eprasa.pl fe81096850

nieją, a wraz z nimi zdolność do szybkiej odbudowy dawnego potencjału. Zapaść nabierze wówczas cech strukturalnych.

Gdy pozbawione środków firmy zaczną zwalniać pracowników, utworzy się spirala ciągnąca całą gospodarkę w dół. Coraz mniej osób będzie mogło sobie pozwolić na utrzymanie dotychczasowego poziomu życia i konsumpcji, a wzrost bezrobocia wywoła gwałtowne załamanie handlu i usług, również w tych segmentach, które początkowo skorzystały na kryzysie (np. sprzedaży przez internet). W rezultacie pandemia może – zdaniem niektórych ekonomistów – doprowadzić do globalnej recesji na skalę wielkiego kryzysu.

Według niektórych prognoz spadek PKB w całej Unii Europejskiej wyniesie w najbliższych trzech miesiącach ponad 10 proc. Z kolei w USA zaledwie w ciągu jednego tygodnia liczba bezrobotnych wzrosła o 3,2 mln osób, bijając tym samym historyczny rekord.

Problem jest poważny i otwarcie przyznaje to premier Mateusz Morawiecki. „Dzisiaj spełniają się wszystkie negatywne scenariusze, które jeszcze dwa tygodnie temu były czasami przez analityków określane jako mało prawdopodobne. Dzisiaj te same scenariusze – sprzed tygodnia, dwóch – są określane jako wysoce prawdopodobne" – mówi szef rządu.

Oznacza to, że żeglujemy po bardzo wzburzonym morzu, nie wiedząc, kiedy poprawi się pogoda i czy nasza łódź zdoła przetrzymać sztorm. Są jednak nadzieje, że zdołamy uniknąć katastrofy. Nauka, która płynie z poprzednich kryzysów, wskazuje, że skutkom recesji, z jaką mamy do czynienia, można przeciwdziałać zwiększonymi wydatkami rządowymi. Przyjęta w poprzednim tygodniu tarcza antykryzysowa ma równowartość 220 mld zł, a więc 10 proc. polskiego PKB, które zostanie wpompowane w polską gospodarkę. Pozwoli to utrzymać część miejsc pracy i choćby niewielką konsumpcję. Ważne jest przy tym, aby konsumenci wspomagali polskie przedsiębiorstwa, bo to również ważna forma solidarności i pomocy.

W krótszej perspektywie niektóre sektory, takie jak handel elektroniczny czy handel detaliczny żywnością, mogą nawet utrzymać niewielki wzrost, co pomoże zrekompensować część szkód. Oczywiście istnieje ryzyko, że zubożenie konsumentów doprowadzi do zwiększenia popytu na najtańsze towary i usługi oraz krótkotrwałego wzrostu ich cen, ale przy połączeniu właściwych reakcji rządu i odrobiny szczęścia nadal jest szansa, że gospodarka odbije, rzecz jasna pod warunkiem, że pandemię uda się wkrótce zahamować. Najbardziej optymistyczne prognozy mówią, że stanie się to już w trzecim kwartale tego roku, inne, że dopiero za rok, gdy uda się – według zapowiedzi wirusologów – opracować skuteczną szczepionkę na koronawirusa.

MINISTER POD PRESJĄ

W tej chwili polski rząd – podobnie jak większość rządów europejskich – przyjmuje najbardziej optymistyczny scenariusz, zgodnie z którym szczyt zachorowań przypadnie w kwietniu lub na początku maja. Tak przynajmniej wynika ze słów ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego, który zapowiedział w zeszłym tygodniu, że w połowie kwietnia, po zapoznaniu się z danymi dotyczącymi dotychczasowego przebiegu epidemii, wyda rekomendacje w sprawie dalszego trybu działania państwa.

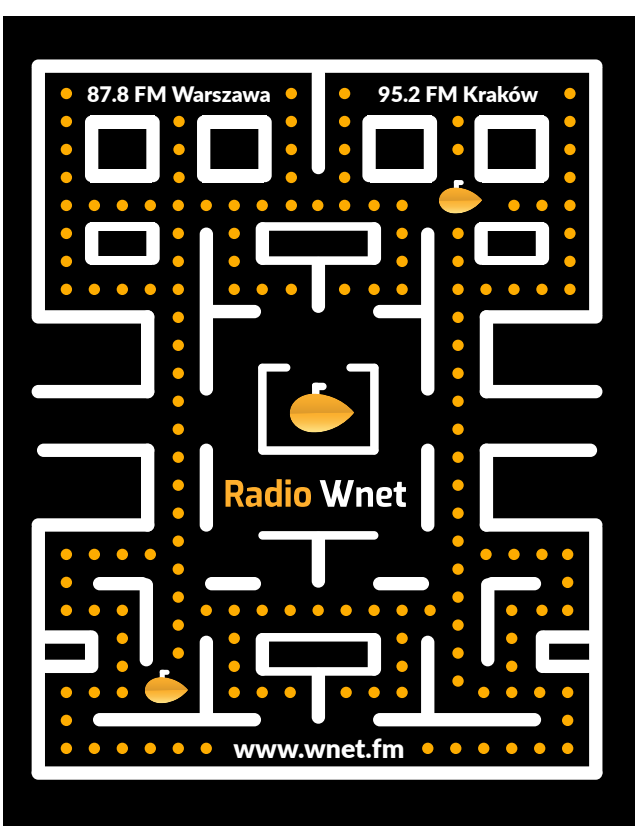
Szumowski działa tutaj pod ogromną presją. Z jednej strony zdaje sobie sprawę z ograniczonych możliwości służby zdrowia, która – co już pokazał choćby przykład Włoch – nie wytrzyma gwałtownego przyrostu zachorowań, a z drugiej jest naciskany przez innych członków rządu coraz bardziej obawiających się skutków przedłużającego się lockdownu.

Na razie odpowiedzią jest strategia spłaszczania krzywej zachorowań. Jeśli uda się zatrzymać ją poniżej 10 tys. przypadków, co pozwoli na funkcjonowanie służby zdrowia, to należy się spodziewać stopniowego przywracania kraju do życia. W takim wariancie można myśleć o normalizacji od czerwca. Jeżeli nie, to trzeba będzie utrzymać obowiązujące restrykcje na dłużej. Oczywiście nadal jest ryzyko, przed którym przestrzega wielu epidemiologów, że przedwczesne uchylenie krajowej kwarantanny może spowodować gwałtowny nawrót epidemii, a to oznacza zarówno kryzys gospodarczy, jak i zdrowotny w jednym momencie. Jednak presja na złagodzenie restrykcji może się okazać silniejsza, zwłaszcza że ciągle nie znamy wszystkich czynników wpływających na zasięg i przebieg zachorowań.

ZNIECIERPLIWIENIE

Dyskusja wokół skutków lockdownu toczy się nie tylko w rządzie. Rozmawia o tym większość Polaków, przy czym z każdym tygodniem będzie narastać niepewność oraz

REKLAMA

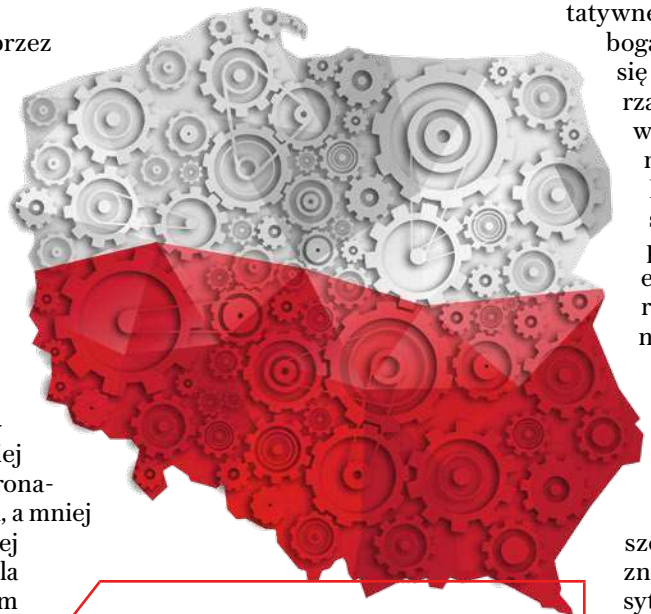


58/0320/F

eprasa.pl fe81096850

zniecierpliwienie. Dodatkowo swoje dołoży ludzka psychika, jeśli nie będzie gwałtownego przyrostu zachorowań, wielu oswoi się z koronawirusem i zacznie się domagać powrotu do normalności: działających kawiarni, sklepów, swobody podróżowania, zwłaszcza że każdy kolejny dzień będzie dłuższy i cieplejszy.

Badania przeprowadzone przez PAN oraz SWPS wskazują, że wśród Polaków poziom lęku przed koronawirusem jest dziś wysoki i zdecydowana większość (75 proc.) popiera lockdown. Jednak w tym badaniu można również odnaleźć wyniki wskazujące na to, że nie jesteśmy aż tak jednomyślni. Do grup, które odczuwają najmniejszy lęk, należą młodzi (18–24 lata) oraz najsłabiej wykształceni. Można to łatwo wytłumaczyć. Młodzi lepiej znoszą chorobę wywołaną koronawirusem, więc się jej mniej boją, a mniej wykształceni często są najbardziej poszkodowani ekonomicznie i dla nich znacznie bardziej realnym zagrożeniem od choroby jest utrata środków do życia. Należy sądzić, że wraz z przedłużającym się lockdownem obie grupy, choć każda z innego powodu, będą go kontestować.



Nadal jest szansa, że polska gospodarka zdoła się zregenerować. Najbardziej optymistyczne prognozy mówią, że stanie się to w trzecim kwartale tego roku

Już dziś pojawiają się wezwania, aby rozważyć wariant, w którym młodsi i bardziej odporni szybko wróciliby do normalnego życia. Jest to rozwiązanie brane pod uwagę w przypadku zahamowania liczby zachorowań. Pozwoli ono zapewne zamortyzować tąpnięcie gospodarcze, co nie jest przecież bez znaczenia, ale z drugiej strony skaże osoby starsze lub chorowite na wybór między długotrwałą izolacją od świata a ryzykiem zachorowania. Jasne jest bowiem, że będą oni wówczas bardziej narażeni na kontakt z bardzo groźnym dla ich życia koronawirusem. Nie da się jednak wykluczyć, że ich komfort życia może ostatecznie zostać poświęcony na ołtarzu walki z kryzysem oraz dążenia młodszej i aktywnej części społeczeństwa do normalności.

ZYSK KOSZTEM ZDROWIA?

Lockdown stał się także pretekstem do znacznie bardziej darwinistycznych rozważań. Ich przejawem może być niedawny artykuł właściciela „Rzeczpospolitej" Grzegorza Hajdarowicza, w którym nawołuje on – obok rezygnacji z lockdownu oraz otwarcia zakładów pracy i szkół – do m.in. zawieszenia programu 500+ i wypłaty trzynastej emerytury, a także do zmniejszenia urlopów w tym i następnym roku o połowę. Choć postulaty zgłoszone przez Hajdarowicza są być może jedynie efektem jego osobistych przemyśleń, to z pewnością są również reprezentatywne dla sporej części środowisk bogatego biznesu, które nie mogą się pogodzić z polityką społeczną rządu. Ich przyjęcie oznaczałoby w praktyce całkowite unieważnienie dotychczasowej polityki PiS i ponowne odrzucenie społecznej odpowiedzialności przez państwo. Pomijając już etycznie wątpliwą wymowę tego rodzaju postulatów, ich zgłoszenie świadczy o nieświadomości ryzyka, również ekonomicznego, jakie niesie ograniczenie pomocy finansowej dla gospodarstw domowych. To właśnie ci, na których barki miałyby spaść największe obciążenia i wyrzeczenia, znajdują się dziś w najgorszej sytuacji, nie mając – w odróżnieniu od zamożnych biznesmenów – oszczędności pozwalających im przetrwać najtrudniejszy okres. A powszechne ubóstwo nigdy nie nakręci koniunktury, której powrotu tak niecierpliwie wyglądają dziś zaniepokojeni przedsiębiorcy. Programy takie jak 500+ pomagają zachować stabilność finansową. Jak wynika z badań Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor, co szósta rodzina może dzięki nim opłacić bieżące rachunki. Zawieszenie programu 500+ byłoby więc absurdalne, bo wepchnięcie tysiąca konsumentów w długi jedynie nakręciłoby recesyjną spiralę, przed którą przestrzegają renomowani ekonomiści. Jedynym wyjściem jest więc solidarne działanie, w którym obciążenia są rozłożone proporcjonalnie na wszystkich.

Oczywiście pojawia się tu pytanie, czy pomysł gwałtownego zdjęcia lock-downu nie jest dobrą alternatywą w obliczu możliwego krachu gospodarki. Problem w tym, że ryzyko jest dziś zbyt duże. Gdyby doszło bowiem do nawrotu i spotęgowania epidemii, to wówczas i tak nie unikniemy katastrofy gospodarczej. Jak wynika z obliczeń ekonomistów z Uniwersytetu w Chicago, które przytoczył Marek Budzisz, rezygnacja z restrykcji kosztowałaby Stany Zjednoczone śmierć 7,2 mln ludzi w ciągu trzech lat, co oznaczałoby utratę 65 bln dol. A zatem koszt zdjęcia odmrożenia gospodarki byłby większy niż jej zamrożenie. Nie ma powodu sądzić, że w Polsce byłoby inaczej.

Reklama | 2/0420/F

eprasa.pl fe81096850



Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ



Wirusowa zagłada liberalizmu

Pożar katedry Notre Dame – co dziś widzimy – symbolicznie zapowiedział koniec naszego świata. Mówię o świecie w kontekście kulturowo-cywilizacyjnym, nie biologicznym ani fizykalnym. Tak rozumiany świat istnieć będzie nadal, jak też jego kultura, choć – jak się zdaje – w zmienionej już formie

Upadają podstawy systemowe świata, wszędobylski liberalizm – miejmy nadzieję, że ostatni z trzech wielkich totalitaryzmów XX w., o tyleż groźniejszy od faszyzmu i komunizmu, że wprowadzany ukradkiem, pod pozorem wolności, miłości i tolerancji. Wpierw wychowano społeczeństwa do wiary w słowa, a gdy uznano, że jest dostatecznie otumanione, by ufać, że słowa opisują intencje autorów – wniesiono na sztandary ową wolność i jej satelickie wartości i wprowadzono moralny terror.

W praktyce liberalizm okazał się wolnościowym nazizmem, eliminującym każdego, kto śmiał się przeciwstawić wolności. Musiałeś czuć się wolny, tylko te słowa posiadły ogólną wartość społeczną. Musiałeś czcić wolność i ją celebrować, ale bynajmniej nie wolność obiektywną, ale wolność w – z góry – narzuconej formie. Wolnością nie miało być więc osobiste poczucie swobody decyzji, tak rozumiana wolność zarezerwowana była dla kasty najwyższej, dla przeciętnego człowieka wolnością był nakaz czczenia i celebrowania multikulturowości, młodości, siły i bezgranicznej mocy człowieka, z jednoczesną pogardą dla wszelkich religii, tradycji, niepełnosprawności i zgodności z naturą. Z czasem zaczęła przeważać negatywna strona liberalizmu, kierowano się wyłącznie nienawiścią do tego, co inne od nakazanej drogi.

Liberalizm ten, ubrany z czasem w idee marksizmu, z trockistowską zasadą lepszej zmiany na czele, usadowił się na tronie polityki przełomu XX i XXI w. Zasada lepszej zmiany (każda zmiana jest zmianą na lepsze, dlatego należy permanentnie wszczynać rewolucje) stała się fundamentem marksistowskiego liberalizmu, który odszedł tak daleko od pierwotnych myśli Locka, że przyjął własną schizmatyczną nazwę liberalizmu lewicowego.

Ów liberalizm parł do przodu do dnia, w którym Wielka Brytania postanowiła się wypisać z tegoż obłąkanego projektu i poszła swoją drogą. Dla marksistów oznaczało to śmiertelne zagrożenie. Albo każda zmiana jest zmianą na lepsze – czyli opuszczenie Unii Europejskiej, zbudowanej i zarządzanej wedle idei marksizmu, przez Wielką Brytanię jest marksistowsko pozytywne, albo zasada ta jest mylna i niewydolna. Dylemat ten stanął u podstaw nieprawdopodobnego wręcz jazgotu, który towarzyszył brexitowi, a wreszcie skowytu porzucanej, marksistowskiej macicy, która w obronie unijnej trwałości wystrzelała się z całego arsenału kłamstw, obłudy, pomówień, a przede wszystkim mimikry, która jest sednem lewicowego działania.

Brexit był też wydarzeniem śmiertelnie groźnym z innego powodu. Dotknął innej, istotnej liberalno-lewicowej zasady głoszącej, że wystarczy jeden przykład – by uznać cokolwiek za trwałe. Jest to oczywiste odwrócenie zasad nauki, wedle których jeden przykład może być co najwyżej dowodem wadliwości zasady. Świat liberalno-lewicowy walczy więc o różne przywileje, gdyż wystarczy jeden akt, jeden homoseksualny ślub, by uznać daną ziemię za własną. Akty te nie są więc czymś powszechnym, towarzyszy im jedynie medialny jazgot, chodzi bowiem wyłącznie o sferę symboliczną, zdobycie terenu.

eprasa.pl fe81096850

Teraz zasada ta obróciła się przeciwko jej twórcom, wystarczył jeden przykład Wielkiej Brytanii i jej niezadowolenia, by trzeba było ponownie otworzyć arsenał kłamstw i tłumaczyć rzekomą poprawność zasady. Zbudowano więc językową instalację, skierowaną głównie do własnych wyznawców – zdezorientowanych faktami – że Brytyjczycy zostali wprowadzeni w błąd przez złego i wszechmocnego demona – Władimira Putina, który skutecznie pomieszał ludziom w głowie, tak iż nie wiedzieli, co czynią. Brytyjczycy więc – dowodzono – tak naprawdę kochają marksistowską Unię, a jedynie z racji demonicznych mocy wybór okazał się inny od pożądanego. Identycznie ten sam mechanizm zastosowano po wyborze Trumpa.

Cudowny świat marksizmu miał się toczyć dalej, jego beneficjenci znów poczuli się bezpiecznie w swym plastikowym, bezwartościowym świecie, pewni, iż rachunki dalej opłacać będą fundacje i kapitał Sorosa, a oni bez końca organizować będą kursokonferencje i odbywać spotkania – nieważne po co. Stało się to bowiem stylem życia liberalno-lewicowej society. „Czym się zajmujesz?". „Odbywam spotkania".

I znienacka natura znalazła wyjście, by zgiąć kolana otumanionej cywilizacji. Powiedziała: sprawdzam! I pokazała lustro. Zobaczyliśmy wówczas krezusów różnej maści, którzy nie mogli dalej podpierać się blagą, udawać kogoś, kim nie są, zobaczyliśmy więc bandę idiotów. Miast mędrców – ujrzeliśmy mędrków, miast filozofów – wiejskich filozofów, miast elit – głupców na elitarnych stanowiskach, zamiast doradców – oszustów, zamiast mężów stanu – chłopców w krótkich spodenkach, zamiast ekspertów – płatnych trolli. Zobaczyliśmy we właściwym świetle liberalno-lewicowy śmietnik.

Zatrzeszczały w posadach lewicowo-liberalne ideały i instytucje. I przyszedł wirus, jako przedstawiciel pogardzanej natury. Liberalno-lewicowy świat odwołuje się bowiem do natury i jej sprzyja wyłącznie w zakresie tego, co opłacalne. Buduje więc farmy wiatrowe, nie troszcząc się losem masakrowanego ptactwa, zakazuje toreb foliowych, nie troszcząc się higieną żywności, której papier jest zaprzeczeniem itd.

Jesteśmy więc w sytuacji dialogu porządku naturalnego i politycznego. Ich reprezentantami jest, po stronie natury, szeregowy wirus, a po stronie liberalnej: arsenał jej idei. Dialog ten wygląda dziś tak:

L.: Po pierwsze wolność.
K.: Po pierwsze pokora, nauczę cię jej!

L.: Liczy się jednostka.
K.: Liczy się społeczeństwo.

L.: To ja ustalam reguły.
K.: Społeczeństwo ustala reguły.

L.: Ja decyduję o sobie.
K.: Nie, to ja decyduję o tobie.

L.: Mam prawo do wszystkiego.
K.: Masz prawo się podporządkować, i tyle.

L.: Żyję dla siebie.
K.: Żyjesz dla innych.

L.: Najważniejsze jest przekraczanie barier.
K.: Jeśli chcesz przetrwać – trzymaj się zasad.

L.: Ustalam prawa...
K.: ...tylko w granicach moich praw.

L.: W końcu cię zniszczę.
K.: Zanim mnie zniszczysz – ciebie już nie będzie.

L.: Moje ciało – moja sprawa.
K.: Nauczę cię uwzględniać dobro drugiego.

L.: Jestem panem świata.
K.: Jesteś tylko robakiem.

L.: Mam władzę.
K.: Nie masz niczego, wszystko należy do mnie.

L.: Liczy się dobro własne.
K.: Liczy się dobro ogółu.

L.: Widzę tylko siebie.
K.: Cały czas się rozglądaj.

L.: Liczy się własna przyjemność.
K.: Liczy się drugi człowiek.

L.: Liczy się tylko korzyść.
K.: Liczy się tylko wartość.

L.: Tylko nauki praktyczne.
K.: Nauki praktyczne bez teorii są niczym.

L.: Każdy argument można odeprzeć.
K.: Prawda jest ostatecznym argumentem.

L.: Nie ma prawdy obiektywnej.
K.: Jest tylko prawda obiektywna.

L.: Nie ma dobra i zła.
K.: Życie jest dobrem, a ja jestem złem.

L.: Nie ma Boga.
K.: Bóg jest dla każdego, kto odczuwa jego łaskę, przekonasz się.

L.: Mogę robić to, co chcę.
K.: Będziesz robił tyle, na ile ci pozwolę.

L.: Inni mają dostosować się do mnie.
K.: To ty masz się dostosować do innych, bo ja tak chcę.

L.: Mniejszość ma rację.
K.: Ja mam rację.

L.: Tylko polityka dialogu.
K.: Tylko polityka faktów.

L.: Krzyczę!
K.: Milcz!

L.: Liczy się tylko demokracja.
K.: Demokracja nie potrafi rozwiązać żadnego realnego problemu.

L.: Mam prawo do zgromadzeń
K.: Siedź w domu.

L.: Każda zmiana jest zmianą na lepsze.
K.: Ja jestem zmianą i ja decyduję.

L.: Pragnę!
K.: Żyj w pokorze.

L.: Jestem najważniejszy.
K.: Ustąp drugiemu.

L.: Chcę mieć!
K.: Wokół ciebie nie ma niczego.

L.: Chcę się bawić.
K.: Ucz się, by przetrwać!

L.: Wokół mnie są tysiące przyjaciół.
K.: Wokół ciebie są ściany twego domu.

L.: Wygram!
K.: Właśnie ponosisz klęskę.

L.: Zabawa.
K.: Refleksja.

L.: Nasza cywilizacja jest wielka i potężna.
K.: Waszą cywilizację można wyłączyć, wyjmując gniazdko z kontaktu.

L.: Mogę mieć wszystko.
K.: Nie możesz mieć nawet tego, co pozwoli ci przetrwać.

L.: Jestem bezpieczny.
K.: Nie wiesz nawet, czy jutro będzie dzień.

L.: Zawsze wygrają najsilniejsi.
K.: Nie znasz obiektywnych kryteriów

L.: Wiem.
K.: Masz wiedzę powierzchowną, gdybyś wiedział – przewidziałbyś mnie.

Koronawirus jest niepoprawny politycznie, uporczywie nie chce przyjąć narzucanych mu zasad – gra w swoją grę, nie da się przekonać, nie da się zakłamać, jest niewzruszony na ideologie, atakuje wszystkich – również uprzywilejowanych, nie daje się zwieść. Jest zagładą intelektualną lewicowo-liberalnych środowisk, które wciąż próbują zagadać rzeczywistość.

Oto koniec.

Janusz Sytnik-Czetwertyński

Autor jest dr hab. filozofii, profesorem Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl fe81096850



Koronawirus pomoże Trumpowi?

Prawybory amerykańskich demokratów zostały wywrócone do góry nogami przez koronawirusa. Senator Bernie Sanders i były wiceprezydent Joe Biden dalej walczą o głosy wyborców, tyle że przez internet. Wybory prezydenckie w USA odbędą się jednak planowo w listopadzie, bo zwyczajnie nie da się ich przełożyć



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Koronawirus zmienił życie polityczne w Ameryce, wpływając na sposób, w jaki kandydaci komunikują się z wyborcami, zbierają pieniądze od darczyńców i zderzają się z przeciwnikami. To pierwsza wirtualna kampania wyborcza w historii kraju. Ryzyko zarażenia fizycznie oddziela kandydatów od osób, które chcą reprezentować, i zmusza ich do zabiegania o ich względy za pomocą nagrań wideo" – tak dziennik „New York Times" opisuje wpływ epidemii na amerykańską kampanię prezydencką.

Joe Biden przeniósł się z ulicy do piwnicy swojego domu w Delaware, gdzie nagrywa kampanijny podcast pod tytułem „Oto deal" (Here's the deal). Początki nie były łatwe, przez kilka dni jego asystenci walczyli – jak pisze portal Politico – z technicznie „opornym webcastem". „Czemu to robię? Po pierwsze, byśmy dalej z sobą rozmawiali. Nie możemy już organizować wieców. Żyjemy w nowej normalności" – tłumaczy były wiceprezydent USA na początku swojego pierwszego 20-minutowego podcastu, którego głównym tematem był oczywiście koronawirus. Według „NYT" jest to próba nadania nowej dynamiki kampanii Bidena, która została niemal całkowicie przyćmiona przez pandemię. Sanders także się przystosował, stawiając na przemówienia transmitowane na żywo na Facebooku oraz wirtualne debaty, jak ta z Bidenem 15 marca w studiu CNN w Waszyngtonie. Bez publiczności i z kandydatami siedzącymi od siebie w dwumetrowej odległości.

15 stanów przesunęło głosowanie w prawyborach z marca i kwietnia na lato, a sztaby gorączkowo się zastanawiają nad nowymi strategiami wobec pandemii, która zapewne pozostanie głównym tematem tych wyborów, nawet jeśli uda się ją pokonać do listopada. „To jedno pytanie zdominuje wybory: jak poradziłeś sobie w wielkim kryzysie?" – uważa republikański kongresmen z Oklahomy Tom Cole. Kryzysie, który kosztował już życie ponad 2 tys. Amerykanów i 3 mln miejsc pracy. A liczba zachorowań oraz zgonów może w następnych miesiącach jeszcze wzrosnąć. Ostatnie prawybory odbyły się 17 marca w Arizonie, na Florydzie i w Illinois. We wszystkich trzech stanach Biden pokonał Sandersa. Kolejne mają się odbyć we wtorek 7 kwietnia w Wisconsin, i to mimo iż obaj kandydaci Partii Demokratycznej apelują o ich przesunięcie. „Ludzie nie powinni ryzykować życia, by głosować. Wiele stanów przesunęło prawybory. Apelujemy do władz stanu Wisconsin, by zrobiły to samo. Czekając na ich decyzję, namawiamy naszych

eprasa.pl fe81096850

wyborców, by głosowali korespondencyjnie" – podkreślił Sanders w oficjalnej deklaracji. W Wisconsin wyborcy mogą się zarejestrować w sieci oraz głosować korespondencyjnie bez podania powodu. Nie we wszystkich stanach tak jest, w niektórych wymagane są zmiany w prawie bądź decyzja sądu. Gdy gubernator Ohio Mike DeWine poprosił stanowy sąd najwyższy o przełożenie prawyborów na czerwiec, ten odmówił. DeWine zamknął więc lokale wyborcze i prawybory się nie odbyły. Niemniej jednak przełożenie głosowań w prawyborach, choć stanowi logistyczne wyzwanie, jest możliwe. Podobnie jak przesunięcie wyborczej konwencji demokratów, która ma się odbyć za niecałe sto dni.

Inaczej jest w przypadku samych wyborów prezydenckich. W pewnym momencie zaczęły za oceanem krążyć pogłoski, że Donald Trump może skorzystać z okazji pandemii, by nie przeprowadzić wyborów w 2020 r. W końcu sondaże – przekonują eksperci – nie są dla niego zbyt korzystne. Z opublikowanego 16 marca ogólnokrajowego sondażu dla telewizji MSNBC wynika, że Biden prowadzi z Trumpem o 9 pkt proc. Jeszcze na początku marca obecny prezydent USA był zdecydowanym faworytem bukmacherów, teraz jego wyborcze szanse oceniane są niemal na równi z Bidenem (47 do 49 proc. według sondażu ABC News). A to, że Trump zmierzy się właśnie z byłym wiceprezydentem USA, wydaje się przesądzone. Po superwtorku na początku marca i zwycięstwach w Vermoncie, Wirginii, Karolinie Północnej i Minnesocie Biden zdobył także Florydę, Illinois i Arizonę (Sanders wygrał tylko w Kalifornii). Tyle że Trump, po pierwsze, wyborów przesunąć nie może, a po drugie, nie ma ku temu żadnych powodów. Prawybory – jak czytamy na stronach internetowych CNN – leżą w kompetencji stanów. To one decydują o datach i formie ich przeprowadzenia. Z wyborami prezydenckimi jest zgoła inaczej. Są regulowane przez prawo federalne. A to prawo jasno stanowi, że „wtorek po pierwszym poniedziałku listopada, w każdym roku parzystym, wyznacza się jako dzień wyborów przedstawicieli i delegatów Kongresu w każdym ze stanów i terytoriów Stanów Zjednoczonych". Prezydent nie może zmienić prawa stanowionego przez Kongres. Tylko Kongres może to zrobić, a jest to bardzo mało prawdopodobne. Demokraci kontrolują izbę niższą Kongresu i wiedzą, że czas gra przeciwko nim.

Zmiany daty wyborów więc nie będzie, i to nawet jeśli Trump wprowadzi stan wojenny. Sąd Najwyższy USA stwierdził bowiem w wyroku „ex parte Milligan" z 1866 r., że „stan wojenny nie zawiesza konstytucji". Oznacza to, że demokraci muszą do lipca wyłonić kandydata, który stanie w listopadzie w szranki z Trumpem, a gra będzie się toczyła o stworzenie sprawnego systemu głosowania korespondencyjnego lub on-line, gdyby pandemia miała trwać do końca roku. Wymaga to uchwalenia odpowiedniej ustawy przez Kongres, na co jest wciąż sporo czasu.

A jak już wspominałam, czas, a raczej pandemia, gra na korzyść Trumpa. Prezydent jest o wiele bardziej widoczny niż jego potencjalni rywale, którzy nie mogą już korzystać z tradycyjnych narzędzi kampanijnych – jak skarżył się strateg demokratów Simon Rosenberg w rozmowie z katarską stacją telewizyjną Al Dżazira. „Nie możemy już chodzić od drzwi do drzwi, organizować wieców ani szukać wyborców w kawiarniach. Biden robi, co może, ale może obecnie niewiele" – twierdzi Rosenberg. Oczywiście Trump także nie może już organizować ogromnych wieców, by wygenerować poparcie. Jego kampania również przeniosła się do sieci. Cotygodniowe podcasty na YouTube zastępują spotkania z wyborcami. Ale to on jest urzędującym prezydentem i epidemia daje mu możliwość odegrania roli męża opatrzności. Codzienne briefingi prasowe w Białym Domu, ponad 75 mln followersów na Twitterze pozwalają mu promować własne idee i odpierać ataki krytyków. Jak twierdzi pismo „The American Conservative", Trump w tej kampanii tak naprawdę nie walczy z nadającym z piwnicy w Delaware Bidenem czy odizolowanym w domu Sandersem, ale z liberalnymi mediami. To one są jego największym przeciwnikiem. Kampanię przeciwko „fake mediom" Trump prowadzi już od dawna i ta strategia zapewne jeszcze nabierze tempa. I pomimo ostrej krytyki, która spada na niego ze strony tychże mediów oraz jego demokratycznych przeciwników w postaci Nancy Pelosi czy Chucka Schumera, Trump od końca lutego zaczął wyraźnie rosnąć w sondażach.

To zresztą nie jest wcale zaskakujące, w czasach kryzysu obywatele na ogół stawiają na rządzących. W końcu to od nich zależy wyjście z kryzysu – epidemiologicznego i gospodarczego. Ponadto Trump dzięki koronawirusowi zdominował medialne przekaźniki. Występuje w nich niemal codziennie. Dlatego – jak pisze portal Politico – „mimo wszystkich argumentów, które przytaczali demokraci, i wszystkich dowodów, jakie zgromadzili przeciwko Trumpowi, jego reelekcja będzie zależała wyłącznie od tego, jak poradzi sobie z kryzysem koronawirusa i jego skutkami". Jego rywale odegrają tylko marginalne role. „To najbardziej dramatyczny przykład, jaki mi przychodzi do głowy, niekontrolowania agendy politycznej" – przyznał w rozmowie z Politico Les Francis, demokratyczny strateg i były zastępca szefa sztabu Białego Domu za prezydentury Jimmiego Cartera. Nawet częste wolty Trumpa w sprawie leczenia zarażonych czy dystansowania społecznego (social distancing) nie zniechęciły Amerykanów. Widzą człowieka decyzyjnego, „prezydenta czasu wojny", podczas gdy Biden został nie tylko przyćmiony przez samą pandemię, lecz także gubernatora Nowego Jorku Andrew Cuoma. To wszystko gra na korzyść Trumpa.

Amerykański prezydent nie boi się przy tym przyznać, że przed Amerykanami dopiero najgorszy okres epidemii. Podczas niedawnej konferencji prasowej w Białym Domu podkreślił, że prawdopodobnie na Wielkanoc przypadnie w USA szczyt umieralności na koronawirusa i że sukcesem będzie, jeśli „uda się ograniczyć zgony do 100–200 tys.". Czy Trump poradzi sobie z kryzysem? Czas pokaże. Pewne jest natomiast, że koronawirus szkodzi demokratom. Prawybory są odraczane, co pozwala Sandersowi pozostać w wyścigu i nie daje Bidenowi możliwości skupienia się na Trumpie, i tylko na Trumpie.

Fot. YASAMIN JAFARI TEHRANI/Shutterstock

eprasa.pl fe81096850

Młodzi nie są nieśmiertelni

Mam apel do każdego: to nie przeziębienie ani grypa, ale wirus, który zabija. Tym bardziej młodzi powinni się zdyscyplinować, stosować się do wytycznych i restrykcji – mówi ***Michał Woś***, minister środowiska, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Jak zdrowie? Sprawa pana zarażenia koronawirusem wyglądała na poważną: były zdjęcia z maseczką, informacje o podłączeniu do tlenu...

Michał Woś: Zacznijmy od tego, że nie chcę być kolejnym koronacelebrytą. Mówię o swoim zdrowiu, bo dla ludzi bardziej wiarygodne są słowa kogoś, kto przeszedł chorobę. Zdjęcie z maseczką wrzuciłem po ataku, jaki przypuścił Borys Budka, a wtórował mu potem Donald Tusk, że miałem jakieś testy po znajomości. Zdjęcia z maską tlenową nigdzie nie opublikowałem. A wtedy sytuacja była poważna. Wszyscy na początku myśleliśmy, że ten cały koronawirus jest podobny do grypy sezonowej. Dziś już jednoznacznie widać – a potwierdzają to renomowane światowe ośrodki naukowe – że jest bardziej zaraźliwy i ma wyższą śmiertelność. Sam na początku przechodziłem chorobę łagodnie, ale po dwóch dniach, w zasadzie z godziny na godzinę, było coraz gorzej. Nie mogłem złapać normalnego oddechu, trafiłem do szpitala, spędziłem noc pod tlenem i kroplówkami. Dopiero wtedy organizm nabrał siły do walki, a koronawirus szczęśliwie nie rozwinął mi się w płucach na tyle, żeby je uszkodzić.



Jesteśmy z jednego pokolenia – takich jak my miało to nie dotyczyć.

Stąd poważny apel do każdego: to nie przeziębienie czy grypa, ale wirus, który zabija. Tym bardziej młodzi powinni się zdyscyplinować, stosować się do wytycznych i restrykcji. 1/4 zachorowań w Polsce to osoby przed trzydziestką. Może i śmiertelność jest w naszej grupie wiekowej niższa, ale nigdy nie wiadomo, jak konkrety organizm będzie przechodził infekcję. Zostańmy w domu. To podwójna odpowiedzialność: za swoje życie, ale też za wszystkich starszych czy schorowanych, za naszych rodziców i dziadków. Może większość przejdzie chorobę łagodnie, jak zwykłe przeziębienie, bez komplikacji, ale przy chorobie zarażamy. Także tych, których nie uda się uratować. To nasza wspólna walka o życie ludzi – zwłaszcza do świąt Wielkiej Nocy.

Kiedy miał pan pierwsze przeczucie, że to coś więcej niż zwykły kaszel?

Zwykły kaszel – który uznałem za początek przeziębienia – rozpoczął się w piątek, 13 marca, później w trakcie weekendu narastał. W sobotę dostałem informację, że pracownik Lasów Państwowych, z którym miałem kontakt, przeszedł test na obecność koronawirusa. Wtedy pojawiła się pierwsza myśl, że i u mnie to może być coś więcej. W niedzielę potwierdziło się, że leśnik jest chory. U mnie duszności były jeszcze małe, ale pojawiła się też lekka gorączka. Zdecydowałem się – zgodnie z procedurą – podjechać do szpitala zakaźnego na izbę przyjęć. Tam dostałem maseczkę, były specjalnie ustawione namioty. Usiadłem w kolejce i czekałem na rozmowę z lekarzem. To on decydował o skierowaniu na test i pobraniu wymazu. Otrzymałem wynik pod wieczór kolejnego dnia.

Pozytywny.

Tak. Od razu poinformowałem premiera. Zadzwonił sanepid i ruszyły działania: pierwsze, co przyszło mi na myśl, to to, że 10 marca byłem na posiedzeniu rządu z udziałem większości ministrów. Premier nie zdążył

Autopromocja

eprasa.pl fe81096850

wtedy wrócić na posiedzenie ze spotkania z prezydentem. Trzeba było sprawdzić, czy któryś minister się nie zaraził. Na szczęście do tego nie doszło.

Ministrowie otrzymali wynik negatywny, a rodzina... A przecież pana żona jest w stanie błogosławionym, córka nie ma jeszcze dwóch lat.

To była moja największa obawa. Wróciłem z testu do domu, odizolowałem się w innym pokoju i czekałem na wynik. Ale i tak czułem, że to nie ma większego sensu po tygodniu ciągłego przebywania razem. Moje żona i córka miały delikatną gorączkę i kaszel... Gdy potwierdzono u mnie obecność wirusa, zostały w nocy skierowane na badania, a lekarz zdecydował, by zrobić test.

Z ręką na sercu: nie zadzwonił pan do ministra zdrowia, nie uruchomiono jakichś specjalnych ścieżek po znajomości? Takie działania rządu sugerował choćby Donald Tusk.

Zadzwoniłem do ministra Szumowskiego z informacją o wyniku testu, wtedy kiedy dzwoniłem też do premiera. Ale informacje o jakichś szczególnych procedurach dla mnie, zwłaszcza przy teście, to kłamstwo. Zresztą nie pomagało to w leczeniu, bo niepotrzebnie podnosiło mi ciśnienie. Przeszedłem wszystkie standardowe procedury jak każdy obywatel.

Żona i córka też otrzymały pozytywny wynik testu.

Tak. Lekarz ze szpitala zakaźnego zdecydował o przewiezieniu żony – w związku z ciążą – do innego szpitala w Warszawie na badania. Szczęśliwie lekarze potwierdzili, że z dzieckiem jest wszystko w porządku i w zasadzie mają pewność, że się nie zarazi. Niemniej jednak pewien niepokój z tyłu głowy jest i nie zniknie aż do, daj Boże, dnia szczęśliwego rozwiązania.

Dziś czujecie się dobrze?

Tak. W szpitalu trafiliśmy do jednej izolatki – zapewne też ze względu na ekonomię działania. Lekarz po wyjściu musi wyrzucić strój, który ma na sobie. Po kilku dniach wspólnie z lekarzami zdecydowaliśmy, że możemy przejść leczenie w warunkach domowych. Poprawiający się stan zdrowia na to pozwolił, nie było już ryzyka pogorszenia.

Jak się walczy z takim nieznanym do końca przeciwnikiem?



WŁĄCZ KANAŁ W POLSCE PL

CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

upc NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

orange NA POZYCJI 32

NETIA NA POZYCJI 192

VECTRA NA POZYCJI 825

eprasa.pl fe81096850

Po ludzku było to ciężkie, nie ma co kryć. Najgorsza była niepewność pierwszych dni, gdy nie wiedzieliśmy, w którą stronę rozwinie się choroba. Teraz, gdy rozmawiamy, wiemy, że wśród ofiar wirusa są też ludzie w naszym wieku. Trochę oddechu złapaliśmy, kiedy wróciliśmy na leczenie domowe, gdy wracały siły. Pozostała obawa o rodziców, bliskich. Myśleliśmy o innych chorych, którzy walczą o życie. To przygnębiające, że apogeum epidemii jest przed nami, ale tym bardziej musimy wszyscy dalej być mocno zdyscyplinowani. Żeby służba zdrowia dała radę. Wirus szybko wywołuje zapalenie płuc – jeśli przegapi się moment na wczesną reakcję, to może być za późno. Nas to szczęśliwie ominęło.

Niemniej jednak to chyba dziś największe wyzwanie.

Dokładnie. Stąd i w Polsce mamy walkę, by nie dochodziło do sytuacji, w której lekarze będą musieli wybierać, którego pacjenta ratować, a któremu odłączyć respirator. Takie dramatyczne decyzje muszą dziś podejmować lekarze w Hiszpanii czy we Włoszech.

Widział pan jakieś pozytywy w całej tej historii?

Plusem całej historii jest to, że paradoksalnie tyle wspólnego czasu z żoną mieliśmy ostatnio kilka lat temu podczas podróży poślubnej.

Jak wygląda procedura wyleczenia? Kiedy razem z rodziną trafiacie na tę listę wyleczonych z koronawirusa?

Procedura wymaga dwukrotnego wyniku negatywnego. Rozmawiamy w czwartek, więc stan na dziś jest taki: czekam na wynik pierwszego badania.

> Informacje o jakichś szczególnych procedurach dla mnie, zwłaszcza przy teście, to kłamstwo. Przeszedłem wszystkie standardowe procedury jak każdy obywatel

Miał pan jakąś szerszą refleksję: że mimo wieku nie jesteśmy nieśmiertelni?

Staram się podchodzić do życia z gigantyczną pokorą. Widziałem już w życiu młodych ludzi, którzy przegrali z chorobą walkę o swoje życie. Z bliska obserwowałem walkę z nowotworem jednego z dobrych znajomych, szczęśliwie wygraną. Dlatego twardo stąpam po ziemi. Mam tylko nadzieję, że wszyscy młodzi ludzie podejdą poważnie do tego zagrożenia, które dziś mamy – jest to duże wyzwanie. Tak naprawdę pierwszy raz – siedząc w domu przed telewizorem czy z książką w rękach – ratujemy życie. I dlatego dyscyplina, także ludzi młodych, jest bardzo potrzebna.

Kiedy wraca pan do pracy?

Lekarze zabronili mi zajmować się jakimikolwiek sprawami, ale urząd ministra wymaga bieżących decyzji. Na etapie domowego leczenia najpilniejsze sprawy już koordynowałem zdalnie.

Jak na przykład?

Szybka decyzja, jeszcze przed ostatnimi nowymi restrykcjami, o zamknięciu parków narodowych – po wiosennych weekendowych wycieczkach wielu osób, tłumach na parkingach. Przeznaczyliśmy też jako Lasy Państwowe blisko 2 mln zł na szpitale: respiratory, odzież ochronną, dorzuciliśmy się do zakupu karetek. Trzeba też prędko reagować na nadchodzący kryzys gospodarczy. Konieczne były szybkie decyzje dla branży drzewnej, ale też usprawnienie zdalnej pracy całej geologii czy dyrekcji ochrony środowiska – tam przecież zaczynają się wszystkie poważne procesy inwestycyjne w państwie. Z perspektywy Ministerstwa Środowiska już wyraźnie widać, że forsowany w obecnym kształcie przez brukselskich urzędników w Komisji Europejskiej i Fransa Timmermansa Zielony Ład jest, delikatnie mówiąc, nierealny do wdrożenia. Duże wyzwania przed nami. Ja wracam do zdrowia, a pracy w najbliższym czasie nie zabraknie. Wszyscy – od premiera, przez ministrów, po czytelników „Sieci” – musimy mieć dużo siły i cierpliwości.

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY poleca



w numerze m.in.:

Romuald Piekarski, **O roli piękna i doświadczenia sacrum przez sztukę w myśli Feliksa Koneczngo oraz innych XX-wiecznych autorów**

Edward J. O'Boyle, **Too Big to Fail: Heads We Win, Tails You Lose**

Ewelina Sładek, **Rynek ziemi rolnej a kredyty preferencyjne udzielane przez banki spółdzielcze na zakup użytków rolnych w Polsce**

Jerzy Jankowski, **Ustanowienie odrębnej własności lokalu w drodze umowy między właścicielem nieruchomości a nabywcą**

Patryk Łukasiak, **Czyny zabronione w polskiej spółdzielczości okresu międzywojennego**

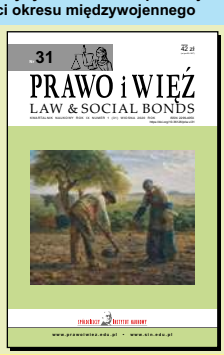
w numerze m.in.:

Grzegorz Kozieł, **Civil Law and Commercial Law in Activities of the Administration. Tradition and Modernity in Legal Institutions. Part 2.**

Jędrzej Jerzmanowski, **Transfer of Shares in Municipal Companies in the Current Legal Reality, Following the Entry into Force of the State-owned Property Management Rules Act of 2016**

Iwona Szymczak, **Ewolucja konstrukcji prawnej ustawowego zarządu powierzonego wykonywanego przez spółdzielnię mieszkaniową (na podstawie art. 27 ust. 2 u.s.m.)**

Wojciech Engelking, **Stan wyjątkowy jako formuła przestrzenna: Amerykańskie więzienie w Abu Ghraib w kontekście filozofii prawa Carla Schmitta**



www.prawoiwiez.edu.pl www.sin.edu.pl

Reklama | 41/2020/F

eprasa.pl fe81096850



10. ROCZNICA NARODOWEJ TRAGEDII

Smoleńsk pamiętamy

Fot. Julia Szewczyk

eprasa.pl fe8109

10/04 dekadę później.
Obrazy smoleńskie

Tego sobotniego poranka nagle wszystko się zatrzymało. Myśli, najpierw jakby rozedrgane w niepewności, runęły w otchłań, gdy potwierdzono, że zginęli wszyscy pasażerowie lotu do Smoleńska. Polska pękła. I przez 10 lat nie udało się jej skleić. Bo nie udało się wyjaśnić przyczyn tej katastrofy



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Są w życiu narodów wydarzenia takiej skali, że pamięć ludzka notuje je w sposób zadziwiający. Bez względu na upływ czasu każdy Polak pamięta, co robił i gdzie był, gdy dotarła do niego informacja np. o odejściu Jana Pawła II do domu Ojca. Z katastrofą smoleńską jest tak samo. 10 kwietnia 2010 r. pozostawił w naszej pamięci tyle symptomatycznych obrazów, że trudno wybrać ten jeden najważniejszy.

Pierwsze doniesienia mówiły o „jakichś kłopotach przy lądowaniu". Potem o „kilku ofiarach", aż wreszcie na ekranach telewizorów zobaczyliśmy dymiący wrak i osmoloną biało-czerwoną szachownicę. Trudno było przyjąć tę straszną prawdę. Prowadzący i goście



programów telewizyjnych, którzy zostali zaproszeni, by komentować uroczystości 70. rocznicy zbrodni katyńskiej, nie kalkulowali swoich reakcji. To było jak upiorny psychologiczny eksperyment, gdy podgląda się osoby poddane nieludzko silnej presji. Politycy i publicyści byli nadzy ze swoimi emocjami. W takim momencie bardzo trudno zapanować nad słowami. I łzami.

KTO WSIADŁ, KTO NIE POLECIAŁ?

Po pierwszym zbiorowym szoku przyszedł następny, bardziej osobisty. Pojawiła się bowiem w mediach lista pasażerów rządowego Tu-154M, a dokładniej wykaz tych, którzy mieli nim lecieć. Nie wszyscy wiedzieli, że w ostatnim momencie kilkunastu dziennikarzy przesadzono do jaka-40. Telefony, SMS-y. Nie odbiera, nie odpisuje.

Inna rzecz, że praktycznie do ostatniego momentu trwały zamiany, ktoś komuś odstąpił miejsce w samolocie, kogoś zatrzymały obowiązki rodzinne, ktoś miał nieważny paszport. Zofia Kruszyńska-Gust, sekretarka z Kancelarii Prezydenta, jako jedyna nie stawiła się na odprawę, bo źle się poczuła. Rodziny wielu polityków, urzędników, przedstawicieli rodzin katyńskich miały więc ten sam wyczerpujący moment nadziei. Czy na pewno wszyscy wsiedli do samolotu? Niestety wsiedli. Zginęło 96 osób z parą prezydencką Lechem i Marią Kaczyńskimi i ostatnim prezydentem RP na uchodźstwie Ryszardem Kaczorowskim. Wraz z nimi posłowie i senatorowie wszystkich opcji politycznych, dowódcy wszystkich rodzajów wojsk, urzędnicy, duchowni, także ochrona BOR i osoby towarzyszące, rodziny katyńskie, artyści. Patrioci, elita. Dumni Polacy, którym los pomordowanych na nieludzkiej ziemi oficerów nie był obojętny, którzy chcieli pochylić głowy nad ich grobami w katyńskim lesie.

Kolejny obraz, który pokazywała od rana Telewizja Polska – plenerowe studio na polskim cmentarzu i dwa wolne krzesełka, na jednym z nich miał zasiąść Lech Kaczyński, by udzielić wywiadu. „Miał być z nami tutaj prezydent Rzeczpospolitej. Szanowni państwo, niestety pana prezydenta nie ma z nami, doszło do katastrofy lotniczej..." – powiedział zgromadzonym łamiącym się głosem Jacek Sasin, wiceszef prezydenckiej kancelarii. Jolanta Szczypińska: „Nie będę mówić, przepraszam. Ja w to jeszcze nie wierzę". Jadwiga Wiśniewska: „Po 70 latach na smoleńskiej ziemi znów doszło do ogromnej tragedii. Zginęły polskie elity, zginął pan prezydent, zginęli nasi przyjaciele". Słowa stają w gardle. Polski hymn zaśpiewany w katyńskim lesie przez kompanię reprezentacyjną Wojska Polskiego jest jak publiczne wyznanie narodowej wiary. „Dzisiejsza msza św. nie tak miała wyglądać, miało być zupełnie inaczej" – mówił o. Ptolemeusz, proboszcz polskiej parafii w Smoleńsku.

POLSKA PRZYSTANĘŁA

Nie można też wyrzucić z pamięci innych dwóch obrazów ze Smoleńska, z późnych godzin wieczornych 10 kwietnia. Najpierw spotkanie premierów. Modlący się nad wrakiem Donald Tusk. Gdy podnosi się z kolan, jest przerażony, dociera do niego skala tragedii, wtedy obejmuje go Władimir Putin, szef polskiego rządu odwzajemnia



Fot. VIPHOTO/EAST NEWS

uścisk. Później na miejsce tragedii dociera Jarosław Kaczyński. Sprawia wrażenie maksymalnie skupionego, ma wręcz nieobecną twarz, z niedowierzaniem patrzy na największe elementy wraku. Rozgląda się, patrzy w dal, choć jest już ciemno. Podchodzi też do kilku ustawionych w błocie trumien, ale tego już kamery nagrać nie mogą.

Przyjście na Krakowskie Przedmieście przed Pałac Prezydencki, z którego w tragiczną podróż wyruszyli Lech i Maria Kaczyńscy, było dla wielu Polaków oczywistością. Znicze na bruku to kolejny widok, którego nie sposób usunąć z pamięci. Najpierw kilkanaście, potem kilkadziesiąt, wreszcie całe morze światełek. I harcerze pomagający je ustawiać. W rękach różańce, w oczach łzy. Polska się zatrzymała, by szczerze zapłakać po stracie najlepszych synów.

Kondukt żałobny, najpierw z ciałem prezydenta, następnego dnia z ciałem jego małżonki i tysiące tulipanów, jej ulubionych kwiatów rzucanych na karawany na trasie przejazdu z lotniska do pałacu. Niezapomniane. A na Krakowskim Przedmieściu kolejka na kilkaset metrów, wielogodzinne oczekiwanie, by choć na chwilę wejść i się pokłonić. Z tych gestów osób, które przyjechały z całej Polski i nie chciały odejść, wolały czekać, maluje się inny niż wówczas w mediach obraz Lecha Kaczyńskiego. Zobaczyliśmy nagle ludzi, dla których był on ważny, dotychczas nie było dla nich miejsca w dominujących programach telewizyjnych. A oni gdzieś byli, gdzieś w Polsce. I przyjechali oddać ostatni hołd swojemu prezydentowi.

ZNAKI Z NIEBA

W dniach po katastrofie w programach telewizyjnych pokazywany był na żywo, jak jakiś upiorny rytuał, moment wystawiania na płycie warszawskiego lotniska kolejnych trumien. I kolejnych, i jeszcze jedna partia. W sumie przecież prawie sto. Każda owinięta w biało-czerwony sztandar, każda to osobna historia człowieka i osobna tragedia jego rodziny. Opłakana, omodlona. Później wieziona przez miasto na halę Torwaru. Znów ten kondukt, znów tulipany, znów milczący Polacy na trasie przejazdu.

Wreszcie przyszedł 18 kwietnia, dzień pogrzebu prezydenckiej pary na Wawelu. Odlot wojskowego samolotu z trumnami z Warszawy to kolejny obraz nie do wymazania. Machająca skrzydłami na pożegnanie stolica casa. I muzyka Michała Lorenca.

„Leszku, przyjacielu drogi. Przybyliśmy do Krakowa z całego świata. Jak zawsze jest przy Tobie Solidarność, od której wszystko się zaczęło, której byłeś zawsze wierny. Tylko wieniec, który chciałeś złożyć w katyńskim lesie, przetrwał katastrofę. Pamięć i prawda są silniejsze od największej tragedii. Solidarność Polaków w dniach żałoby to hołd dla ciebie, twojej małżonki i wszystkich ofiar. To wieniec pamięci polskich serc" – pisał w pożegnalnym liście Janusz Śniadek, przewodniczący NSZZ Solidarność.

Pogrążona w żałobie Polska okazała się bezbronna wobec propagandy. W obliczu tragedii ludziom nie mieściło się w głowie, że ktoś może tę sytuację rozgrywać politycznie, narzucać własną narrację

Co jeszcze zostanie nam w pamięci z tego dnia? Z powodu erupcji islandzkiego wulkanu nad Europą utworzyła się gigantyczna chmura pyłu i zamknięto ruch lotniczy w tej części świata. Dlatego dzień przed pogrzebem pierwsze delegacje zagraniczne zaczęły odwoływać swoje wizyty. Ostatecznie w ostatniej drodze Marii i Lecha Kaczyńskich towarzyszyli przedstawiciele najwyższego szczebla: prezydenci, premierzy i przewodniczący parlamentów z 18 krajów, głównie położonych blisko Polski. Tym bardziej warto podkreślić obecność takich polityków, jak premier odległego Maroka czy prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili, który by dostać się do Krakowa z USA, musiał lądować w pięciu krajach. Prawie na końcu drogi długo czekał na pozwolenie na wylot z Rzymu, by następnie przez Turcję, Bułgarię i Rumunię dotrzeć na uroczystość w Polsce w ostatniej chwili.

STRACH PRZED WSPÓLNOTĄ

Pogrążona w żałobie Polska okazała się bezbronna wobec propagandy. W obliczu tragedii ludziom nie mieściło się w głowie, że ktoś może tę sytuację rozgrywać politycznie, narzucać własną narrację. O winie pilotów Radosław Sikorski, ówczesny szef MSZ, mówił Jarosławowi Kaczyńskiemu już w pierwszej rozmowie telefonicznej, gdy informował go o śmierci brata. To miała być wersja forsowana przez polityków Platformy Obywatelskiej, wiemy to od gen. Sławomira Petelickiego, który ujawnił treść SMS-a wysyłanego już 10 kwietnia do polityków partii rządzącej: „Katastrofę spowodowali piloci, którzy zeszli we mgle poniżej 100 metrów. Do ustalenia pozostaje, kto ich do tego skłonił".

Tę narrację od razu podjęły i – przez długie miesiące, a nawet lata – forsowały media sprzyjające ówczesnej władzy. Nie wolno nam zapomnieć nazwisk autorów dyktowanych cyrylicą kłamliwych wywodów o pijanym generale Błasiku w kokpicie czy upartym Kaczyńskim zmuszającym pilota do lądowania, który rzekomo miał się obawiać, że „jak nie wyląduje, to go zabiją".

Do haniebnych scen dochodziło również pod Wawelem, gdzie głośna grupa sprzeciwiała się pochówkowi głowy państwa, i przed Pałacem Prezydenckim, gdzie modlitewne zgromadzenie było atakowane przez pijanych zwyrodnialców. Skąd ta próba odhumanizowania Polaków oddających cześć zmarłym? Czy to strach przed rodzącą się wspólnotą tej części Polski, którą „europejska" władza skutecznie pozostawiała poza nawiasem głównego nurtu? By nie pozwolić na niekontrolowane przez mainstream emocje, szybko zapadła decyzja: znicze gasić, a krzyż

eprasa.pl fe81096850



Fot. PIOTR BLAWICKI/EAST NEWS

przenieść do kościoła, nie na ulicy jest jego miejsce.

WRÓG KACZYŃSKI

Władze Rosji nie chciały polskiego prezydenta w Katyniu. Ale on musiał tam być, by oddać hołd bohaterom sprzed 70 lat wymordowanym przez NKWD i upomnieć się o prawdę o tej zbrodni. Przygnębiająca jest myśl, że wraz z towarzyszącymi mu osobami musiał zginąć, by ta prawda dotarła do świata. By media w każdym zakątku globu opowiadały, po co Lech Kaczyński leciał do Rosji, co tam się wydarzyło przed siedmioma dekadami.

Dla Moskwy Lech Kaczyński był wrogiem. Nie tylko z powodu swojej niezłomnej patriotycznej postawy, pielęgnowania prawdziwych kart historii naszego kraju, boleśnie doświadczanego agresją ze Wschodu. Nie tylko z powodu pieczołowitej dbałości o suwerenność Polski w XXI w., także ekonomiczną, energetyczną. Ale również dlatego, że miał odwagę opowiadać światu o prawdziwym obliczu współczesnej Rosji, jej neoimperializmie stanowiącym zagrożenie dla wielu państw. W sierpniu 2008 r. w czasie wojny w Gruzji zebrał przywódców naszego regionu i mimo zagrożenia dotarł do Tbilisi, by przed setkami tysięcy Gruzinów powiedzieć głośne „nie!" napaści na ich kraj. Przestrzegał wówczas: „Rosja uważa, że czasy imperium wracają. Że znów dominacja będzie cechą tego regionu. Otóż nie będzie. Te czasy się skończyły raz na zawsze. Nie na 20, 30 czy 50 lat. (...) I my też wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę". Jego słowa okazały się prorocze. A Kreml nigdy mu ich nie wybaczył.

Dlatego od 2009 r., gdy Władimir Putin, Donald Tusk i ich podwładni zaczęli rozmawiać o spotkaniu w Katyniu, nad negocjacjami w tej sprawie zawsze wisiał warunek: Kaczyńskiego ma nie być. Mimo że od początku polscy urzędnicy zakładali scenariusz uroczystości z jednoczesnym udziałem premiera i prezydenta, strona rosyjska oponowała. A nasze MSZ i KPRM, aby nie drażnić mocarstwa, z którym chciały przykładnie się „pojednać", przystały na moskiewskie wymogi. Uroczystości rozdzielono. Wizytę prezydenta traktowano jako prywatną, jako „zagraniczny komponent" krajowych obchodów. Szczegóły rozmów z Rosjanami ukrywano przed Lechem Kaczyńskim, nie informowano go o niczym. Toczono również medialną grę, z której miało pozostać wrażenie, że głowa państwa „wpycha się" na uroczystości. Katastrofa smoleńska była więc także ceną za infantylne i odarte z wartości prowadzenie polityki.

Postawa rządu wpłynęła na poziom zabezpieczenia wizyty 10 kwietnia, gdy Rosjanie nie musieli już stosować najwyższych procedur bezpieczeństwa, bo nie było potrzeby dbania o swojego władcę. Dziś wiemy, że nikt ze strony polskiej nie przeprowadził rekonesansu na lotnisku, że polski wywiad bardziej interesował się finansowaniem budowy cerkwi w Katyniu niż potencjalnym zagrożeniem wobec pierwszego obywatela RP, że szef Kancelarii Premiera wbrew biblii lotów VIP (instrukcji HEAD) wysłał rządowe samoloty na nieczynne rosyjskie lotnisko wojskowe, za co w końcu usłyszał wyrok (łagodny i nieprawomocny).

eprasa.pl fe81096850



Fot. EAST NEWS

Premier bronił go jednak do samego końca, by ostatecznie wysłać na stanowisko ambasadora w Madrycie. Nagrody czekały też na innych wysokich urzędników, którzy dopuścili się zaniedbań – m.in. szefów służb specjalnych, którzy otrzymali kolejne generalskie gwiazdki, czy Ewę Kopacz, która została premierem.

OBLANY EGZAMIN

Polski rząd okazał nieudolność i strach, z którego wypływały kłamstwa, szyderstwa oraz służalstwo wobec silniejszego. Zobaczyliśmy, że państwo nie działa w sytuacji kryzysowej, że nie jest w stanie zapewnić sobie podstawowych praw w relacjach z dużym sąsiadem, że nie potrafi skorzystać z podpisanych sojuszy, które są fundamentem jego stabilności.

Nikt nie okazał się niczemu winien, nikogo nie spotkały żadne konsekwencje. A państwo zdało egzamin – chwalili się premier, późniejszy prezydent i pozostali przedstawiciele ówczesnej władzy.

Było zaś dokładnie odwrotnie. Państwo poległo zarówno przed 10 kwietnia, jak i po tragedii, gdy nieprzygotowane instytucje i urzędnicy dali się ograć Rosjanom, przystali na wszystkie ich warunki badania katastrofy, nie alarmowali, widząc, że Rosja mataczy w śledztwie, niszczy dowody. Co chwilę zapewniali nas o „doskonałej współpracy" ze stroną rosyjską, z własnej woli pozostawili czarne skrzynki w Moskwie na „wieczne nigdy", zlekceważyli prawo międzynarodowe (np. nie korzystając z narzuconego przez Rosjan 13. załącznika do konwencji chicagowskiej, według którego mogliśmy – i powinniśmy – po zakończeniu prac komitetu MAK domagać się zwrotu wraku samolotu), odrzucili ofertę pomocy z Zachodu i życzenie społeczne – wszak szybko zebrano ponad 300 tys. podpisów pod wnioskiem o powołanie międzynarodowej komisji do wyjaśnienia katastrofy.

Za to błyskawicznie przejmowali władzę. A najszybciej w Pałacu Prezydenckim, gdzie ekipa marszałka Sejmu pojawiła się niemal natychmiast po katastrofie, żądając dostępu do sejfów, dokumentów. Nie było jeszcze oficjalnego potwierdzenia śmierci głowy państwa, a Bronisław Komorowski już chciał ją zastępować.

I zorganizowali pogrzeby. Szybko i sprawnie. Mniej ważne, że wbrew przepisom, które nakazywały przeprowadzenie sekcji zwłok wszystkich ofiar. Jaki był tego efekt, dowiadywaliśmy się w kolejnych latach, gdy okazywało się, jak bez-

eprasa.pl fe81096850

czeszczono ciała ofiar, ile z nich spoczęło w niewłaściwych grobach, jak upychano szczątki kilku osób w jednej trumnie.

Rodziny ofiar zostały skazane na wielokrotne przeżywanie gehenny po śmierci swoich bliskich. A wszystko zaczęło się już w Moskwie, gdzie potraktowano je w bezduszny sposób, część zmuszano do oglądania zmasakrowanych ciał, a później ogłoszono, że mają się tam pożegnać, bo trumny zostaną zalutowane i nie będą już otwierane w Polsce.

Minister zdrowia Ewa Kopacz w Moskwie usypiała ich czujność, zapewniając, że wszystko odbywa się w sposób godny i zgodny z procedurami. Fałszywie zapewniała o przeprowadzeniu sekcji zwłok (wspólnie z polskimi medykami) i starannym badaniu miejsca katastrofy w poszukiwaniu szczątków ofiar.

To rodzinom należy się dziś największy szacunek, bo musiały wykazać się ogromnym heroizmem, by przetrzymać to, co im zafundowano – lata okrutnych kłamstw, drwin, wyzwisk. Najbardziej obrywało im się, gdy bronili honoru swoich ukochanych (jak Ewa Błasik) bądź po prostu domagali się wyjaśnienia niezliczonych wątpliwości i zaniedbań.

CO TAM SIĘ STAŁO

10 lat po katastrofie wciąż jesteśmy w momencie, w którym zamiast wiedzieć, co się wydarzyło w tamten sobotni poranek, możemy tylko wierzyć w którąś z wersji. Czy dało się tego uniknąć? Tak, pod warunkiem że polskie władze zachowałyby się dokładnie odwrotnie, niż to miało miejsce.

Na twarzy Donalda Tuska 10 kwietnia wieczorem malowała się bezradność mieszająca się z przerażeniem. Musiał wtedy czuć, że jest sam, nieprzygotowany, bez pomysłu co robić w obliczu dramatu. A naprzeciwko siebie miał całą potęgę Federacji Rosyjskiej. Na czele z premierem Putinem i ministrem ds. nadzwyczajnych Siergiejem Szojgu, którzy tłumaczyli mu, jak według ich wersji doszło do katastrofy. Wiedział, że ta narracja już zaczyna obowiązywać na całym świecie. Że odkręcenie tego wymaga przeciwstawienia się rosyjskiej machinie. I że oznaczać będzie legnięcie w gruzach naiwnego planu „ucywilizowania Rosji" poprzez przesunięcie zbrodni katyńskiej na półkę z tematami zarezerwowanymi dla historyków.

Było coś jeszcze. Tusk był zakładnikiem Moskwy. Nie tylko w polskich, lecz i w rosyjskich urzędach leżały dokumenty pokazujące, jak wyglądały przygotowania do uroczystości, jak nasz rząd podjął z Rosjanami grę na zmarginalizowanie prezydenta. Że uległ w tej sprawie. W tym samym czasie trwały też negocjacje gazowe, w czasie których gabinet Donalda Tuska dawał Rosjanom więcej, niż życzyli sobie oni sami. Platforma Obywatelska była wtedy potęgą, jej notowania sięgały w niektórych sondażach nawet 60 proc. Ale ujawnienie wówczas tych faktów mogło wszystko zmienić. Tusk widział, jak Polacy zareagowali na katastrofę, jak się jednoczyli, jak rodził się niebezpieczny dla niego i jego obozu mit Lecha Kaczyńskiego. I wiedział, że społeczeństwo stanie raczej przy zdziesiątkowanej formacji Jarosława Kaczyńskiego. Rozpoczynał się polityczny wyścig, walka o utrzymanie władzy, przejmowanie kolejnych urzędów, których szefowie zginęli w Smoleńsku. Wrogość Moskwy byłaby tu kolejnym niebezpiecznym czynnikiem.

> Nie było jeszcze oficjalnego potwierdzenia śmierci głowy państwa, a Bronisław Komorowski już chciał ją zastępować

Czy z tego względu powtarzał, że do działań strony rosyjskiej nie można mieć żadnych zastrzeżeń? Czy dlatego przez długie miesiące nawet nie próbował wymóc na Rosjanach należnego przykrycia szczątków samolotu niszczejących na płycie smoleńskiego lotniska? Czy dlatego bał się uczciwego wyjaśniania katastrofy, by nie rzucić żadnego cienia podejrzeń na Rosję?

CZY KTOŚ TO WYJAŚNI

Te wszystkie – nazwijmy to najdelikatniej – zaniedbania w pierwszych dniach po katastrofie wpłynęły na kształt śledztwa prokuratury wojskowej, które było farsą, a nie rzetelnym dochodzeniem do prawdy o śmierci prezydenta. Prace Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego też zdawały się mieć na celu jedno – nie za bardzo odbiegać od ustaleń rosyjskich, a po tamtej stronie ewentualnie obwinić kontrolerów lotu.

Gdy w 2016 r. śledztwo po „wojskówce" przejęła Prokuratura Krajowa, było jasne, że wielu błędów nie da się już naprawić, że część dowodów została zaprzepaszczona, że trzeba się uzbroić w cierpliwość, by tę sprawę uporządkować, przeprowadzić wymagane prawem ekshumacje wszystkich ofiar (przy wrzasku tych samych mediów, które wcześniej kolportowały kłamstwa na temat pilotów oraz gen. Błasika i murem stały za mataczącym rządem) i poszukiwać bezprecedensowych metod ustalania prawdy. Dlatego podjęto współpracę z najlepszymi w Europie laboratoriami kryminalistycznymi i sięgnięto po amerykańskich biegłych specjalizujących się w badaniu katastrof lotniczych.

Ten proces trwa. Czy zakończy się niepodważalnym ustaleniem tego, co naprawdę wydarzyło się 10 kwietnia 2010 r.? Ile pozostanie w sferze domysłów? Czy ktoś usłyszy wreszcie poważne prokuratorskie zarzuty? Wciąż nie znamy odpowiedzi na tak podstawowe pytania.

Niezależnie od tego, jak będziemy rozkładać akcenty, komu przypiszemy większą, a komu mniejszą winę, jeden wniosek od lat jest niezmienny: katastrofa, to, co do niej doprowadziło, i to, co stało się po niej, jest największą porażką wolnej Polski.

Na portalu wPolityce.pl codziennie publikujemy kolejne odcinki kalendarium 10/04 DEKADĘ PÓŹNIEJ. Odtwarzamy publikacje, wypowiedzi, atmosferę tamtych dni, analizujemy dokumenty, by z perspektywy dekady na nowo spojrzeć na tło naszej narodowej tragedii.

eprasa.pl fe81096850

Rodzina Smoleńska

Niedawno znalazłem zdjęcie sprzed dziesięciu lat. Zrobione przy Krakowskim Przedmieściu. Jest na nim moja żona i młodszy syn. Stoją i patrzą na mnie, w stronę obiektywu. W tle tłum ludzi z biało-czerwonymi flagami. Natychmiast wróciła do mnie ta chwila. Wzruszyłem się, patrząc na syna – miał wtedy 13 lat. Dzisiaj jest dorosłym facetem. Obaj nasi synowie, my razem, nasza rodzina, bardzo przeżyliśmy Smoleńsk: od szoku związanego z kolejnymi informacjami spływającymi z ekranów telewizorów, przez żałobę, a potem ciągnący się koszmar śledztwa, które śledztwem de facto nie było, koszmar upokorzeń, bólu rodzin ofiar, aż po wszystko, co było związane z filmem fabularnym śp. Antoniego Krauzego. Dla naszych dzieci tragedia z 10 kwietnia 2010 r. stała się, jak dla wielu dzieci w polskich domach, częścią ich konfrontacji z trudami życia.

Na mojej życiowej drodze Smoleńsk również odcisnął się głęboko. Przede wszystkim przez konieczność pogłębionej refleksji i poszukiwań związanych z pracą przy filmie. Za wiele tych doświadczeń, chociaż były trudne, jestem wdzięczny.

Dane mi było spotkać pilotów, specjalistów, a także rodziny smoleńskie, wdowy i wdowców, którzy nie tylko przeżyli koszmar utraty bliskich, lecz potem dźwigali ciężar tragedii posmoleńskiej, szaleństwa nienawiści rozpętanego wobec tych, którzy szukali prawdy. Rodziny często nie mogły w spokoju opłakać czy pogrzebać swoich bliskich. W tej mierze – i ja, i wszyscy Polacy, którzy mocno przeżyli Smoleńsk, staliśmy jedną wielką Rodziną Smoleńską, zostaliśmy naznaczeni tą tragedią, ona w nas została, odcisnęła smutne piętno i nigdy nie zniknie. Tak mówią też ci, którzy utracili swoich ukochanych bliskich: podobno czas leczy rany, jak się okazuje, nie do końca, bo wiele nie chce się zabliźnić, wyrwy powstałe w duszach trudno zapełnić, trudno przestać pamiętać, trudno nie czuć braku.

Powinienem wymienić tyle wspaniałych osób, których postawę podziwiam, tyle pięknych postaci – Polaków, którzy się nie poddali i po 10 kwietnia walczyli o prawdę: zarówno tych z rodzin smoleńskich, jak i naukowców, polityków, dziennikarzy, filmowców, którzy dla tej prawdy zostawiali wszystko i, nie bacząc na konsekwencje, o nią walczyli.



TOMASZ ŁYSIAK

Ja i wszyscy Polacy, którzy mocno przeżyli Smoleńsk, staliśmy się jedną wielką Rodziną Smoleńską, zostaliśmy naznaczeni tą tragedią, ona w nas została, odcisnęła smutne piętno i nigdy nie zniknie

Ale wymienię tylko jedną osobę, która stała się dla mnie symbolem. Chodzi mi o panią generałową Ewę Błasik. Tym bardziej to ważne, że właśnie z jej śp. męża, gen. Andrzeja Błasika, rosyjska, a z nią niestety i polska propaganda, zrobiła kozła ofiarnego – zrzucono na niego winę za katastrofę, rozprzestrzeniano kłamstwa o tym, jakoby miał wchodzić do kabiny pilotów i zmuszać ich do lądowania, oraz że miał być w trakcie lotu pijany. Wszystko zgodnie z wypracowanym przez Sowietów starym systemem – gdy stanie się katastrofa, należy zawsze obwinić dowódcę, a nie system czy państwo. Najlepiej, gdy dowódca nie żyje, bo wtedy nie może się bronić.

Nikt nie stawał w Polsce w obronie gen. Błasika, dowódcy Sił Powietrznych. Musiała to zrobić jego żona. To generałowa znalazła w sobie dość sił, by walczyć o dobre imię męża, by domagać się prawdy i by prostować wszystkie idiotyzmy, jakie wypisywano i mówiono na jego temat.

Nigdy nie zapomnę spotkań z panią Ewą w ich domu. Nigdy nie zapomnę pokazywanego kodeksu honorowego oficera, na którym tak zależało generałowi. Generałowi, który wprowadzał do armii nowe standardy zachowań, m.in. trzeźwości w czasie służby. Nigdy nie zapomnę opowieści o duchowym przygotowywaniu się do katyńskich obchodów – o spowiedzi świętej i o randze, jaką nadawał temu lotowi śp. gen. Andrzej Błasik. Nie zapomnę też wyglądu jego munduru: poszarpanego, ubłoconego. Munduru, który odzwierciedlał polski los pod Smoleńskiem. Los Polski, której elita wraz ze śp. prezydentem Lechem Kaczyńskim zginęła w potwornych okolicznościach, los Polski, będący wtedy we władaniu ludzi, którzy nie potrafili na pierwszym miejscu postawić najważniejszych wartości związanych z obowiązkami wobec ojczyzny, położyli uszy po sobie i pozwolili Rosji rozegrać wszystko tak, jak chciała.

Jeśli Polska po Smoleńsku była rodziną, to rodziną podzieloną: jedna część Polaków zachowała się, jak trzeba. Druga tak, że... prosić trzeba w ślad za Herbertowskim wskazaniem, by nie opuszczała nas w stosunku do nich nasza siostra pogarda.

eprasa.pl fe81096850

SIECI

Na Święta

DŁUGOSZ

O SZALONYM ŻYCIU KRAKOWSKIEJ BOHEMY

RADZIWIŁŁ

O SILE RODZINY I DWÓCH TYSIĄCACH KREWNYCH

BARSZCZ

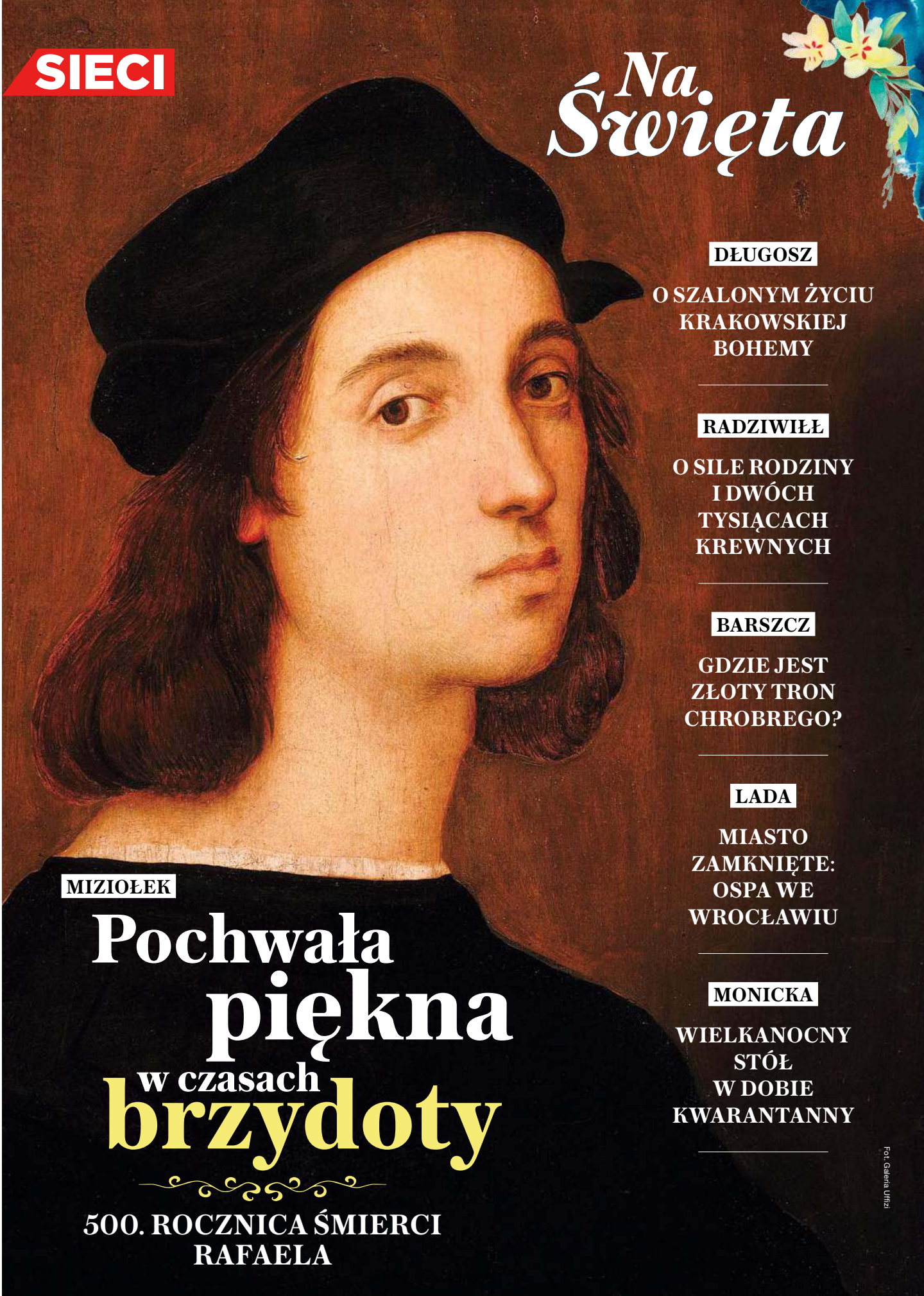
GDZIE JEST ZŁOTY TRON CHROBREGO?

LADA

MIASTO ZAMKNIĘTE: OSPA WE WROCŁAWIU

MONICKA

WIELKANOCNY STÓŁ W DOBIE KWARANTANNY



MIZIOŁEK

Pochwała piękna w czasach brzydoty

500. ROCZNICA ŚMIERCI RAFAELA

Fot. Galeria Uffizi

Pochwała piękna w czasach brzydoty

Rafael stworzył uniwersalne piękno, do którego zawsze możemy wrócić. W ostatnich paru dekadach byliśmy karmieni przez sztukę brzydoty. Proszę spojrzeć na dzieła skądinąd wielkiego brytyjskiego artysty Francisa Bacona czy obrazy Dudy-Gracza. Rafael wraca do nas w tym roku z urodą swoich dzieł. Czy wobec szalejącego wirusa przekona nas do swego sublimowania formy, idealnej harmonii i symetrii?



Madonna Sykstyńska



Z Jerzym Miziołkiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, historykiem sztuki, autorem licznych publikacji o sztuce renesansu, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Rafael Santi, wielki malarz zmarły na febrę dokładnie 500 lat temu, nie doczeka się wielkich uroczystości. Uśmierciła go tajemnicza choroba, a teraz wirus nie pozwala godnie go upamiętnić. Jakieś fatum?

Jerzy Miziołek: To smutna historia, ale kilka wystaw rocznicowych już się odbyło, m.in. w Muzeum Narodowym w Warszawie, które przygotowało niewielką, ale atrakcyjną wystawę na przełomie ubiegłego i tego roku. W Urbino, gdzie Rafael się urodził, w tym samym czasie pokazano początki jego twórczości na interesującej ekspozycji zatytułowanej „Rafael i przyjaciele z Urbino". Niestety, wystawy w Perugii, gdzie się kształcił pod okiem Perugina, i w Rzymie, w którym tworzył 12 lat – w Scuderie del Quirinale – zostały zamknięte wkrótce po ich otwarciu. Druga z nich, prawdziwa perła w koronie uroczystości rocznicowych, pokazująca ponad 200 dzieł Rafaela, może być oglądana z powodu potęgi wirusa tylko w internecie.

Może coś proroczego jest w napisie umieszczonym na nagrobku artysty w rzymskim Panteonie: „Bałem się tego, co niezgłębione, pokonałem zwyczajne, wielkim równy, tylko śmiertelne zmarło ze mną".

Fot. Galeria w Dreznie, Andrzej Wiktor

eprasa.pl fe81096850

Rzeczywiście Rafael był nadzwyczajny, był prawdziwym geniuszem, ale na razie nie zgłębiliśmy tajemnicy wirusa, nie mamy na niego antidotum. Mam nadzieję, że geniusz Italii zwycięży, że termin ostatecznego zamknięcia rzymskiej wystawy zostanie wydłużony. Miejmy też nadzieję, że muzea i galerie z całego świata zgodzą się przedłużyć okres wypożyczenia dzieł będących ich własnością, bo sytuacja jest nadzwyczajna. Niech jaśnieje blask nadziei także w przypadku innych zaplanowanych wystaw, także tej w Domus Aurea w Rzymie. Miała być otwarta 20 marca.

Wielka trójca mistrzów renesansu – Leonardo da Vinci, Michał Anioł i Rafael Santi. Rafael był wyjątkowym twórcą. Giorgio Vasari, XVI-wieczny biograf największych mistrzów renesansu, pisze o nim „boski artysta" nie tylko dlatego, że urodził się i zmarł w Wielki Piątek.

Włoskie określenie „divino", czyli boski – przydane także Michałowi Aniołowi – trzeba rozumieć jako jedyny w swoim rodzaju, wspaniały. Takim właśnie był Rafael, niemal wszystko, co zdarzyło się w jego krótkim życiu, jest jak legenda, ma posmak niezwykłości. Urodził się i zmarł w tym szczególnym dniu dla chrześcijan, ale jego życie, pomimo wczesnej utraty rodziców, nie było smutne, było jak pochód triumfalny. Urodził w się w jednym z centrów kultury renesansowej Italii, w dość zamożnym jak na ówczesne czasy domu, i pomimo losu sieroty zawsze czuwała nad nim opatrzność. Jako 11-letni chłopiec zaczyna naukę u Perugina, potem we Florencji spotyka Leonarda da Vinci i Michała Anioła. To sprawia, że potrafi dokonać niesłychanej syntezy ich twórczości i stworzyć własny, indywidualny styl. Jego rozwój artystyczny był niezwykle szybki. We Florencji (od 1504 r.), a potem w Rzymie (od 1508 r.) tworzy arcydzieła przepełnione niezwykłym czarem. W poetyce romantyzmu można o nich powiedzieć, że tak bardzo przepełniają nas tak niebiańskim pięknem, że nie potrafimy do końca wytłumaczyć, w czym ukryty jest jaśniejący w nich artyzm. Ponadto dzielił się swoim geniuszem i kreatywnością z innymi, inspirował, zapraszał do współpracy, jak m.in. przy tworzeniu fresków w Santa Maria della Pace w Rzymie czy w Loggiach Watykańskich.

Kto z tej trójki był uznawany przez współczesnych za największego artystę, najbardziej podziwianego malarza renesansu? Wiek XX wypromował Leonarda da Vinci jako symbol tamtej epoki.

Nie ma cienia wątpliwości, że Rafael był uznawany za największego malarza swoich czasów. Michał Anioł był bardziej wszechstronny, Leonardo był legendą już za życia, ale to Rafael szybko i pięknie realizował wszelkie zamówienia, czy to portrety, czy obrazy religijne, czy te o tematyce mitologicznej. Już w momencie, kiedy papież Juliusz II zaprasza go w 1508 r. do Rzymu, jest wielką postacią, otoczoną nimbem sławy, ale to w Wiecznym Mieście tworzy arcydzieła, które do dziś zdumiewają, zarówno w sferze kolorystyki, kompozycji, jak i oryginalności ujęcia – popatrzmy na „Przemienienie Pańskie", które stało się nieprześcignionym wzorem na całe stulecia. Gdy artysta umiera w Wielki Piątek 1520 r., wszyscy rzewnie płaczą. Od XVI w. do dziś jest najsłynniejszym malarzem świata, kimś, kto wyznaczył poziom najwyższego artyzmu, oryginalności, a jednocześnie tej niesłychanej słodyczy, która wszystkich nas chwyta za serce.

„Madonna Sykstyńska" to arcydzieło pośród arcydzieł. W tym obrazie mistrz z Urbino ukazał to, co dla wielu artystów było niewykonalne

Jest jakiś rodzaj sprzeczności w jego życiu – z jednej strony jest bardzo pobożny, należy do wielu religijnych stowarzyszeń, a z drugiej strony miał wiele miłostek. Twarz „Madonny Sykstyńskiej" to podobno oblicze jego kochanki, Margherity Lutti. Do swojego wuja pisał: „Szanując związek małżeński, raduję się i jestem niezmiernie wdzięczny Bogu, bo nie zaakceptowałem ani pierwszej [kandydatki na żonę], z którą chcieliście mnie zaślubić, ani żadnej innej". W ówczesnych czasach jak to było z takimi wolnymi związkami?

Rafael był prawdziwym człowiekiem renesansu, zapewne używał życia, był ponadto pięknym mężczyzną. Czyhało na niego wiele pokus. Nie wszedł w związek małżeński, ale miał prawie żonę: była córką piekarza, zwano ją La Fornarina. Vasari pisze, że Rafael obdarzał ją tak wielką miłością, że tuż przed śmiercią hojnie ją uposażył, żeby mogła pędzić wygodne życie. Z drugiej strony posądzał Rafaela o to, że tak naprawdę wyczerpał swoje siły, zbyt nieroztropnie korzystając z przyjemności życia, goniąc za miłostkami, co go miało doprowadzić do przedwczesnej śmierci. Tak naprawdę Rafael przede wszystkim kochał sztukę, głównie malarstwo, choć był też zdolnym architektem. Inną jego miłością była archeologia, badał zabytki Rzymu i napisał nawet do papieża Leona X słynny list będący raportem z jego działań jako opiekuna zabytków antycznych. Zabiły go nie ekscesy miłosne, ale silne przeziębienie. Wiosna 1520 r. była zimna, odwiedzając rozmaite wykopy, przemarzł, na silną febrę nie znaleziono lekarstwa.

Wspomnieliśmy tutaj o „Madonnie Sykstyńskiej". Wiele obrazów Rafaela wiązało się z tematyką religijną.

„Madonna Sykstyńska" to arcydzieło pośród arcydzieł. Już w okresie florenckim artysta namalował wiele pięknych przedstawień Matki Boskiej z Dzieciątkiem i św. Józefem, ale w tym obrazie ukazał to, co dla wielu artystów było niewykonalne. Oto sublimacja tajemnicy: piękna – urodą jedyną w swoim rodzaju – Matka Boga-Człowieka, nie mniej piękny mały Jezus i dwa aniołki ukazane w dolnej partii tego wielkiego obrazu. Całości tej harmonijnej kompozycji dopełniają postacie św. Sykstusa (stąd nazwa obrazu) i św. Barbary. Oto

eprasa.pl fe81096850

tajemnica Wcielenia, objawienia się Boga w ludzkiej postaci, uzyskała mistyczny wymiar, także za sprawą setek aniołków widocznych ponad głową Madonny i Dzieciątka. Ale Rafael to też wybitny malarz tematów antycznych i autor znakomitych portretów. Był równie biegły w malarstwie sztalugowym, jak i w tworzeniu fresków. Jego najbardziej niezwykłe obrazy o tematyce biblijnej to te w Loggiach Watykańskich, które niestety są rzadko dostępne dla zwiedzających Muzea Watykańskie.

Rafael to twórca, który wprowadził własne, nowatorskie rozwiązania artystyczne. Jakie?

Jako jeden z pierwszych malował z żywego modela, tak jak Leonardo da Vinci. Umieszczał swoje Madonny na obłokach i niejednokrotnie tworzył piękne pejzaże służące za tło. Doskonale znał też prawidła perspektywy; prawdziwie po mistrzowsku ukazana jest głębia przestrzeni m.in w jednym z fresków w Watykanie przedstawiającym „Wypędzenie Heliodora ze świątyni w Jerozolimie". Niesłychanie pomysłowo ukazana jest też obok scena „Uwolnienia św. Piotra" – to pierwszy nokturn malarski w sztuce włoskiej z iście magicznym blaskiem księżyca i świetlistym obliczem anioła. Wszakże wielkość Rafaela może najbardziej dostrzegamy w niezwykle kreatywnym wykorzystywaniu wzorów antycznych. Oto znakomicie ukazana Akademia w „Szkole Ateńskiej", która jest rodzajem malarskiej rekonstrukcji słynnych rzymskich term, jak choćby Term Karakalli i bazyliki Konstantyna. Wystarczy rzut oka na jego „Parnas", ukazany naprzeciwko „Szkoły Ateńskiej", by wypatrzyć, jak twórczo geniusz z Urbino adaptuje – poprzez proces asymilacji – słynne statuy antyczne, jak m.in. „Śpiącej Ariadny". Zarówno w Loggiach Watykańskich, jak i w Villa Madama, którą sam zaprojektował, bardzo pomysłowo wykorzystał wraz ze swoimi pomocnikami setki motywów antycznych i wzory dekoracji zaczerpnięte z Domus Aurea, czyli z pałacu Nerona, niegdyś zdobiącego serce Rzymu. Ten zasypany już w antyku kompleks zabytkowy został odkryty na przełomie XV i XVI w. Jednym z jego odkrywców był nasz wielki malarz.

Twarz „Madonny Sykstyńskiej" jest piękna, wyraża bardzo wiele uczuć. Każda epoka ma swoje kanony piękna kobiecego, ale jednak gdybym dzisiaj na ulicy spotkała kobietę podobną do Mona Lisy, przeszłabym obojętnie. Ta, podobna do Madonny Sykstyńskiej, by mnie zachwyciła.

Wielka urokliwość Madonn Rafaela przetrwała przez wieki. Nie przeniesiemy się teraz do Drezna, nie zobaczymy oryginału „Madonny Sykstyńskiej" kupionego przez polskiego króla Augusta III Sasa z kościoła św. Sykstusa w Piacenzy, ale nawet na reprodukcjach dostrzegamy w jej twarzy niesłychaną dobroć i słodycz. Czytamy o Matce Boskiej w niektórych tekstach, głównie apokryficznych, że roztaczała aurę dobroci i miłości i Rafael to wszystko ukazał. Ponadto atmosferę misterium Wcielenia podkreśla kurtyna, która rozsunęła się właśnie, by ukazać piękną tajemnicę.

> Rafael urodził się i zmarł w szczególnym dniu dla chrześcijan, w Wielki Piątek, ale jego życie, pomimo wczesnej utraty rodziców, nie było smutne, było jak pochód triumfalny

August III Sas kupił ten obraz za pieniądze Rzeczypospolitej, ale nie do Warszawy, lecz do Drezna. Obraz został zrabowany przez Rosjan w czasie II wojny światowej, kiedy wkroczyli do Niemiec, i dopiero w 1995 r. wrócił do Galerii Drezdeńskiej. A jedyny obraz Rafaela, jaki był w polskich zbiorach, „Portret młodzieńca", zakupiony do kolekcji księżnej Izabeli Czartoryskiej, zaginął w tym samym czasie i do dzisiejszego dnia nie można go odnaleźć. To niesprawiedliwe!

„Madonnę Sykstyńską" ukradziono właściwie w biały dzień, na zasadzie takiej, że nie wiadomo, co się w świecie będzie działo (naprzeciwko siebie stali Rosjanie i alianci, coraz bardziej wrogo do siebie nastawieni), i zwrócono w momencie, kiedy Rosjanie próbowali polepszyć relacje z Zachodem. Ślad po naszym Rafaelu urywa się 1945 r., nie wiemy kto, co i jak. Jestem jednak przekonany, że ten obraz musi istnieć. Stała się wielka krzywda, bez względu na to, czy ten obraz jest autentycznie autoportretem Rafaela, czy też portretem jakiegoś młodzieńca. Kiedyś na pewno powróci, bo on po prostu należy do polskiej kultury narodowej. Czekamy i nawet nie dopuszczamy myśli, że został zniszczony.

Byłoby pewnie lepiej, żeby „Madonna Sykstyńska" zdobiła ołtarz główny kościoła w Piacenzy. Martin Heidegger mówił o „utracie znaczenia", wyrwaniu z własnej gleby tych dzieł, które zabrano z miejsc, dla których były one przeznaczone.

W pełni się zgadzam z tym wybitnym filozofem. Tylko dzieła w pierwotnym kontekście, jak podkreślał też Karol Lanckoroński, wybitny polski kolekcjoner, pokazują wszystkie aspekty swojej urody. Jednakże to „wyrywanie" to powszechna praktyka. W Rzymie z ołtarza głównego bazyliki Matki Bożej Ołtarza Niebiańskiego zabrano słynną „Madonnę di Foligno", która jest w tej chwili w Pinakotece Watykańskiej. Praktyka zabierania wielkich arcydzieł w bezpieczne miejsce, w momencie kiedy artysta staje się bardzo słynny, brała się z obawy, by ich nie utracić, nie wystawiać na uszkodzenia. Wiele obrazów Rafaela zostało wyrwanych z kontekstu; ich pierwotne ulokowanie możemy dziś rekonstruować w 3D.

Piękno, które emanuje z obrazów Rafaela, twarzy Madonn, które namalował, jest radosne. Ale przecież jest też piękno bolesne, bo np. Pieta Michała Anioła poprzez swoje piękno budzi żal, smutek. Piękno może nas radować, ale też smucić.



eprasa.pl fe81096850


Portret młodzieńca

Długo potrafię stać przed ostatnią Pietą Michała Anioła, Pietą Rondanini, którą można podziwiać w Castello Sforzesco w Mediolanie. Jest ona tragicznie wstrząsająca w swoim bólu i żalu. Pieta w Watykanie jest zupełnie inna, emanuje łagodnym, pięknie ukazanym smutkiem. Rafael jest przede wszystkim artystą radosnym, który pokazał wprawdzie w „Madonnie ze szczygłem" nieuchronność śmierci Syna Człowieczego, ale na jej twarzy widać piękny, melancholijny smutek, jakby zapowiadający wydarzenie wielkanocne. Z kolei w przywoływanej już „Madonnie Sykstyńskiej" mamy Matkę Boską radosną, emanującą niesłychaną dobrocią i matczynym szczęściem. Rafael potrafił wyrazić zarówno piękno smutne, jak i piękno radosne. Smutek u Rafaela nie jest nigdy wstrząsający, jest łagodny, ale niezwykle głęboki. Nie rozdziera nam serca, prowadzi do religijnej medytacji.

Na początku 2019 r. w Galerii Malarstwa w Berlinie pokazano pięć wczesnych Madonn Rafaela i kustosz tej wystawy Alexandra Enzenberger powiedziała wówczas: „W dziełach Rafaela jest wręcz za dużo harmonii, są wręcz zbyt piękne. Ale może nastały czasy, w których właśnie za tym znowu tęsknimy". Nadeszły te czasy?

W ostatnich paru dekadach byliśmy karmieni przez sztukę brzydoty. Proszę spojrzeć na dzieła skądinąd wielkiego brytyjskiego artysty Francisa Bacona czy obrazy Dudy-Gracza. One są w opozycji do kanonu piękna, który stworzył Rafael. Ten wielki artysta wraca do nas w tym roku z urodą swoich dzieł. Czy wobec szalejącego wirusa przekona nas do swego sublimowania formy, idealnej harmonii i symetrii?

> Ślad po naszym Rafaelu urywa się w 1945 r. Jestem jednak przekonany, że ten obraz musi istnieć. Kiedyś na pewno „Portret młodzieńca" powróci, bo on należy do polskiej kultury narodowej

Niektórzy twierdzą, że nie ma jednego, uniwersalnego i ponadczasowego pojęcia piękna, a inni, że prawdziwie wielkie dzieła sztuki i cuda natury są ponadczasowe.

Rafael stworzył uniwersalne piękno, do którego zawsze możemy wrócić. Są czasy, w których odchodzimy od tego renesansowego kanonu, który ma tak wiele wspólnego z klasyczną sztuką Grecji. Rafael jest właściwie emanacją zachwytu nad starożytnością. Mamy do czynienia z czymś ponadczasowym w tym sensie, że zawsze jest to punkt odniesienia, zawsze możemy wrócić do czegoś, od czego możemy potem odejść, możemy stworzyć kolejny manieryzm czy kolejny barok. Rafael, jak cały włoski renesans, stanowi niejako naszą artystyczną ostoję, ponadto jego sztuka dociera poza europejski krąg kulturowy do niemal wszystkich zakątków świata.

Czy w tych trudnych czasach, w których jesteśmy, zaczynamy tęsknić za pięknem? Takim, o którym św. Tomasz z Akwinu mówił, że jest „przyjemne dla oka", a Kant, iż „piękne jest to, co podoba się powszechnie, bezinteresownie i bezpośrednio". Czy przyszedł czas, kiedy piękno powinno do nas wrócić?

Nie tylko z tego powodu, że mieliśmy rok Leonarda, teraz Rafaela, a w przyszłym – Dantego. Przesłanie ich sztuki, zwłaszcza Rafaela, po okresie, kiedy epatowaliśmy się przesadnie dozowaną brzydotą, może być uzdrawiające. Nie potrwa to długo, bo ludzie czekają na zmiany, ale może to mieć siłę ożywczą i uszlachetniającą naszą rzeczywistość.

Może się stać opatrunkiem na naszą zbolałą, przestraszoną i udręczoną duszę?

Nie dla wszystkich, ale dla wielu może tym się stać.



Fot. Galeria w Dreznie, Accademia Carrara w Bergamo.

eprasa.pl fe81096350

Ideologia na mapie

Na starych mapach i planach miast najlepiej widać burzliwą historię. Zmieniały się nie tylko granice, lecz także nazwy państw, miast i ulic. W Polsce, która w XX w. parę razy przechodziła z rąk do rąk i zaliczyła po drodze dwa totalitaryzmy, tabliczki z nazwami miast i ulic zdejmowano wiele razy. Czasem, aby przywrócić historię, a czasem, aby ją zakłamać



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W czasach PRL po Warszawie krążył słynny dowcip o pasażerach tramwaju. Gdy tramwaj zatrzymał się na przystanku, jeden z pasażerów zapytał drugiego, czy to już plac Bankowy, i usłyszał w odpowiedzi, że jeszcze nie, bo na razie to plac Dzierżyńskiego. Jednak warszawski plac Bankowy ze słynnym pomnikiem szefa Czeki, który widowiskowo obalono w 1989 r., miał i tak dużo szczęścia, bo tylko dwukrotnie zmieniał swoją nazwę: najpierw w 1951 r. komuniści przechrzcili go na Feliksa Dzierżyńskiego, a potem w ramach pierwszej dekomunizacji ulic w 1989 r. powrócił do swojej pierwotnej nazwy.

Znacznie więcej zmian przeżył inny warszawski plac, który nosi dziś imię Józefa Piłsudskiego. Plac ten, na którym w 1979 r. padły słynne słowa Jana Pawła II o Duchu Świętym zmieniającym oblicze ziemi, w ciągu ostatnich stu lat nosił aż cztery różne nazwy. Pierwotnie jako plac Saski dzielił swoją nazwę z dotąd nieodbudowanym Pałacem Saskim oraz znajdującym się na jego tyłach ogrodem. Potem w 1928 r., na fali kultu Marszałka, dostał jego imię, podobnie zresztą jak setki innych miejsc w całej Polsce. Podczas okupacji Niemcy na krótko usunęli Piłsudskiego, przywracając Sachsen-



sprasa.pl fe81096850

platz, aby w pierwszą rocznicę napaści na Polskę uhonorować swojego Führera. Gdy po wojnie Adolf Hitler Platz zniknął z mapy, znów powrócił plac Saski przekształcony po zaledwie roku w plac Zwycięstwa. Ostatecznie w 1990 r. po upadku PRL, gdy odkurzano publiczną pamięć o Piłsudskim, zdecydowano się na powrót do nazwy z lat 30.

Częste zmiany nazw są zwykle odbiciem burzliwej historii. Każda epoka ma swoich własnych bohaterów, których władza chce utrwalić w powszechnej świadomości. Jednak w Polsce, która w XX w. – mówiąc obrazowo – parę razy przechodziła z rąk do rąk, zaliczając po drodze dwa totalitaryzmy, często wiązało się to nie tylko z narzuconą z zewnątrz obcą ideologią i wersją dziejów, lecz również z ujarzmieniem narodu, materialnym zniszczeniem oraz procesem brutalnego zakłamywania jego przeszłości. Nic dziwnego, że po 1989 r. przez całą Polskę przeszła fala przywracania dawnych nazw, jako symbolicznego potwierdzenia odzyskanej właśnie wolności.

Jednak gdy dwa lata temu obecny obóz rządzący postanowił zakończyć ten proces, uchwalając ustawę dekomunizującą przestrzeń publiczną, natrafił na silny opór opozycji. Był to kolejny front ostrej walki politycznej, ale również przejaw absurdalnego postrzegania władzy w kręgach antypisowskich jako „okupantów", którzy – podobnie jak dawni zaborcy – próbują narzucać obywatelom własną wizję historii i tłumić tym samym ich wolność. W rezultacie nadal mamy w polskich miastach przykre relikty totalitarnej przeszłości w rodzaju ulic Armii Ludowej czy Dąbrowszczaków.

GEOGRAFICZNA WOJNA

Inaczej było po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Odrodzona Polska, pomimo dramatycznych – i przecież znacznie głębszych niż dziś – podziałów politycznych, potrafiła się zdobyć na większą jednomyślność w ocenie przeszłości. Jej symbolem było zniesienie soboru św. Aleksandra Newskiego na wspomnianym już placu Saskim w Warszawie w 1926 r. jako reliktu rosyjskiego panowania nad miastem. Zniknęły też, niemalże natychmiast, zaborcze nazwy ulic: Moskiewska i Petersburska na Pradze (dziś Grochowska i Jagiellońska), Nowoaleksandryjska (Puławska) czy most Mikołajewski (Poniatowskiego). Podobnie było w innych miastach. Nikt nie domagał się pozostawienia w Poznaniu ulicy Berlińskiej (Dąbrowskiego), Augusty Wiktorii (żony Wilhelma II, dziś to ulica Grunwaldzka), Kronzprinzenstrasse (Górna Wilda) ani Kaiser Wilhelm Strasse (Szamarzewskiego).

Przywracano również polskie nazwy miejscowości, w zaborze rosyjskim zniknęła m.in. Nowa Aleksandria (Puławy) i Nowogieorgijewsk (Modlin), a w pruskim wróciły Bydgoszcz (Bromberg) czy Leszno (Lissa), choć teoretycznie można było próbować używania spolszczonego wariantu nazwy niemieckiej (tak jak robiono to z nazwami miast Rzeszy, np. Malborg).

W tym czasie trwała zresztą wojna polsko-niemiecka wokół nazewnictwa geograficznego na obszarach o słowiańskim rodowodzie. Na polskich mapach używano zwykle nazw słowiańskich, nawet na terenach w głębi Niemiec – zamiast Rostocka była swojska Roztoka, a w miejscu znanego później z produkcji rakiet V-2 miasteczka Peenemünde – Pianoujście. Z kolei Niemcy prowadzili od czasów pruskich akcję germanizacji nazw słowiańskich, nadając im – nie tylko na mapach, lecz i w rzeczywistości – całkowicie niemieckie nazwy. W ten sposób Zabrze przekształciło się w 1915 r. w Hindenburg (na cześć feldmarszałka Paula von Hindenburga). Proces ten nabrał tempa w okresie międzywojennym, zwłaszcza po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech. Przykładowo na Albertynie (Uniwersytecie w Królewcu) od 1937 r. działała specjalna komisja powołana przez gauleitera Prus Wschodnich Ericha Kocha, której celem było przemianowanie wszystkich nazw geograficznych mających polski lub bałtycki źródłosłów. Dotyczyło to najczęściej małych wsi, jezior i rzek, np. jezioro Bobrzynek niedaleko Ostródy (Bubrinneck See) zostało przekształcone w Otter See, a wieś Siódmak koło Szczytna (Schodmak) na Wiesendorf. Łącznie zmieniono wtedy około 70 proc. historycznych nazw na Mazurach. Niemieckie nazwy wymyślano w różny sposób. Śląska wieś Chrzumczütz (Chrząszczyce) zmieniła się w Schönkirch (na pamiątkę zniszczonego w trakcie wojen napoleońskich XIII-wiecznego kościoła, skądinąd zresztą historycznie polskiego), Zernitz (Żarnice) nazwano Haselgrunt – od słowa Hasel, czyli porastającej okolice leszczyny, a Mikulczyce (dziś dzielnica Zabrza) przechrzczono na Klauseberg (od imienia Mikołaj przetłumaczonego na niemieckiego Klausa).

Po wojnie podobny proces – tyle że w odwrotną stronę – zaszedł na przyłączonych do Polski ziemiach zachodnich. Przywracano stare słowiańskie nazwy, uwspółcześniając niekiedy ich brzmienie (np. Nysa, niem. Neisse, znana wcześniej jako Nisa lub Nissa), a w przypadkach nazw niemieckich nadawano im zupełnie nowe polskie nazwy. W ten sposób dawny Landsberg stał się Gorzowem – początkowo nad Wartą, a potem Wielkopolskim, co miało podkreślić jego związek z Polską, choć miasto z Wielkopolską miało w istocie niewiele wspólnego.

Wokół zmian nazw wybuchały niekiedy spory. Tak było na Mazurach, gdzie nie wszystkie nazwy nadane przez działającą w odległym Krakowie Komisję Ustalania Nazw Miejscowości przypadły do gustu nowym polskim mieszkańcom tych ziem. Portal Dzieje.pl opisuje opór mieszkańców Giżycka (niem. Lötzen), które posiadało wprawdzie polski odpowiednik Łuczany, ale mimo to nadano mu nazwę na cześć działacza mazurskiego Gustawa Gizewiusza. Podobne źródło nazwy ma dzisiejszy Kętrzyn (niem. Rastenburg, w spolszczonej wersji Rastembork) nazwany tak od historyka tych ziem Wojciecha Kętrzyńskiego (urodzonego zresztą jako Adalbert von Winkler). Zrezygnowano natomiast z przemianowania Fromborka (niem. Frauenburg) na Kopernikowo.

Polscy osadnicy chcieli też niekiedy przeniesienia na ziemie zachodnie dawnych kresowych nazw, skąd się wywodzili, ale spotykali się z odmową. Nie należało prowokować Sowietów kultywowaniem symbolicznej pamięci o Kresach.

TOTALITARNY ZAPAŁ

Po wojnie nie tylko polonizowano i zmieniano stare niemieckie nazwy. Rozpoczęto również intensywną ideologizację

epress.pl fe81096850

przestrzeni publicznej, co w wielu miastach – tak jak w Warszawie – ułatwiał fakt wielkich zniszczeń wojennych i ich odbudowy według zupełnie nowych planów, z nowymi dzielnicami i nową siatką ulic. W Krakowie, gdzie szczęśliwie ocalała większość zabudowy, powstało wzorcowe socjalistyczne miasto – Nowa Huta – gdzie dopuszczano niemal wyłącznie „zaangażowane" politycznie nazewnictwo ulic: Lenina, Marksa, Engelsa czy Rewolucji Październikowej (dziś odpowiednio: Jana Pawła II, Ludźmierska, Boruty-Spiechowicza i Andersa). W ścisłym centrum Nowej Huty znajdował się plac Centralny ze zwalistym pomnikiem Lenina na środku ronda. Dziś pomnika już nie ma, a sam plac nosi imię Ronalda Reagana, choć trzeba przyznać, że akurat ten patron w otoczeniu socrealistycznych bloków jawi się dość groteskowo.

W większości peerelowskich miast obowiązkowo pojawiły się – najczęściej w ścisłych centrach – ulice Armii Czerwonej (rzadziej Armii Radzieckiej), Karola Świerczewskiego – mianowanego pierwszym „męczennikiem" komunistycznej Polski, 22 Lipca (tzw. Święto Odrodzenia będące najważniejszym świętem państwowym w PRL) oraz kolejnych dziesięcioleci istnienia Peerelu (z nieistniejącym już warszawskim Stadionem Dziesięciolecia na czele).

Polska nie doczekała się za to – na szczęście – pomnika Stalina. Był taki projekt, przygotowywany przez Ksawerego Dunikowskiego, ale przypominał raczej karykaturę dyktatora i ostatecznie nie został zrealizowany. W Warszawie uhonorowano za to Stalina Pałacem Kultury i Nauki (który początkowo nosił imię wodza) oraz nadaniem imienia Stalina reprezentacyjnym Alejom Ujazdowskim. Zdecydowano też – formalnie na wniosek śląskiego pisarza Gustawa Morcinka – o przemianowaniu Katowic na Stalinogród. Stalin ostatecznie zniknął z polskich map w 1956 r.

Praktyki te przypominały nieco niezrealizowane na szczęście na większą skalę plany nazyfikacji i germanizacji polskich miast w trakcie II wojny światowej. Podczas okupacji zmieniono m.in. nazwę Łodzi na Litzmannstadt (na cześć pruskiego generała i polityka NSDAP Karla Litzmanna), a Zamość, który miał się stać centrum niemieckiego osadnictwa w regionie, chciano przechrzcić na Himmlerstadt (od Heinricha Himmlera – szefa SS). Zmieniano także nazwy ulic, zwłaszcza te, które upamiętniały polskie postaci historyczne lub były uznawane za żydowskie – w ten sposób warszawskie Aleje Jerozolimskie stały się podczas wojny ulicą Dworcową (Bahnhofstrasse).

> Giżycko nazwano na cześć działacza mazurskiego Gustawa Gizewiusza. Podobne źródło nazwy ma dzisiejszy Kętrzyn. Zrezygnowano natomiast z przemianowania Fromborka na Kopernikowo

WIATR HISTORII

Zmienianie nazw ulic, a nawet całych miast było szeroko praktykowane przez reżimy totalitarne, zwłaszcza w Związku Sowieckim. Trudno dzisiaj zliczyć miasta, którym nadawano nazwy na cześć działaczy bolszewickich: najbardziej znany to oczywiście Leningrad (Petersburg), gdzie założyciela miasta Piotra Wielkiego wymienił wódz rewolucji, ale mieliśmy jeszcze wiele innych, np. Gorki (Niżny Nowogród), Swierdłowsk (Jekaterynburg), Kujbyszew (Samara), Frunze (stolica Kirgistanu – Biszkek), Mołotow (Perm) czy ukraiński Woroszyłowgrad (Ługańsk).

Ten ostatni zmieniał nazwę dwukrotnie. W 1935 r. po raz pierwszy postanowiono uhonorować Klimenta Woroszyłowa, jednak jego imię (podobnie jak Mołotowa) zniknęło w 1958 r. na fali destalinizacji i znów na mapie pojawił się Ługańsk. Jednak tylko na 12 lat, bo w 1970 r. ponownie stał się Woroszyłowgradem – tym razem aż do 1991 r., gdy Ukraina ogłosiła niepodległość. Podobnie było ze Stalingradem, gdzie Sowieci stoczyli zwycięską, niezwykle krwawą bitwę z Niemcami w 1943 r. Miasto – pierwotnie Carycyn – zostało w 1925 r. przemianowane na cześć nowego wodza Józefa Stalina. W 1961 r., gdy ciało Stalina usunięto z Mauzoleum na placu Czerwonym w Moskwie, postanowiono pozbyć się również Stalingradu. Jednak nie można było przywrócić Carycyna (od słowa car), zatem wymyślono Wołgograd, od nazwy przepływającej przez miasto rzeki. Co ciekawe, w latach 80., w 40. rocznicę zwycięskiej bitwy, planowano przywrócenie nazwy Stalingrad, jednak ostatecznie do tego nie doszło.

WE WŁASNYM JĘZYKU

Gdyby spojrzeć szerzej na mapę całego świata, to okazałoby się, że podobne praktyki nie są niczym szczególnym. Próżno dziś szukać na mapie Syjamu (Tajlandia) czy Persji (Iran). Największą falę zmian przyniosła dekolonizacja Afryki, gdy stare nazwy kojarzące się z przeszłością masowo zastępowano nowymi – przykład dało tu dawne brytyjskie Złote Wybrzeże, które po uzyskaniu niepodległości w 1958 r. stało się Ghaną. Prawda jest jednak taka, że wiele nazw kolonialnych miało w rzeczywistości lokalne pochodzenie, przykładowo francuski Dahomej (dziś Benin) wziął swoją nazwę od dawnego afrykańskiego królestwa, a czasami zmiana nazwy wiązała się jedynie ze zmianą pisowni. Tak było np. z położoną w Azji Birmą noszącą dziś oficjalną nazwę Mjanma (ang. Myanmar). Rządząca tym krajem junta wojskowa postanowiła zmienić nazwę państwa na lepiej oddającą jej fonetyczne brzmienie w miejscowym języku.

Swoista nacjonalizacja nazw jest częstym motywem zmian, na tej fali w Indiach zniknęły już miasta Madras (dziś Ćennaj) czy Bombaj (teraz Mumbaj), a w Chinach np. Kanton (Guangzhou). Państwa zachodnie na fali poprawności politycznej natychmiast wprowadzały te zmiany do swoich języków, choć poprzednie nazwy były znacznie lepiej zakorzenione. Z drugiej jednak strony również my nie chcielibyśmy chyba, aby w Europie nadal używano nazw Danzig czy Breslau.



eprasa.pl fe81096850

Kulturze potrzebny jest snobizm

O krakowskiej bohemie, artystycznych indywidualnościach i o najlepszym okresie kultury polskiej II połowy XX w. z ***Leszkiem Długoszem***, poetą, pieśniarzem, kompozytorem, jednym z najwybitniejszych artystów Piwnicy pod Baranami, rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

Mam przed sobą reprezentanta barwnej i wysokiej kultury polskiej, a jednak mam wrażenie, że odzyskiwanie kultury nie do końca nam wychodzi. Wciąż dominuje kicz i nowoczesna pseudosztuka. Dlaczego?

Leszek Długosz: Jest wielka niepewność wśród twórców. Boją się, zwłaszcza ci niepewni swojej wartości, że znikną im te pierwsze sceny, pierwsze rynki zbytu, nagrody. Po stronie prawicowej nie ma zbyt wielkich rynków, sieci dystrybucji, nagradzania, za mało jest... snobizmu.

Za mało snobizmu? To chyba dobrze.

W kulturze jest potrzebna pewna doza snobizmu, o czym wiedział choćby Żeromski. Dobrze pojęty i ukierunkowany snobizm po prostu „podciąga społeczeństwo". W broszurze „Snobizm jako dźwignia postępu" pisze o pozytywnych skutkach dobrze pojętego snobizmu, wyznaje wprost: „Sam nurzam się w snobizmie". A to przy okazji swojego stosunku do teatru. Dzisiaj tej świadomości czyżby brakło? Postawa broniąca tradycyjnych, klasycznych norm i wartości (czyli „przestarzałość") jest spychana na margines. Walkę i klientelę wygrywa się za pomocą, delikatnie mówiąc, produkcji w rodzaju „Zenka". Nie odbieram ludziom prawa do takiej rozrywki, na jaką mają ochotę, rozumiem też funkcje propagandowo-pragmatyczne posługiwania się taką twórczością, nie udawajmy jednak, że to ma coś wspólnego z promocją dóbr kultury. Samotna walka twórców (jest nas paru „pojedynczych") skazana jest na porażkę. Ktoś z wysoko usytuowanych znajomych napadł mnie (na szczęście słowami), że przystałem do PiS. I swoją obecnością w środowisku prawicy legitymizuję „Ciemnogród". Dziarsko odpowiedziałem mu, czyli „Jasnogrodowi". Ale wielu autorów panicznie boi się takich przygan. Inna kwestia, o czym to jeszcze świadczy.

> Po wódkę do meliny szło się np. na ul. Wielopole i wiedziało, w które okienko trzeba stuknąć, żeby pojawiła się ręka z butelką, zresztą to też były lokale milicyjno-ubeckie. Skrzynecki był w tym zorientowany

Mówimy o sztuce w ogóle, ale spójrzmy konkretnie na poezję. Może Polacy przestali być narodem czytającym wiersze?

W czasach mojej młodości, kiedy wymiana kulturowa była inna, były pisma, tygodniki literackie, a także wydania weekendowe, wtedy zwane sobotnio-niedzielnymi, w których ukazywały się nowe wiersze. W poniedziałek ludzie rozmawiali w biurach o nowych wierszach Herberta czy Barańczaka. Czuło się, że taki obieg refleksji artystycznej był autentycznie potrzebny. To się kompletnie skończyło, choć...

Choć?

Tym bardziej się cieszę, że w tygodniku „Sieci" mam to małe okienko, kiedyś na pierwszej stronie, dziś na ostatniej, ale wciąż łapiącej oko czytelnika. Traktuję je bardzo

eprasa.pl fe81096850



Fot. Andrzej Szełęga

poważnie, udzielam głosu tym, którzy już nie mogą mówić. Nie żyją już albo byli zakneblowani. Nie dano im szansy. Nie mieli prawa głosu. Zwyczajnie odrabiam powinność. Na skrawku papieru pojawiają się więc np. twórcy emigracyjni, odcięci... Albo ostatnio np. z kręgu krzemienieckiego, tacy jak Zygmunt Rumel, bardziej znany jako ofiara rozszarpania przez konie podczas rzezi wołyńskiej, czy Feliks Łańcucki, młodzież Powstania Warszawskiego, postać Zuzanny Ginczanki, która jako osoba pochodzenia żydowskiego nie zdołała uchronić się przed gestapo i zginęła tragicznie zadenuncjowana w samej końcówce 1944 r. I akurat w Krakowie.

Ale też osobiście byłeś świadkiem narodzin najwyższego kunsztu artystycznego w Polsce. Mam na myśli Piwnicę pod Baranami czy – szerzej – Kraków lat 50., 60. XX w.

... i nawet początku lat 70. „Ten szczęsny czas" – tak nazwałem ten okres, tak zatytułowałem książkę o Piwnicy pod Baranami. Atmosfera i dorobek tamtych lat jest fenomenem nie do powtórzenia. Zbiegiem okoliczności zdarzyli się w tym samym miejscu i tym samym czasie niezwykli ludzie, silne, nadzwyczaj kreatywne indywidualności, i mogłem wejść w najlepszy moment kultury polskiej II połowy XX w. Na małej przestrzeni, jaką jest rynek krakowski, zdarzyły się wybitne adresy: Piwnica pod Baranami, Pałac Krzysztofory, czyli Teatr Kantora, ówczesny Teatr Stary, po drugiej stronie ówczesny Klub pod Jaszczurami i nieopodal ówczesny „Tygodnik Powszechny", „Przekrój". Niektórzy ludzie przebiegali od sceny do redakcji, od spektaklu do koncertu, inni siedzieli dłużej przy nauczających mistrzach – Piotrze Skrzyneckim czy Tadeuszu Kantorze. Wszędzie niespotykana kreatywność, ambicja, swoboda, uroda , fantazja. I PRL za progiem.

W książce opisujesz, że Skrzynecki i Kantor nie przepadali za sobą.

To jest chyba najlepsze określenie – nie przepadali. To zrozumiałe na terytorium sztuki. Na takiej małej przestrzeni dwóch to zwykle o jednego za dużo. Piotr cenił teatr Kantora, jego myślenie o teatrze, też rysunek. Podśmiewał się z jego malarstwa. Uznawał je za przeflancowane nowinkarstwo, nie akceptował jego pozy, „histeryczności", tego aktorskiego zastygania, pomnikowych min. Raz zdarzyło mi się przyłapać Kantora na przygotowywaniu „pozy", a działo się to... w toalecie [śmiech]. W tych Krzysztoforach wychodzę z kabiny, patrzę, a tam przed lustrem Mistrz mozolnie i starannie upina swój szal. Wyjaśniła się tajemnica, dlaczego ten niby luźno, fantazyjnie zarzucony na ramię i wokół szyi szal, który według praw fizyki powinien spadać, nie spada. Każdy szczegół twórczości, ale i codzienności był przemyślany, przygotowany. Skrzynecki i Dymny nabijali się z tego. „Kantora do wora!" – wykrzykiwał w swoim monologu „Zbiór bzdur" Dymny. I spod Baranów dochodziło to pod Krzysztofory.

eprasa.pl fe81096850

A co mówił Kantor o Piwnicy?

Że to niepoważne. Lekceważący grymas. U Skrzyneckiego była potrzeba zabawienia się, rozśmieszenia, ironizowania, lekkiego traktowania rzeczywistości. Ale też potrzeba poezji, liryczności. Panowała całkowita dezynwoltura, jeśli chodzi o dyscyplinę czy formalizm, gdy u Kantora był terror: założona ścisła forma, powtarzalność ustalona co do półintonacji, ćwierćobrotu ciała. W Piwnicy kreowało się zamierzony chaos, bałagan z liryką, często najwyższej rangi muzyką i poezją. Kantora ceniliśmy, mimo wszystko, za co innego. Stworzył nowy, odrębny język teatralny. Ze zminimalizowanym tekstem, natomiast plastyka, ruch i muzyka czyniły z tego uniwersalny przekaz rozumiany wszędzie, bez względu na kod kulturowy. Jego spektakle nie potrzebowały tłumaczenia, znajomości scenariusza, przez swoją ekspresję były absolutnie czytelne i ogromnie emocjonalne. Skrzynecki i Kantor – dwie odrębności, w tym samym czasie, na maleńkiej przestrzeni. Dziś dwa pomniki. Zupełnie odmienne metodologicznie podejście do sztuki – ale to wszystko kipiało od życia, temperamentu, emocji.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że kolebka takiej dynamicznej kultury mogła powstać tylko w Krakowie.

Atmosfera miasta bez wątpienia bardzo oddziaływała. Pamiętam, jak gościłem u Zofii Jachimeckiej, wybitnej tłumaczki literatury włoskiej, wdowy po prof. Zygmuncie Jachimeckim, twórcy polskiej nowoczesnej muzykologii. Słuchałem np. o jakiejś Gabryni, która „udawała sufrażystkę , niby taka wyzwolona, a tak naprawdę zależało jej na tym, żeby dobrze wyjść za mąż". Z trudem opanowałem zdumienie, gdy się zorientowałem, że moja gospodyni mówi o Gabrieli Zapolskiej. Tak, jakby przyjaciółka Gabrynia właśnie z kanapy wstała. Ta ciągłość towarzyska miała znaczenie, mury, ławki, kawiarnie były naznaczone wizytami wielkich twórców polskiej kultury. Do tego te silne, wyraziste charaktery. Pamiętam Edytę Sicińską, Austriaczkę z pochodzenia, przyjaciółkę Witkacego, tłumaczkę wybitnych dzieł literatury niemieckiej. A postać Janiny Garyckiej? Toż to w Piwnicy i w Krakowie „cichy pomnik"! Asystentka profesora Wyki, przyjaciółka Karola Wojtyły, malarka, która rzuciła uniwersytet i poszła w kabarety. Przez całe życia nie zapaliła papierosa ani nie wypiła kieliszka wódki. Oddała wszystko – talent, możliwości, mieszkanie – na służbę Piwnicy. Na czele oczywiście z Piotrem S.

Jak na cyganerię to faktycznie rzadki przypadek. Bo chyba na co dzień nie byliście tacy ascetyczni?

Oczywiście, że nie. Jak wszyscy artyści po akcji i my po Piwnicy potrzebowaliśmy jakiegoś odprężenia, pobycia z sobą, porozmawiania.

Wyczuwam duży eufemizm.

Ale tak to nazwijmy [śmiech]. Nie mieliśmy żadnego lokalu, nie było takich miejsc na swobodne spotkania, zostawała kuchnia na Groblach, w mieszkaniu Janiny i Piotra. Albo podejrzane ówczesne lokale, jeszcze dworzec. Oczywiście latało się po wódkę do meliny, szło się np. na ul. Wielopole i wiedziało, w które okienko trzeba stuknąć, żeby pojawiła się ręka z butelką, zresztą to też były lokale milicyjno-ubeckie. Skrzynecki był w tym zorientowany. Był taki okres, gdy trwał dłuższy remont kościoła Mariackiego, otoczonego rusztowaniem i ławami – tam siadaliśmy i toczyliśmy dyskusje do samego rana. O tej porze Kraków wyglądał szczególnie poetycko, surrealistycznie. Trwały nocne eskapady rozmaitej hałastry, wiadomych pań i rozmaitej maści „rycerzy nocy". A nawet już i wtedy ośmielonych transwestytów, którzy wychodzili na swoje nieszczęsne polowania. I oto pośród tego towarzystwa czasem naszym oczom ukazywał się Jan Kaczara, zaczarowany dorożkarz Gałczyńskiego, albo ksiądz Józef Tischner. Nie wiem, skąd wracał. Rozpoczynały się dysputy pośród tych rusztowań. Nie przerywając tych roztrząsań, odprowadzaliśmy go do domu, na św. Marka. Światło albo i dzień już był dobry. Trzeba się było poddać jakiejś normalizacji. „Ten szczęsny czas"...

> Każdy szczegół twórczości, ale i codzienności Kantor miał przemyślany. Skrzynecki i Dymny nabijali się z tego. „Kantora do wora!" – wykrzykiwał w monologu „Zbiór bzdur" Dymny

Czy to pewna beztroska sprawiła, że taki jest tytuł twojej książki o Piwnicy pod Baranami?

To pierwsze, ta piosenka: „Ta nasza młodość, ten szczęsny czas...". Ale też tamten okres był „szczęsny" jeszcze z innego powodu. Wielu rzeczy jeszcze się nie wiedziało. Odsłoniły się dopiero później.

Jakich rzeczy?

Kto jest koniunkturalistą, kto współpracuje z reżimem czy nawet uprawia donosicielstwo. To wszystko wyszło dopiero potem, w stanie wojennym, przy tańcowaniach z karabinami w Kołobrzegu, usługach wobec władzy. Powtórzę za Szymborską: „Tak lekko było o tym nie wiedzieć".

Czy po bliko 60 latach twórczości korci cię podsumowanie swojej spuścizny, życia?

Pytasz o starość [śmiech]. Ja już w młodości byłem dramatycznie stary.

eprasa.pl fe81096850



Fot. Andrzej Kobos

nie rzucają. I tak oto w pogrzebie miejskim, czyli zaklikowskim, była stosowna parada: najpierw szły chorągwie i krzyż, potem oddział wieńców, zasług, potem się niosło trumnę nieboszczyka na ramionach, potem szły podtrzymywane wdowy, dzieci, rodzina, a potem reszta miejscowości. Ludzie ze wsi odprawiali to inaczej – najpierw spieszył chłopak z krzyżem, potem na wyprzódki zawodzący kościelny z księdzem i dalej reszta publiczności deptała sobie po piętach, za nimi – zaś na końcu niesiono porzuconego już nieboszczyka. Jakby był tylko dodatkiem do ceremonii.

Jak się tego słucha, to od razu człowiek sobie wyobraża, która wersja przypadnie na jego pogrzeb.

Nie ma co rozpaczać, ale... trzeba się zwijać. Może jeszcze nie tyle z tego świata, ile ze swoją tak rozległą kiedyś aktywnością. Ostatnio, przy problemach zdrowotnych, poczułem jakby z góry napomnienie od mojej największej nauczycielki, Anny Nagórskiej. „Pospiesz się, trzeba by jeszcze – wiesz z czym – zdążyć". Opowiadałem o niej wielokrotnie, miałem wielkie szczęście, że w dzieciństwie zajęła się mną ta zamożna kiedyś w młodości, wykształcona na Sorbonie, Europejka. Utalentowana, wszechstronna i odważnie mądra, która pod koniec życia prowadziła ascetyczne i głęboko religijne życie. Biskup Ignacy Tokarczuk powiedział o niej, że jest oczywistą kandydatką na ołtarze. Chciałbym podsumować moje pamiętanie, wiedzę o niej, uporządkować materiały i wydać książkę, opowieść opisującą jej nadzwyczajny los i jej wybory. I moje kształtowanie się obok niej. I dzięki niej.

Jak to?

Przez wpływ otoczenia. Od dziecka w większości otaczali mnie starzy ludzie. Obserwowałem ich drastycznie blisko. Oswajałem się ze starością. „Starzy siedzą w starym parku/ Czytają stare gazety/ Mają jeszcze po zegarku"... – napisałem w młodości w piosence wierszu. Teraz, gdy biologia sama mi mówi o podeszłym wieku – przecież widzę zmięcie i zużycie materii, uszczuplenie energii – uśmiecham się: może skoro starość przerobiłem w młodych latach, to teraz żyję z większą świeżością spojrzenia? Już jako dziecko mieszkałem blisko cmentarza. Z upodobaniem stałem się ekspertem cmentarnym i nawet z daleka, po rodzaju śpiewu, rozróżniałem, czy pogrzeb jest bogaty czy chudy, wiejski czy miejski (zaklikowski), czy rodziny, a wdowy rozpaczają prawdziwie czy fałszywie.

Jako dziecko mieszkałem blisko cmentarza. Z upodobaniem stałem się ekspertem cmentarnym i nawet z daleka rozróżniałem, czy pogrzeb jest bogaty czy chudy, czy wiejski czy miejski, czy wdowy rozpaczają prawdziwie czy fałszywie

Pewnie na tym twoja aktywność się nie zakończy. Co byś powiedział młodym poetom, którzy zaczynają tworzyć?

Nie wstydź się, ale pilnuj formy, dyscypliny. Skontroluj, z dystansem, ale nie kombinuj, nie rób tylko układanki słów, bo to są za małe powody. Staraj się poezją dotknąć czegoś autentycznego, jakiegoś bólu, radości nieokiełznanej, czegoś, co cię naprawdę porusza. Jest szansa, że poruszy i innych. To się w wierszach czuje, jak ktoś dobrą cenę płaci. Żywym towarem swego życia. Dotykiem swojej realnej rzeczywistości – wtedy wiersz ma szanse być cennym przekazem od jednego do drugiego człowieka. A jak się tylko układa słowa, choćby i z kunsztem, bardzo zręcznie, to wychodzi z tego pisanie na papierze. Mam wymienić nazwiska? Papier, nie więcej. Choćby to były i kunsztowne linijki. I w ów moment nagradzane. Czas to szybko zweryfikuje. Pozór i złudzenia rozwieje.

I po czym można to było rozpoznać?

Dziecinnie proste, jeszcze do szkoły nie chodziłem, a już się rozeznawałem w temacie. Jak tylko usłyszałem dzwon i śpiewy z kościoła, wybiegałem przed dom i potem na cmentarz. Obserwowałem, czy teatrum jest wystarczająco rzetelne, np. czy wdowy się rzucają na grób, czy się



eprasa.pl fe81096850



Ospa nad Odrą

W 1963 r. we Wrocławiu wybuchła epidemia ospy. Mimo że eksperci przewidywali tysiące zachorowań i setki zgonów, chorobę zwalczono w kilkadziesiąt dni



WOJCIECH LADA

W maju tamtego roku na lotnisku we Wrocławiu wylądował samolot z Indii. Pogoda była słoneczna, majowa właśnie. Pasażerowie wysiadający z samolotu mieli różne odcienie skóry – niektórzy Polacy wracali ze swoich zagranicznych placówek, nieliczni Hindusi przylecieli tu, by wdrażać technologie do polskich fabryk. Było też trochę zwyczajnych turystów, z ciekawością zapuszczających się za żelazną kurtynę, która zresztą powoli rdzewiała, skoro w marcu można było przedpremierowo usłyszeć na antenie Rozgłośni Harcerskiej wielki przebój The Beatles „Love Me Do". Wśród wysiadających znajdował się również Bonifacy Jedynak – podpułkownik służb specjalnych, który wracał z krótkiej misji skontrolowania polskich placówek dyplomatycznych w Indochinach. Nie był zadowolony. Lubił podróże, ale teraz cały właściwie czas spędził w pracy. Zdążył kupić na bazarze w Delhi kilka drobnych pamiątek i już trzeba było wracać. Nie wiedział jeszcze, że oprócz prezentów, wwozi do kraju coś, o czym nie miał pojęcia. Wirusa ospy.

MALARYCZNA POMYŁKA

Lekarze początkowo też nie wiedzieli, jaki „prezent" przywiózł. Ospa w czasach współczesnych praktycznie nie występowała w Polsce i miano o niej wiedzę jedynie podręcznikową. Dziesięć lat wcześniej zachorowało na nią 13 osób, a rok wcześniej w Gdańsku niespełna 30. Kiedy Jedynak po kilku dniach poczuł się źle – gorączkował, łamało go w kościach, a na skórze pojawiły się drobne wypryski – udał się do szpitala MSW przy ul. Ołbińskiej. Objawy potraktowano poważnie, ale ich nie rozpoznano. Ponieważ jednak badanie krwi ujawniło występowanie w niej pasożytniczego pierwotniaka zarodźca sierpowego (*Plasmodium falciparum*), założono, że podpułkownik zaraził się malarią tropikalną. Diagnozę tę potwierdził zresztą wkrótce profesor Wiktor Bincer z Zakładu Medycyny Tropikalnej w Gdańsku. Zastosowano odpowiednią terapię i po kilkunastu dniach Jedynak, zupełnie już zdrowy, opuścił szpital. Ani on, ani nikt z personelu nie miał pojęcia, że pozostawił tam zarazki, które zaledwie dwa tygodnie później zabiły pierwszą ofiarę epidemii – córkę salowej ze szpitala przy ul. Ołbińskiej, dwudziestokilkuletnią Lusię Kowalczyk.

Fot. fot. ze zbiorów AP we Wrocławiu

eprasa.pl fe81096850

Liczba pacjentów z dziwnymi wypryskami na skórze rosła, wciąż jednak nie wiedziano, co im dolega. Pierwszy rozpoznał chorobę 13 lipca dr Bogumił Arendzikowski z Miejskiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Po krótkim śledztwie, w którym szybko ustalił łańcuch rozprzestrzeniania się dziwnych objawów, w poniedziałek 15 lipca zameldował swojemu szefowi dr. Jerzemu Rodziewiczowi o początku epidemii ospy. Ten początkowo nie uwierzył. „Boguś, rozum ci się poplątał" – miał powiedzieć Arendzikowskiemu, tak opowiadał Jerzemu B. Kosowi, autorowi książki „Epitafium dla ospy". Pozostał jednak bezradny wobec oczywistych faktów. A były one przerażające.

Jak wyliczono, choroba roznosiła się swobodnie od 47 dni. Nikt nie miał pewności, czy nie przekroczyła już granic miasta, województwa, a nawet kraju. „Może zachorować około dwóch tysięcy osób, umrze ze dwieście, a jak uporacie się z epidemią w dwa lata, to będzie dobrze" – prognozowali wówczas eksperci Światowej Organizacji Zdrowia, którzy natychmiast pojawili się we Wrocławiu.

Początkowo nikt nie wiedział, co robić. Ospa nie występowała od tak dawna, że nie istniały żadne współczesne instrukcje na wypadek jej epidemii. Lekarze opowiadali Kosowi, że improwizowali poszczególne działania na bieżąco, ktoś wysyłał je do Warszawy, tam szybko podbijano odpowiednie pieczątki i zarządzenia wchodziły w życie. A były one radykalne. Nie zdecydowano się co prawda otoczyć miasta wojskiem, co pierwotnie postulowano, ale odcięto je od świata kordonem sanitarnym. Życie obywateli podporządkowano rygorom stanu wojennego. Zarządzono przymusowe kwarantanny, izolacje dla osób podejrzanych o kontakt z chorymi, a także bardzo surowe kary dla usiłujących się wymigać – nawet do 15 lat więzienia. 4,5 tys. zł kary musiała zapłacić osoba niemająca dokumentu szczepienia. To dużo. Jakieś trzy miesięczne pensje. Przy szpitalach, drogach wylotowych i w strategicznych punktach miasta roiło się, rzecz jasna, od uzbrojonej milicji.

NOCNE ARESZTOWANIA

Jeśli w mieście nie wybuchła panika, to zapewne właśnie z powodu milicji. W tamtych czasach bano się jej powszechnie i bez tego, a teraz do tego pierwotnego, atawistycznego wręcz strachu doszły opowieści o całych kordonach milicyjnych radiowozów, które wraz z karetkami, często w środku nocy, podjeżdżały pod ten czy inny dom, wyciągały ludzi z mieszkań i wywoziły nie wiadomo dokąd. Dlaczego w nocy? Nie wiadomo. Prawdopodobnie właśnie dlatego, by ukryć to przed oczami innych obywateli i nie wzbudzać lęku. Skutek był jednak dokładnie odwrotny i wieści o nocnych „aresztowaniach" obiegały miasto w tempie ekspresowym. Były też spektakularne akcje dzienne.

> Jak wyliczono, choroba roznosiła się swobodnie przez 47 dni. Nikt nie miał pewności, czy nie przekroczyła już granic miasta, województwa, a nawet kraju

„Pamiętam ospę. Miałam siedem lat. Wróciliśmy z wakacji z bodajże Kołobrzegu (tego nie pamiętam dokładnie), ale zaraz po wyjściu z pociągu wszyscy byli kierowani do punktu szczepień przed Dworcem Głównym. Inaczej nie można było wyjść. Wszyscy byli szczepieni" – wspominała anonimowa internautka.

Mnożyły się też egzotyczne plotki. Ospę miał przynieść miastu zagraniczny cyrk, bo tańcząca w nim na linie piękna dziewczyna wdała się w romans z jakimś agentem bezpieki i taką właśnie, niemal literacką drogą wirus miał się wedrzeć do Wrocławia.

Tak naprawdę życie toczyło się jednak niemal normalnie. Poza tym, że klamki powijane były bandażami, rozwieszono hasła, by nie witać się pocałunkiem czy podawaniem rąk, ale chodzono do pracy, wracano z niej i spędzano wieczory przed telewizorem. Odgórnie odwołano imprezy masowe – ale tych i tak było wówczas jak na lekarstwo – ludzie sami z siebie przestali się spotykać na zakrapianych partyjkach brydża czy mniej wyszukanych imprezach bez karcianych pretekstów. Było więc dość samotnie i smutno, ale do obrazków z powieści Alberta Camusa bardzo, bardzo daleko.

Sztab kryzysowy działał zresztą wyjątkowo sprawnie, mimo improwizowanego w pośpiechu charakteru tych działań. Zarówno warszawskie, jak i lokalne władze partyjne postąpiły zaskakująco mądrze, ustępując ze swoich przywilejów i przekazując całość zarządzania kryzysem w ręce lekarzy. A ci działali błyskawicznie. Nawet nie znając jeszcze personaliów pacjenta 0, łatwo ustalili listę osób mogących mieć kontakt z wirusem i to właśnie ich dotyczyły owe nocne „aresztowania".

Ale nawet one nie wyglądały niepokojąco. Być może z uwagi na cywilny zarząd walki z epidemią, ekipy wykazywały wiele czysto ludzkiej empatii. W mieszkaniach osób wysyłanych do izolatorów organizowano opiekę nad dziećmi czy spacery z psem, dokładnie zabezpieczano też dobytek.

Kłopot tylko w tym, że osoby odwożone do izolatoriów nie miały pojęcia, dlaczego są w nich zamykane i już choćby dlatego w instytucjach tych życie wyglądało znacznie mroczniej niż w samym mieście. Zresztą słowo „instytucja" jest mocno przesadzone. Na izolatorium w Praczach Odrzańskich przemianowano po prostu budynek technikum rolniczego, w którym trwał wakacyjny remont. Ludzie, których tu przywożono, nie do końca zdawali sobie sprawę ze swojej sytuacji. Czy są aresztowani? Na jak długo? Co z rodzinami? I wreszcie najważniejsze – czy przeżyją? Bo jedynym, czego byli pewni, było to, że z całą pewnością są poważnie chorzy i przebywają w zainfekowanym otoczeniu. Nic też dziwnego, że wewnątrz wybuchały bunty, pacjenci odmawiali stosowania się do wskazówek lekarzy, a przede wszystkim dużo pili – choć nie do końca wiadomo, jakim sposobem zdobywali alkohol. Podobnie było w drugim izolatorium w Psim



eprasa.pl fe81096850

Polu, a także w szpitalu dla chorych na ospę w miejscowości Szczodre. Łącznie w ośrodkach tych przebywało blisko 1,5 tys. osób.

A z czasem było coraz gorzej. Zamknięci w pokojach ludzie wariowali z niepewności i nudy. Popadali w apatię – niektórzy godzinami leżeli i wpatrywali się w swoją skórę. Żadnej opieki psychologicznej nie mieli.

KOLĘDNICY Z CHLORAMINĄ

Prognozy opiewały na dwuletnią epidemię i ok. 200 ofiar śmiertelnych. W rzeczywistości wirusa pokonano w 25 dni, zachorowało 99 osób, z czego zmarło siedem. Z pewnością wielka w tym zasługa lekarzy ze sztabu kryzysowego – po pierwsze, w ich zdolności i intuicji, po drugie, w nadzwyczajnych uprawnieniach, jakie otrzymali. Dostępne dla nich było wszystko, a w dodatku bez pieniędzy. „Byłem jak car i Boh" – przyznawał w rozmowie z Wandą Dybalską dr Andrzej Ochlewski, biorący udział w pracach sztabu. Doktor dodawał, że jeśli czegokolwiek brakowało, nie było problemu, by wysłać helikopter do innego miasta i dowieźć towar. Jeśli zaś chodzi o drobniejsze potrzeby z samego Wrocławia, wystarczyło pójść do sklepu czy hurtowni, pobrać potrzebne rzeczy w dowolnej dostępnej ilości i wystawić kwitek do rozliczenia po epidemii.

Dzięki temu bez problemu wyposażano izolatoria i szpitale w komplety łóżek i pościeli, załatwiano wojskowe namioty dla personelu czy po prostu szpitalne ubrania. Nie było też żadnego problemu z transportem chorych – wrocławskie przedsiębiorstwa zostały zobowiązane do dostarczenia samochodów. Nawiasem mówiąc, nadzwyczajna władza lekarzy wynikała być może również z tego, że praca miejscowych komórek PZPR była wówczas mocno sparaliżowana – ponad połowa najwyższych urzędników wylądowała w izolatoriach. O tempie działań wiele mówi choćby to, że pierwsze 10 tys. szczepionek przyjechało z Warszawy tego samego dnia, w którym je zamówiono.

Uczono się zresztą szybko. Już 19 lipca chaotyczny początkowo sztab kryzysowy przemianowano na Radę





Fot. fot. ze zbiorów AP we Wrocławiu

Przeciwepidemiczną – rozbudowano i podzielono na wiele komórek odpowiedzialnych za poszczególne tereny walki z chorobą. Natychmiast rozpoczęto specjalne szkolenia dla lekarzy i personelu medycznego, wreszcie podjęto decyzję radykalną. Postanowiono mianowicie zaszczepić przeciwko ospie cały Wrocław. Dosłownie cały – szczepienia były przymusowe nawet dla osób, u których istniały poważne przeciwwskazania, jak np. kobiety w ciąży czy osoby przewlekle chore. Szacuje się, że w praktyce zaszczepiono 98 proc. mieszkańców miasta. Powołano też grupy i punkty dezynfekcyjne. Odkażano wszystko: od ludzi, przez pomieszczenia, skończywszy na przedmiotach często przechodzących z rąk do rąk, jak np. pieniądze. Ręce też odkażano – bandaże, którymi owinięte były klamki, nasączone były chloraminą.

Zarządzeniom wrocławianie oczywiście się poddawali, ale bez entuzjazmu. Ekipy lekarskie w specjalnych epidemiologicznych uniformach (podobno bardzo niedoskonałych) przez dolnośląską ulicę powszechnie nazywane były „kolędnikami" lub po prostu „pajacami".

A jednak nikt nie mógł zaprzeczyć, że efekty tych działań były widoczne gołym okiem. Jeśli jeszcze między 21 a 28 lipca zachorowało 40 osób i zmarły trzy, to w następnym tygodniu zachorowało 20, a zmarła jedna. Sytuację zaczęto uznawać za opanowaną i już na początku sierpnia rozpoczęła się likwidacja izolatoriów. 19 września wreszcie epidemię uznano za pokonaną i zniesiono wszystkie ograniczenia. Wrocław odetchnął.

I podobno zmienił się nie do poznania. „Ospa zwalczała epidemię biurokracji" – zanotował świadek wydarzeń, dziennikarz Andrzej Daleszak. Dodawał też, że od tego momentu przynajmniej przez pewien czas nawet lokalni działacze partyjni zachowywali się bardziej jak sumienni urzędnicy niż typowi aparatczycy.

A ospa? Przez kolejną dekadę przewalała się przez Europę, zarówno wschodnią, jak i zachodnią. Ostatnią epidemię odnotowano w Jugosławii w 1972 r. Osiem lat później Światowa Organizacja Zdrowia oficjalnie uznała ją za chorobę zwalczoną.

eprasa.pl fe81096850



*Z **Maciejem Radziwiłłem**, przedsiębiorcą, działaczem opozycji antykomunistycznej, organizatorem wystawy „Skarby Radziwiłłów" w Wilnie, rozmawiają Michał Karnowski i Andrzej Rafał Potocki*

Nazwisko zobowiązuje

Litwini twierdzą, że gdyby w XVIII w. nie nastąpiło osłabienie pozycji rodu Radziwiłłów, to nie straciliby niepodległości. Ich zdaniem kryzys tej rodziny spowodował kryzys i upadek państwa

Był pan pomysłodawcą i głównym realizatorem wystawy „Skarby Radziwiłłów" w odbudowanym Zamku Wielkich Książąt Litewskich w Wilnie. 350 eksponatów z siedmiu krajów i zbiory własne. Olśnił pan nią nie tylko Litwę, wcześniej także Białoruś. Jak narodziła się ta idea?

Maciej Radziwiłł: Kilka lat temu zrobiłem wystawę tylko mojej kolekcji – ok. 100 przedmiotów na Białorusi w Narodowym Muzeum Sztuki w Mińsku. Ta wystawa trafiła także do pałacu Paskiewiczów w Homlu. To dość specyficzne miejsce, bo należał on wcześniej do gen. Iwana Paskiewicza, zdobywcy Warszawy w 1831 r. Wystawa, choć dużo skromniejsza, cieszyła się niebywałym powodzeniem. Od dawna chciałem powtórzyć to w Wilnie w większym formacie. I to się udało. Na Litwie przez wiele lat panował dystans do okresu, kiedy Litwa była jednym państwem z Koroną. Teraz to się zmieniło i zainteresowanie tamtym czasem przeżywa renesans. Litewscy radykałowie patrzyli na ten okres od Unii do rozbiorów jak na mroczne wieki. Trochę tak jak my patrzymy na okres rozbiorów. Dla nich najważniejszy jest język, który elity litewskie porzuciły na rzecz języka starobiałoruskiego, a potem polskiego. Zachował się nawet taki list Mikołaja Czarnego Radziwiłła do jego syna Mikołaja zwanego Sierotką, w którym pisze po polsku „obyś naszej (litewskiej) mowy nie zapomniał".

Ma pan buławę ks. Janusza Radziwiłła, jeden z najcenniejszych eksponatów wystawy. Jak do pana trafiła?

Przez historyków Janusz Radziwiłł uważany jest za jednego ze zdolniejszych wodzów, a sama buława prawie na pewno była jego własnością. Gdy wymarła linia Janusza (birżańska), to majątek, a wraz z nim buława trafiły do linii nieświeskiej. W 1812 r. ówczesny ordynat nieświeski ks. Dominik jako poddany cara wstąpił do wojska

eprasa.pl fe81096850



fot. Andrzej Skwarczyński

Księstwa Warszawskiego, przekazał na armię bajońską wówczas sumę 216 tys. zł i objął dowództwo 8 pułku ułanów w stopniu pułkownika. Potem poszedł z Napoleonem na Moskwę, co oczywiście nie mogło być dobrze przyjęte na carskim dworze. Po wygranej Rosjan jego majątki zostały zrabowane przez żołnierzy rosyjskich, a buława trafiła do Petersburga. Pod koniec XIX w. ta stara linia nieświeska wymarła i Nieśwież został przejęty przez tzw. linię berlińską. Żona kolejnego ordynata Antoniego Wilhelma Radziwiłła, Francuzka Maria de Castellane, światowa dama, kosmopolitka znała wszystkich znaczących ludzi w Europie. Udała się więc do cara i poprosiła go o oddanie przedmiotów. Władca zwrócił kilkaset artefaktów, w tym właśnie tę buławę. Część tych zbiorów znajduje się w Fundacji Ciechanowieckich w Zamku Królewskim Warszawie, natomiast buława trafiła do ukochanego syna Marii de Castellane i Antoniego Wilhelma – Stanisława Wilhelma. Ów zachwycił się postacią Józefa Piłsudskiego, co było ewenementem, ponieważ Piłsudski uważany był wtedy za człowieka niebezpiecznego. Został jego adiutantem, a potem poprosił o przeniesienie do służby liniowej, poległ na polu chwały. Jego żona wyjechała do Francji, zabierając buławę ze sobą. A ja odkupiłem ją od jej wnuczki. Stosunkowo niedrogo, bowiem uważała, że miejsce buławy jest w Polsce. I tak trafiła na wystawę.

Zdaniem ambasador RP na Litwie Urszuli Doroszewskiej wystawa dokonała pewnego przełomu w naszych wzajemnych relacjach. Co pańskim zdaniem dała naszym dwóm narodom ta ekspozycja?

Uważam, że pani Urszula Doroszewska jest świetnym ambasadorem. Doskonale rozumie, że kluczem do głębokiego zbliżenia naszych narodów jest właśnie idea Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wystawa pokazuje właśnie tę wspólną historię obojga narodów, a nie dzieje etnicznej Litwy, na czym koncentrowano się przez długi czas. Na Białorusi z kolei serwuje alternatywną tradycję w stosunku do prawosławia.

Czy ze strony administracji litewskiej były jakieś opory związane z organizacją wystawy?

Nie było żadnych problemów. Rodzina Radziwiłłów Litwinom kojarzy się tak dobrze, jak w Polsce rodzina np. Sobieskich. Barbara Radziwiłłówna jest tam postacią popkulturową. Nowo wybrany prezydent objął wystawę patronatem i był na jej otwarciu. Miał bardzo dobre przemówienie świadczące o znajomości tematu. Litwini w dosyć szczególny sposób zwracają uwagę na XVIII w., twierdząc, że gdyby w tamtym czasie nie nastąpiło osłabienie pozycji rodu Radziwiłłów, to nie straciliby niepodległości. Ich zdaniem kryzys tej rodziny spowodował kryzys i upadek państwa. Trzeba powiedzieć, że na Litwie co trzeci kanclerz czy co trzeci hetman był z Radziwiłłów. Litwini odkrywają swoją historię, ale historia rodu Radziwiłłów nie jest tylko ich historią. To także historia Polski oraz innych krajów.

Które spośród 350 eksponatów pokazanych na wystawie są dla pana najważniejsze?

Najbardziej egzotyczny eksponat to kielich, wotum Mikołaja K. Radziwiłła zwanego Sierotką, który wyprawił się na brawurową pielgrzymkę w 1581 r. do Ziemi Świętej i Egiptu, kiedy nie wolno tam było w ogóle jeździć. Działo się to 14 lat po bitwie pod Lepanto, w której galeasy weneckie zniszczyły osmańskie galery i sułtan nie wpuszczał wtedy chrześcijan. Jednak Sierotka złożył wcześniej śluby, że tam dotrze i dostał zezwolenie od sułtana na wjazd. Odwiedził franciszkanów przy Grobie Pańskim, gdzie zostawił kielich. 440 lat tam spoczywa. Po powrocie złożył swój różaniec i pielgrzymi kij na Jasnej Górze. Dla mnie jednak najważniejsze są te, które znajdują się od kilku pokoleń w rodzinie. Wspomniana już buława księcia Janusza i Matka Boska Radziwiłłowska, ściślej mówiąc, Matka Boska Sobieskiego. Obraz znaleziony kilka dni po bitwie wiedeńskiej 1683 r. przez Stanisława Jabłonowskiego, hetmana wielkiego koronnego i dowódcę husarii we wszystkich ważnych bitwach Sobieskiego. Patrolował wtedy okolice obozu i znalazł obraz w zrujnowanym pałacu. Obraz Matki Boskiej z Loreto czczony wtedy może bardziej niż dziś. Ale nie byłoby w tym znalezisku nic specjalnego, gdyby nie dwie szarfy namalowane wzdłuż wizerunku Maryi. Na tych banderolach trzymanych przez anioły widniała inskrypcja: „In hac Imagine Mariae Victor ero Ioannes" oraz „In hac Imagine Mariae Vinces Ioannes" („W tym wizerunku zwyciężysz, Janie"). Ponieważ królewska rodzina Sobieskich od dawna żywiła szczególną cześć dla Matki Boskiej Loretańskiej, a sam Sobieski studiował w Padwie i odwiedził sanktuarium w Loreto, hetman Jabłonowski ofiarował znaleziony wizerunek Janowi III. Zostało to uznane za potwierdzenie tego, w co wierzył król, że bez pomocy boskiej nie dałoby rady. Król nie rozstawał się z tym obrazem i woził go na kolejne wyprawy wojenne. Potem umieścił go w ukochanej rezydencji w Żółkwi, niedaleko Lwowa. Następnie obraz trafił do jego syna, królewicza Jakuba, a potem do wnuczki, która była ostatnią z Sobieskich i bliską kuzynką Michała Radziwiłła, zwanego Rybeńką. W rodzinnej

eprasa.pl fe81096850

transakcji Rybeńko przejął zamek w Żółkwi. Otaczał go wielką opieką, ponieważ spuścizna Sobieskich była dla niego bardzo ważna i w 1740 r. przeniósł ten obraz do Nieświeża. Na tym obrazie jest inskrypcja królowej Marysieńki i Rybeńki, w której nakazuje modlić się Radziwiłłom przed tym obrazem i otaczać go opieką jako rodzinnym skarbem. 17 września 1939 r. w Nieświeżu NKWD aresztowało właścicieli. Później udało się ich uwolnić dzięki wstawiennictwu królowej Włoch. Obraz uratowała opiekunka synów ostatniego właściciela. Wiedziała, że jest on bardzo ważny dla rodziny. Po wojnie repatriowana do Polski, oddała go rodzinie i tak moja żona i ja jesteśmy już dziesiątym pokoleniem strażników tego obrazu.

Wystawa obejmowała okres do końca XIX w. Jak potoczyły się dalej losy rodu Radziwiłłów?

Dla Litwinów ten okres jest najważniejszy i najciekawszy. Historia rodziny jest dużo dłuższa. W XIX w. Radziwiłłowie byli wpływowi we wszystkich trzech zaborach. Ale chyba najbardziej w zaborze pruskim. Tuż po rozbiorach dynastia pruska chciała ocieplić swój wizerunek i doszło do małżeństwa bratanicy Fryderyka Wielkiego – Luizy Hohenzollern z Antonim Henrykiem Radziwiłłem, znanym kompozytorem. Radziwiłłowie się do tego świetnie nadawali, ponieważ już wcześniej trzy razy wchodzili w związki małżeńskie z Hohenzollernami i mieli majątki na terenie zaboru pruskiego. W Rzeszy ta rodzina odgrywała dużą rolę, cały czas zachowując polskość i wiarę katolicką. Pod koniec XIX w. linia związana z Prusami zaczęła ponownie wchodzić w związki małżeńskie z polskimi rodzinami i z Berlina przeniosła się na tereny dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Równolegle inne linie żyły na terenach zaborów rosyjskiego i austriackiego. Tam też doszło do takiego dynastycznego małżeństwa z rodziną Habsburgów.

A po odzyskaniu niepodległości?

Ważną rolę w uwolnieniu Piłsudskiego z twierdzy magdeburskiej odegrał Ferdynand Radziwiłł, który był 40 lat posłem do parlamentu niemieckiego. Z kolei jego syn, Janusz Franciszek, został dyrektorem Departamentu Stanu ds. Zagranicznych w rządzie Jana Kantego Steczkowskiego przy Radzie Regencyjnej. On też upomniał się o Komendanta i wytłumaczył niemieckim politykom, że tylko Piłsudski może stawić czoła bolszewikom. Na pewno nie zaszkodziło negocjacjom, że Janusz Franciszek był kuzynem cesarza Wilhelma II. Kilku Radziwiłłów brało udział w wojnie 1920 r. O jednym z nich, Stanisławie Wilhelmie, mówiliśmy już przy wspomnieniu historii buławy księcia Janusza. Służył w randze adiutanta Piłsudskiego. Jako wieloletni oficer armii rosyjskiej był bardzo przydatny, Armia Czerwona została bowiem zbudowana na podstawie carskiej. Poległ pod Malinem w kampanii kijowskiej. Natomiast drugi uczestnik wojny polsko-bolszewickiej Janusz Franciszek został posłem, a później senatorem z ramienia BBWR, którego był wiceprzewodniczącym. Kilku innych Radziwiłłów również zasłużyło się krajowi, np. Franciszek Pius, który został naczelnikiem Milicji Miejskiej w Warszawie, z której kadr powstała później Policja Państwowa. Krzysztof Radziwiłł, nazywany w PRL „czerwonym księciem", też był przedwojennym senatorem. Później przyszły II wojna światowa i komunizm. Rodzina została pozbawiona ciągle jeszcze bardzo dużych majątków. W latach 30. XX w. było to ok. 450–500 tys. ha. I tak po dużych stratach, bo te największe leżały na samej przedwojennej granicy z Sowietami. Np. ordynacja nieświeska w połowie była już za granicą. Radziwiłłowie nieświescy byli dziedzicami jednego z największych majątków Rzeczpospolitej – Białej Cerkwi Branickich. Ostatnia z tej linii Branickich została żoną Jerzego Radziwiłła. Dobra te liczyły 300–400 tys. ha. Z chwilą wybuchu II wojny światowej pozycja finansowa rodziny była wciąż dość mocna.

Jak rodzina patrzyła na komunizm? Mieliście poczucie czegoś przemijającego czy wiecznego?

Trzeba rozróżnić komunizm w latach 1917–1920, w latach 1939–1941 i komunizm po 1945 r. Inny też był po roku 1956. Te pierwsze dwa starcia z komunizmem były śmiertelnym zagrożeniem dla osób pochodzących z tego rodzaju rodzin. Ale już po 1945 r. to co innego, a zwłaszcza po 1956 r. Co prawda Janusz Franciszek Radziwiłł i cała jego rodzina zostali wywiezieni na dwa lata do Rosji w roku 1945, ale byli traktowani jak jeńcy wojenni. Cała grupa 16 osób z polskiej arystokracji na czele z Januszem Franciszkiem trafiła do obozu nr 27 niedaleko Krasnogorska pod Moskwą, gdzie byli osadzeni wyżsi oficerowie armii japońskiej i niemieckiej. W jednym baraku polscy arystokraci, a w drugim generałowie japońscy. W takich sytuacjach powstaje często swoista więź i Izabela Radziwiłłowa, która wówczas była już dorosłą osobą, jeszcze po latach korespondowała z jednym z tych Japończyków. A lata powojenne... Młode pokolenie zawsze stara się patrzeć do przodu. Starsze pokolenie znalazło się w nieco lepszej sytuacji. Wcześniej zdobyło świetne wykształcenie, znało po kilka języków obcych, co było wtedy bezcenne, np. moja babka znała pięć języków perfekt i była tłumaczem aż do końca swojego życia.

Czy komuś z rodziny przydarzyła się kolaboracja z reżimem?

Brat mojego dziada Krzysztof Radziwiłł, który był kontrowersyjną osobą jeszcze przed wojną, został aresztowany przez Niemców i trafił do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, a następnie do Mauthausen i Majdanka. Gdzieś „po drodze" poznał więźnia Józefa Cyrankiewicza, przyszłego premiera PRL. Po wojnie Krzysztof współpracował z władzami, był m.in. szefem protokołu dyplomatycznego oraz posłem z ramienia Stronnictwa Demokratycznego. Z powodu lewicowych przekonań politycznych zyskał właśnie przydomek „czerwony książę".

Co zostało z Radziwiłłów?

Rodzina mocno trzyma się razem. Podobnie cała arystokracja. Tak, jak wcześniej do arystokracji można było wejść przez politykę – np. Zamoyscy, to w XIX w. można się było jeszcze do-



eprasa.pl fe81096850



stać przez majątek i ożenek z przedstawicielką jednej z tych starych rodzin. Po 1945 r. zniknęły kryteria wejścia do tego klubu. A jednocześnie kiedyś wewnątrz tej grupy były ogromne zróżnicowania. Największe ordynacje Zamoyskich czy Radziwiłłów, liczące setki tysięcy hektarów, znajdowały się w rękach jednego człowieka. Z kolei mój dziad był już młodszy i miał tylko kilka tysięcy hektarów. To pokazuje, że wewnątrz jednej rodziny były ogromne zróżnicowania. Po wojnie zostali wszyscy przez komunę zrównani.

Jakie miało to konsekwencje?

To było bardzo ciekawe doświadczenie. Miałem to szczęście, że mieszkałem z moją babką, która była osobą bardzo towarzyską. Codziennie przychodzili do nas różni arystokraci. Często osoby urodzone w wieku XIX. Nie było widać, żeby mieli poczucie jakiejś krzywdy i żalu. Ciekawie rozmawiali, bo byli to ludzie świetnie wykształceni. Część z nich zwiedziła cały świat wcześniej. Dużo osób przyjeżdżało z zagranicy. Ten klub 10 rodzin plus jakieś 30 mniej znaczących, ale mocno skoligaconych, stanowi do dzisiaj środowisko. Uważam za swoich krewnych co najmniej ok. 2 tys. ludzi. Lubomirscy, Potoccy, Sapiehowie – każdy z nich jest moim kuzynem. Nieważne z trzeciego czy ósmego poziomu. Oczywiście ten klub trochę się rozpływa. Pokolenie starszych, które przed wojną trzymało więzi, odeszło...

Zasoby materialne odebrano, ale zasobu kulturowego nie.

Jakaś część rodziny pozostała na Zachodzie od czasów XIX w. Niewielka część pozostała na Zachodzie po wojnie. Stanisław Albrecht, syn ostatniego ordynata Janusza Franciszka, był osobą w miarę zamożną. Trochę takim dzisiejszym celebrytą. Został szwagrem prezydenta Johna Kennedy'ego. Jednak zasadnicza część rodziny pozostała w Polsce mimo nieprzyjaznych warunków i atmosfery. Studiowanie i robienie kariery w PRL z tym nazwiskiem było praktycznie niemożliwe. A jednak dzięki uporowi to się udało. To zadecydowało o tym, że ten zasób kulturowy w rodzinie przetrwał. Moja żona też pochodzi z rodziny Radziwiłłów, tylko z innej linii. Jej ojciec pięć razy starał się dostać na medycynę w Warszawie. W międzyczasie pracował jako pielęgniarz w szpitalu. Dowiedziała się o nim żona Jakuba Bermana, znana profesorka medycyny, i stwierdziła, że jeśli ktoś pracuje przez pięć lat jako pielęgniarz w szpitalu, to nie jest już wrogiem klasowym.

Teraz macie wojewodę i ministra.

No tak.

Zawsze był u was wojewoda wileński. Konstanty jest pierwszym mazowieckim.

Jeśli mówimy o ostatnich dokonaniach politycznych, to mieliśmy czterech ministrów, a dwójka była senatorami. Oczywiście senator czy wojewoda znaczą dziś mniej niż kiedyś.

Jaka jest recepta na dobre wychowanie?

Uczono nas, że nazwisko jest zobowiązaniem. Nosząc takie, traci się anonimowość. Kiedy wyczytywano moje nazwisko w szkole, to czytający zawsze podnosił na mnie wzrok. Siłą tej rodziny zawsze było to, że jeśli jakaś linia dochodziła do szczytu potęgi, a potem pogrążała się w kryzysie moralno-intelektualnym czy wymierała, to wchodziła linia mniej zamożna, ale dbająca o przestrzeganie wartości. Czasem wyprzedzali ją Pacowie czy Sapiehowie, ale Radziwiłłowie utrzymywali niezmiennie znaczenie. To jedyny taki przypadek wśród rodzin koronnych. Sądzę, że wszystko było kwestią wychowania, a nie bogactwa.

Kim byli pana najstarsi przodkowie?

Naszym najstarszym historycznym przodkiem jest Ostik, kasztelan wileński z czasów Jagiełły. Pochodzę od Mikołaja Czarnego, to jest połowa wieku XVI. Ordynacja była dość bezwzględna wobec młodszych synów. Zwykle najstarszy syn dostawał cały majątek, którego nie można było dzielić. Pochodzę od młodszego syna, którego ojciec był ordynatem nieświeskim. Moja część rodziny nazywa się linią szydłowiecką. Żona Mikołaja Czarnego Radziwiłła była córką Krzysztofa Odrowąża Szydłowieckiego. Pochodził z serca Korony i był drugim z kolei kanclerzem Królestwa i po nim potomkowie Mikołaja Czarnego odziedziczyli zamek w Szydłowcu. Tam, na terenie Sandomierszczyzny, moja część rodziny przetrwała do II wojny światowej. Mój dziad miał majątek pod Warszawą, nieopodal Zegrza. Moja część rodziny była uboższa niż nieświeska, ale też była najbardziej polską częścią rodziny. Choć w pewnym stopniu uważam się za obywatela Wielkiego Księstwa Litewskiego

Zawołanie Radziwiłłów to „Bóg nam radzi".

Ta dewiza to gra słów, ale też dowód braku skromności naszych przodków. Teraz jesteśmy takimi samymi ludźmi jak inni, ale musimy od siebie wymagać więcej.

eprasa.pl fe81096850



Gdzie jest złoty tron?

Wielkanoc roku 1000, Akwizgran – cesarz Otton III przekazuje Bolesławowi Chrobremu najcenniejszy obiekt cesarstwa, a być może całej Europy: złoty tron Karola Wielkiego. Gdzie dziś znajduje się bajeczny skarb? Wszystko wskazuje na to, że nadal może być ukryty w Polsce



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wpodzięce za relikwię – ramię św. Wojciecha, i w dowód swojej przyjaźni – cesarz wizjoner Otton III, który chciał zjednoczyć Europę wraz z Chrobrym, podarował Bolesławowi w słynnym roku 1000 włócznię św. Maurycego oraz złoty tron protoplasty europejskich władców Karola Wielkiego. Tak mogłaby się zaczynać średniowieczna legenda, lecz wydarzenia te zostały udokumentowane przez kronikarzy: włócznia o wielkiej mocy i szczerozłoty tron – oznaki potężnej władzy – trafiły jako dar do polskiego księcia.

Jak pisze Gall Anonim, podczas zjazdu gnieźnieńskiego Otton III stwierdził, że: „(...) nie godzi się takiego i tak wielkiego męża [Bolesława Chrobrego] księciem nazywać, lecz chlubnie wynieść go na tron królewski i uwieńczyć koroną". Następnie „(...) cesarz rzymski (...) zdjąwszy z głowy swej diadem cesarski, włożył go na głowę Bolesława na zadatek przymierza i przyjaźni i za chorągiew triumfalną dał mu w darze gwóźdź z Krzyża Pańskiego wraz z włócznią św. Maurycego, w zamian za co Bolesław ofiarował mu ramię św. Wojciecha".

Akwitański kronikarz Ademar z Chabannes dodaje jeszcze: „Solium ejus aureum imperator Oto direxit regi Botisclavo" – „Tron jego złoty cesarz Otto przekazał królowi Bolesławowi".

WIELKANOC ROKU 1000

Po zjeździe gnieźnieńskim Bolesław i Otton wyruszyli w drogę wraz ze swoimi ludźmi, wśród których było 300 pancernych polskich wojów – kolejny dar dla cesarza. Dar bardzo hojny, jak bowiem pisał jeszcze Ibrahim ibn Jakub o pancernych jeźdźcach Mieszka I,

eprasa.pl fe81096850

jeden z nich w bitwie wart był tyle, ile dziesięciu innych wojowników. 24 marca 1000 r., w Niedzielę Palmową, dotarli do Magdeburga. Dalej cesarz wyruszył do Akwizgranu (być może Bolesław nadal mu towarzyszył) i odnalazł w podziemiach tamtejszej katedry grób Karola Wielkiego. Wielki król pochowany był w pozycji siedzącej, na złotym tronie. Skromny cesarz Otton III z czcią obciął królewskie paznokcie, które przerosły przez rycerskie rękawice, i zachował je jak relikwię. Złoty tron natomiast zabrał ze sobą i przekazał Bolesławowi.

Niektórzy wątpią, by złoty tron trafił do Polski, wątpią, czy w ogóle istniał. Przeanalizujmy jednak rzeczy niewątpliwe: Karol Wielki, Otton III, Bolesław Chrobry, św. Wojciech i jego relikwie, zjazd gnieźnieński, koronacja Chrobrego – to wszystko jest prawdziwe – te osoby istniały, a wydarzenia się działy. Dlaczego jedynie złoty tron miałby być legendą? Włócznia św. Maurycego, symbol o mocy tak wielkiej, że zdolny był wynosić do godności królewskiej, tworzyć państwa i łamać moc wrogów, istniała rzeczywiście – i istnieje nadal, do dziś znajdujące się na Wawelu. Gdyby to włócznia św. Maurycego zaginęła, czy dziś także wątpilibyśmy w jej istnienie? Ocalała jednak, a moc cesarskiego daru okazała się potężna: choć Otton III tego nie doczekał, Chrobry istotnie został koronowany, a Polska stała się wielkim królestwem zdolnym przetrwać wieki. A przecież Polacy mogli podzielić losy innych ludów, którym nie było to dane. Skoro jednakże rzeczy tak niezwykłe stały się faktem, dlaczego mielibyśmy odrzucać realność złotego tronu i wątpić w jego istnienie?

Podane w początkach XI w. przez Ademara z Chabannes były chyba ostatnimi informacjami o złotym tronie. Na kolejne tysiąc lat zniknął, jakby zapadł się pod powierzchnią – ziemi lub wody. Brak informacji w tym wypadku to dobra informacja. Niezmierzone skarby naszych królów zniknęły bowiem na przestrzeni burzliwych dziejów Polski. Spośród nielicznych przedmiotów, które dotrwały do naszych czasów, znaczną grupę tworzą rzeczy, które przeleżały zapomniane w ziemi, unikając zrabowania, i odnalazły się dopiero w ostatnich dziesięcioleciach.

Na wawelskiej wystawie prezentującej skarby Piastów przy większości złotych koron, relikwiarzy i kielichów można przeczytać: „odkopany...", „przypadkowo wyorany w roku...", znaleziony pod posadzką..." – w większości w drugiej połowie XX w. – niemal tylko takie zagubione przedmioty przetrwały setki lat, kolejne najazdy, potopy i wojny. O ile wiadomo, nikt złotego tronu nie odnalazł, nikt nie chwalił się jego zrabowaniem – być może również spoczywa gdzieś, zapomniany i czekający na odkrycie, przy którym odnalezienie złotego pociągu czy Bursztynowej Komnaty byłoby niczym.

> Kazać się pochować na złotym tronie – jak przeszło 200 lat wcześniej Karol Wielki – byłoby to godne władcy takiego jak Bolesław Chrobry

Gdzie więc złoty tron Karola Wielkiego jest teraz?

ZATOPIONY W JEZIORZE?

Wysoko na liście miejsc, w których tron mógłby być ukryty, znajduje się jezioro Lednica. Lednica jest całkiem sporym jeziorem typu rynnowego, o powierzchni 3,5 km² i głębokości maksymalnej 15 m. Nad jego brzegami w obrazie „Zaprowadzenie chrześcijaństwa R.P. 965" Matejko umieścił scenę chrztu Mieszka I. Być może rzeczywiście chrzest Mieszka odbył się nad Lednicą. Na jeziorze znajduje się kilka wysp, w tym największa – Ostrów Lednicki. Wyspa była zamieszkana już setki lat przed chrztem Polski. W czasach Mieszka na wyspie znajdowała się najprawdopodobniej jedna z siedzib książęcych, znaleziono też pozostałości murowanych basenów chrzcielnych, które mogły zostać przygotowane na uroczystość chrztu księcia i jego dostojników.

Jeżeli tron był na wyspie, otaczające go jezioro wydaje się znakomitym miejscem, by go ukryć. Można było to zrobić nawet w ostatniej chwili, widząc nadciągające wojska Brzetysława, który plądrował Polskę w czasie, kiedy tron zaginął. Odnalezienie zatopionego skarbu natomiast przez osoby nieznające dokładnej lokalizacji byłoby w ówczesnych czasach bardzo trudne.

Oczywiście same poszukiwania nurkowe w jeziorze dzisiaj by nie wystarczyły, konieczne byłoby użycie specjalistycznego sprzętu do poszukiwań podwodnych, umożliwiającego również odnalezienie obiektów pokrytych grubą warstwą osadów dennych. Widoczność w polskich jeziorach nizinnych jest silnie ograniczona na skutek słabej przejrzystości, a żyzność wód skutkuje szybkim odkładaniem się mułu. Trzeba by też przeszukać cały obszar miejsce w miejsce, uwzględniając potencjalnie inny zasięg wód jeziora w początkach XI w.

Niedawno odkryto w Lednicy pozostałości mostu z czasów Mieszka I oraz Bolesława Chrobrego, łączącego brzeg jeziora z jedną z wysp. Wcześniej istnienie tego mostu (dwa inne zostały odnalezione wcześniej) było podawane w wątpliwość. Jeżeli wody jeziora przez tysiąc lat skutecznie skrywały most, czyż tym bardziej nie mógłby spoczywać w nich nieodnaleziony tron, obiekt nieporównywalnie mniejszy?

JEŚLI NIE JEZIORO

Prawdopodobnym miejscem ukrycia tronu ze złotego kruszcu może być Poznań, Gniezno lub niepozorny wielkopolski Giecz. Powiązanie złotego tronu z Poznaniem wydaje się kierunkiem wartym zbadania. To w Poznaniu we wczesnoromańskiej katedrze prawdopodobnie pochowani zostali Mieszko I oraz Bolesław Chrobry. Nie jest to pewne, poszukiwania są więc tym bardziej warte podjęcia. Odnalezienie miejsca pochówku dałoby nam bowiem prochy dwóch wielkich władców, a być może także tron. Kazać się pochować

eprasa.pl fe81096850

na złotym tronie, jak przeszło 200 lat wcześniej Karol Wielki – byłoby to godne władcy takiego jak Bolesław, tym bardziej że otrzymując tron od cesarza Ottona III, stał się spadkobiercą dziedzictwa Karola Wielkiego, miał więc do tronu i do takiej formy pochowania pełne prawa.

Oczywiście Gniezno, pierwsza stolica Polski, nie mogłoby być pominięte w poszukiwaniach. Na gnieźnieńskim Wzgórzu Lecha odkryto pozostałości jednych z najstarszych na terenie Polski zabudowań wzniesionych z kamienia. Datowanie wskazuje, że mogły one powstać za czasów Mieszka I.

Dlaczego jednak Giecz jest także miejscem wartym wzięcia pod uwagę? Dzisiaj Giecz to maleńka wioska na zachód od Poznania, zamieszkiwana przez ok. 140 osób. Stare zabudowania gospodarskie, zieloność pól, a wśród tego kamienny romański kościółek o grubych murach i klasycznej dla tego okresu sylwetce, spotykanej wówczas w całej Europie, od Wysp Brytyjskich, przez Francję, aż do Polski. Przed najazdem czeskim stała tam świątynia przedromańska. Ważna rola Giecza w średniowieczu skłoniła niektórych historyków do wysunięcia hipotezy, że to właśnie Giecz był rodowym gniazdem pierwszych Piastów. Ukrycie wielkiego skarbu w swojej siedzibie, z którą jest się związanym od pokoleń, byłoby całkiem logiczne. Historia Giecza, jeżeli stanie się w nim dzisiaj, wprawia w osłupienie, a jeżeli zda się sobie z niej sprawę, niemal chciałoby się zawołać: To tu!

Pierwsza osada powstała na miejscu dzisiejszego Giecza pod koniec VIII w., a więc za życia legendarnego Chościska, ojca Piasta Kołodzieja i dziada Ziemowita. W IX w. na półwyspie nieistniejącego dziś jeziora zbudowano tam gród, po którym do dziś pozostały imponujące wały. Gród ten był ważnym ośrodkiem militarnym pierwszych Piastów, a odnajdywana broń świadczy o licznej i dobrze uzbrojonej załodze.

TRON UKRYTY W PODZIEMIACH ZAGINIONEGO ZAMKU?

Możliwe, że tron jest ukryty w podziemiach jakiegoś zaginionego budynku – kościoła lub zamku. Czy budynek może zaginąć? Podam przykład, choć z innej części Polski, lecz dobrze ilustrujący tę hipotezę. We wschodniej części Małopolski znajduje się Wiślica, drugie najmniejsze miasto w Polsce, liczące 515 mieszkańców. Kiedyś Wiślica była jednym z najważniejszych centrów w tej części Europy, a na pewno w Polsce. To



Bolesław Chrobry

w Wiślicy znajdują się murowane pozostałości obiektu, który mógł być misą (basenem) chrzcielną, pochodzącą sprzed chrztu Mieszka I i Polski. Niektórzy wiążą ją z Legendą Panońską opisującą żywot św. Metodego, który według legendy miał pojawić się na ziemiach polskich już w IX w. W Wiślicy odbywały się ogólnopolskie zjazdy rycerstwa, powstawała poezja, kwitło życie kulturalne na wzór ośrodków prowansalskich, tam też król Kazimierz Wielki wydał słynne statuty wiślickie i tam Jan Długosz kształcił synów królewskich.

Otóż w Wiślicy wznosił się kiedyś, jak wskazują dawne dokumenty, zamek królewski, przypuszczalnie z czasów Łokietka. Na jego istnienie wskazują także częste wizyty kolejnych królów polskich w Wiślicy, rachunki za remonty pomieszczeń królewskich i za łaźnię z czasów Jadwigi i Jagiełły itp. Do dziś jednak nie odnaleziono ruin ani innych pozostałości zamku, nie udało się także ustalić, w którym miejscu się znajdował – być może na wyspie utworzonej przez rzekę Nidę.

Skoro w mrokach historii mógł zaginąć cały zamek, niejedyny zresztą, mógł też zaginąć zamek, w którym ukryto złoty tron Karola Wielkiego.

W grę wchodzą nie tylko budynki, których lokalizacja czy nawet istnienie zatarły się w pomroce dziejów. Kolejnym kandydatem na miejsce ukrycia tronu mógłby być Wawel, wciąż skrywający zagadki i historie – nie takie zresztą tylko, które miały miejsce tysiąc lat temu, jak historia złotego tronu, lecz znacznie, znacznie starsze, aż po najdawniejsze czasy, których nie sięga nawet pamięć ludzka.

Do Krakowa na Wawel przeniósł królewską siedzibę Kazimierz Odnowiciel, wnuk Bolesława Chrobrego. Miało to miejsce po spustoszeniu znacznej części Polski przez czeskiego Brzetysława. Krakowa najazd nie objął, był więc dobrym miejscem na stolicę. Czy Odnowiciel przewiózł złoty tron wraz z włócznią św. Maurycego do Krakowa i spoczywa on do dziś w podziemnej, wawelskiej komnacie? Żadne źródła nie wspominają o zrabowaniu tronu przez Czechów, a zapewne nie omieszkaliby się pochwalić takim łupem.

Interesujące, że połączenie złotego tronu i podziemnej komnaty występuje w różnych wersjach małopolskiej opowieści o śpiących rycerzach, czekających na znak, że są potrzebni Polsce. Królem z tej legendy bardzo często jest śpiący na tronie Bolesław Chrobry...

Baśń, legenda? Owszem, w dodatku bardzo piękna, zwłaszcza w wersji, w której rycerze śpią w tatrzańskiej grocie. Nie zapominajmy, że w legendach tkwi ziarno prawdy; czasem ziarno okazuje się całkiem spore, a opowieść potwierdza się co do joty – o Troi także mówiono, że jest mitem, dopóki Henryk Schliemann nie wziął treści eposu dosłownie i nie odnalazł nie tylko Troi, ale i śladów wojny – wszystko tak, jak w „bajce" Homera. Może więc w legendzie o śpiącym królu jest ziarno prawdy – duże złote ziarno?

Autopromocja

eprasa.pl fe81096850

GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE



TERAZ

WYBIERZ E-WYDANIE!

Pobierz aplikację na:

DOSTĘPNE W Google play

Dostępne w App Store

eprasa.pl fe81096850



To będą dziwne święta. Bez szaleństwa zakupów, ogromnych koszy na kółkach wywożonych z hipermarketów w Wielkim Tygodniu, bez Niedzieli Palmowej i śmigusa-dyngusa. Bez spacerów po lesie i bez święcenia jajek

Inaczej niż zawsze

Będziemy mniej gotować, mniej jeść, bo przecież zamiast rodzinnych wielkich imprez, całodziennego siedzenia przy stole i popuszczania pasa, spędzimy czas skromnie, tęskniąc za bliskimi i zjadając zapasy zgromadzone w kredensach, spiżarniach i garażach.

Wrócą do łask proste dania, te podstawowe, od których jakże często urządzaliśmy sobie wycieczki w stronę egzotyki. Narobiliśmy przecież tyle zapasów, że trzeba to wszystko jakoś sensownie wykorzystać. Wielkanoc to dobry pretekst, mimo wszystko. Ale zacznijmy od jajka.

JAJO I ZIEMNIAKI

Zawsze staram się je podać nie tylko tak, jak każe tradycja. Oczywiście nieraz się przekonałam, że i tak wszyscy najbardziej rzucają się na jajo z majonezem i szczypiorkiem, ale i tak niestrudzenie podsuwam rodzinie pod nosy inne pomysły. Na przykład posiekane z kremowym serkiem i podane z korzennymi helskimi anchovis na plastrach ziemniaków albo małych kromeczkach pumpernikla. Albo jaja nadziewane posiekanymi śledzikami z octowej zalewy z ogórkiem kiszonym. Albo, moje ulubione, z podpieczonymi pieczarkami, orzechami włoskimi lub pekanami i mnóstwem pietruszki (farsz oczywiście siekamy, ale z wyczuciem, żeby nie powstała brunatna papka). Do tego sos z twarogu, odrobiny majonezu z jogurtem i chrzanu.

W cudownej książce Alicji Rokickiej „Świętujemy!" znalazłam świetny przepis na meksykański ser z ziemniaka i marchewki. Trzy ładne kartofelki i jedną marchew trzeba ugotować w lekko osolonej wodzie i zmiksować z trzema łyżkami płatków drożdżowych (to jedna z przypraw, które zawsze warto mieć w kredensie, doskonała do wszelkich past warzywnych), odrobiną bulionu, podsmażoną lub granulowaną cebulką, oliwą i słodką papryką. Można dodawać inne ulubione przyprawy – paprykę wędzoną, curry. Zamiast marchewki możesz wziąć batata – też smakuje wyśmienicie.

MĄKA – NA ŻUR I CHLEB

Pierwsza fala zakupów w czasach zarazy. Gdy zobaczyłam na Facebooku zdjęcia pustych półek, na których do niedawna spokojnie stały niezliczone torebki z mnóstwem odmian mąki – nie uwierzyłam. Ale gdy podjechałam kilka dni później pod Makro i musiałam zawrócić, bo samochody nie mieściły się na parkingu, dotarło do mnie, że mamy stan wojenny. Fala się przetoczyła, a na nielicznych półkach zostały pojedyncze woreczki z ciemną mąką – głównie pełnoziarnistą żytnią. Czyli najbrzydszą, ale i najzdrowszą. Biorę. Idealna na zakwas, który po paru dniach będzie na tyle silny i bąbelkujący, że nie trzeba będzie biegać i szukać drożdży na własny chleb.

Kto troszczył się o zakwas, karmił go i trzymał w cieple – nie musi nawet iść do sklepu po butelkę ze smakiem na biały barszcz czy żur. Mam mój od trzech tygodni – część rozdałam, żeby i inni się pobawili, resztę pasę na święta – zawartość trzech litrowych słojów powinna wystarczyć na zupę, chleb i bułeczki. I jeszcze trochę zostanie do podkarmiania.



eprasa.pl fe81096850

Gdy mamy zakwas, wystarczy kilka wędzonych kości czy woda, w której gotowała się biała kiełbasa, czosnek, cebula, majeranek i pyszne jedzenie gotowe. Dla mnie ta akurat zupa zawsze była najważniejsza na świątecznym stole. Nie kusiły mnie szynki ani pasztety, ale żur z jajkiem, doprawiony porządnym tartym chrzanem świadczył o kunszcie pani domu. Bo tę prostą w sumie zupę trzeba dobrze dosmaczyć, kwas musi się równoważyć z ostrością chrzanu. Każdy, kto ją gotował, ma swoje sposoby i zaufanych dostawców zakwasu. Niezmiennie uważam, że taki domowy jest najsmaczniejszy.

Białą kiełbasę zwijam w węża w płaskim garnku (układam ją na plastrach cebuli, a okrywam jabłkiem, polewam oliwą z majerankiem i zapiekam).

Fot. Shutterstock

GROCH Z FASOLĄ – KREM I PRZEKĄSKI

Każdy wyniósł po parę kilogramów ze sklepu i trzyma w zapasach. I dobrze, bo to najzdrowsze białko, a także doskonała roślinna alternatywa dla mięsa. Jako świąteczne dania strączkowe nie są może specjalnie zachęcające, ale chyba nadszedł czas, by się nimi zabawić i zmienić im reputację.

Zupa z zielonego groszku jest absolutnie wybitna – delikatna, sycąca, słodkawa z lekkim akcentem chrzanu wasabi (można go kupić w proszku, w malutkich puszeczkach i doprawiać nim kremy czy sosy jak pieprzem). Najlepszy na nią jest groszek mrożony, bo zachowuje piękny kolor świeżej i soczystej zieleni. Gotuje się go krótko na parze, a potem zalewa warzywnym bulionem lub lekkim rosołem na indyczych szyjkach lub korpusach. Całość trzeba dokładnie zmiksować i dosmaczyć albo śmietaną, albo kremowym białym serkiem, albo mlekiem kokosowym. Można dodać trochę soku z cytryny. Podajemy z groszkiem ptysiowym, posypujemy wczesnowiosenną witaminową zieleniną – najlepiej rzeżuchą. Ja hoduję na parapecie szczypiory czosnkowe i cebulowe, a na tarasie pietruszkę, która zimuje bez problemu w donicy – też są dobre.

Z fasoli możemy zrobić doskonały smalec. Jasia trzeba pomoczyć, ze dwa razy zlewać wodę, a potem ugotować go w świeżej, lekko osolonej, zalać zimną i obrać ze skórek. Zmiksować, a potem dodać podsmażoną cebulę z majerankiem. Właściwie już teraz jest smaczny, ale można mu jeszcze domieszać mus z pieczonego jabłka. Pyszne smarowidło podajemy z bagietkami, dynią lub śliwką w occie albo, tradycyjnie, z plasterkami ogórka czy grzybkiem marynowanym. Rewelacja.

Jeśli kupiliście cieciorkę – polecam zakąskę z ostrymi przyprawami. Trzeba ją namoczyć przez pół doby, oczywiście wymieniać wodę, a potem ugotować al dente, osączoną wrzucić na patelnię z oliwą i obsmażać z czosnkiem, solą i masalą. Na koniec posypujemy skórką z pomarańczy lub cytryny. Podajemy w miseczkach jako starterek lub do sałaty. Uzależnia.

Kolorową przekąskę można zrobić także z fasoli Jaś – ale ta lepiej smakuje z solidną porcją majeranku. Mączny smak przełamujemy zakwaszoną czerwoną cebulką (talarki najpierw przelewamy wrzątkiem, a potem zalewamy kilka godzin sokiem cytrynowym). Mamy więc i nowy smak, i piękny kolor na stole! Ja do mojej sałatki fasolowej dodaję pokrojoną na cieniuteńkie paseczki kiszoną cytrynę własnej roboty. Smakuje wybornie.

KASZE I NASIONA – NA SAŁATY

Pęczak, bulgur, kuskus i rozmaite mieszanki staram się mieć w domu zawsze. Zanim zaczęłam robić kompulsywne zapasy, zabrałam się za wiosenne porządki (polecam wszystkim), przejrzałam szafki z zapasami i okazało się, że kilka opakowań jest na granicy przydatności do spożycia. Niech pod koniec zabłysną na świątecznym stole. A ponieważ przy okazji odnalazła się od dawna poszukiwana portugalska konserwa rybna – dorsz w oliwie z ziołami – pomysł na sałatkę miałam jak na tacy. Groszek, kukurydza, kasza bulgur, dużo czerwonej cebulki, trochę czosnku, drobno pokrojony ogórek lub kapary. Oliwy nie wylewamy – doprawiamy nią danie. Jeszcze tylko sól i pieprz i gotowe. Taką sałatkę można podać tradycyjnie, w salaterce, ale o niebo ciekawiej wygląda i smakuje, gdy nafaszerujemy nią połówki upieczonych w folii ziemniaków. Jest to bardzo zdradliwe danie, bo wygląda niewinnie, a jest niesamowicie pożywne. Tym, którzy są na bakier z wołowiną, wieprzowiną czy wszelką ptasiną – takie danie idealnie zastąpi mięso.

Z kolei różne mieszanki kasz z warzywami doskonale smakują jako dodatek do sałat. Pięknie wyglądają w wielkich przezroczystych salaterkach ułożone warstwami z zielonymi liśćmi rukoli, roszponki czy młodego szpinaku baby, posypane pokruszonymi serami – fetą, szopskim albo delikatnym pleśniowym lazurem. Do tego leciutki sos cytrynowy i natka kolendry. Na wierzchu ćwiartki jajka i chrupiące grzaneczki z bułki.

SŁODYCZ KRÓWKI I TWAROŻKU

Na Wielkanoc musi być coś słodkiego. Tradycyjnie pascha, ale to deser ciężki i tuczący. Słodki twarożek z owocami na kruchym spodzie będzie znacznie lżejszym finiszem, zwłaszcza że nie spalimy tego wszystkiego na spacerze w lesie.

Kruchy spód to łatwe ciasto: czubatą szklankę mąki trzeba przesiać, dodać 3/4 kostki pokrojonego zimnego masła, 2 żółtka, niepełną szklankę cukru pudru, szczyptę soli. Zagniatamy jak najszybciej i wkładamy na godzinę do lodówki. Potem równie szybko wałkujemy i wyklejamy ciastem nasmarowaną formę do tarty. Dziurkujemy widelcem, przykrywamy pergaminem i obciążamy (mam specjalne kamyki znad morza), żeby placek w pieczeniu nie pofalował. Po 20 minutach zdejmij obciążenie i pergamin i dopiecz ciasto. Gdy wystygnie, wyłóż twarożek, jabłka, kiwi, morele z syropu, wiśnie – co tam masz w słoikach.

U mnie wszyscy też lubią pischinger. Andruty trzymam zawsze w szafce. Ten przekładaniec zrobi nawet dziecko. Kajmak mamy z krówek albo ze słoja, ale w tym roku może pobawię się w gotowanie mleka z cukrem. Jeszcze tylko polewa czekoladowa i napis z migdałów – wesołych świąt!

Anna Monicka

eprasa.pl fe81096850

Adamski



Taksówkarz w koloratce

„Pierwszy reformowany” rok temu dostał nominację do Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny. To zaskakujące, bo wielu krytyków europejskich film Paula Schradera niemiłosiernie chlastało swoim piórem. To jeden z powodów, dla których ten szalenie ciekawy film nigdy nie trafił u nas na ekrany kin. Pojawił się dopiero teraz na Netflixie. Warto spojrzeć na ten film w zestawieniu z „Milczeniem” Martina Scorsesego z 2016 r., który był jego powrotem po wielu latach do kina religijnego. Paul Schrader swoje największe dzieła stworzył właśnie ze Scorsesem. Obaj wykreowali niepodrabialny duet rozdartego duchowo i buntującego się katolika oraz walczącego z purytanizmem kalwinisty. Obaj głęboko wierzą w Boga i obaj żarliwie walczą z kajdanami religijnymi. To Schrader napisał scenariusz do apokryficznego „Ostatniego kuszenia Chrystusa”. „Taksówkarz” i „Ciemna strona miasta”, które napisał dla Scorsesego, to natomiast dwa traktaty o karze za grzechy i szukaniu zbawienia na ulicach nędzy nowojorskiej metropolii. Również ich „Wściekłego byka” można odczytywać jako kino o odkupieniu.

„Pierwszy reformowany” to film o kryzysie wiary dotykającym zachodnie społeczeństwa. Kryzys widzimy przez pryzmat historii protestanckiego kapłana zmagającego się z powołaniem i własną przeszłością. Proboszcz John Toller (Ethan Hawke) stracił w Iraku syna. Obwinia się za to, że pozwolił, by jego dziecko zgodnie z rodzinną tradycją pojechało na front. Przez to rozpadło się jego małżeństwo. Jego wiara jest wystawiana na liczne wątpliwości. A przecież musi pomagać wiernym. Jak to robić, samemu ciągle upadając? John poznaje parafiankę Mary (Amanda Seyfried), której mąż (Philip Ettinger) jest fanatycznym i radykalnym działaczem ekologicznym, który namawia żonę do abortowania ich dziecka. Wszystko dlatego, że niszczony przez człowieka świat nie ma przyszłości. „On chce zabić nasze dziecko. Gdybym tylko umiała się modlić” – mówi do pastora kobieta. Jak może jej pomóc duchowny, który oprócz kryzysu wiary doświadcza również poważnej choroby? Schrader powołuje się na „Dziennik wiejskiego proboszcza” Bressona. Jego bohater też pisze pamiętnik. Pojawiają się nawiązania do „Ofiarowania” i „Solaris” Tarkowskiego, a stylistyka ociera się o poetycko-teologiczne traktaty Terence’a Malicka.

Schrader nakręcił radykalną i brutalną teologiczną dysputę o gwałceniu przez człowieka boskiego daru, czyli naszej planety. Pastor niczym Travis z „Taksówkarza” ma być ręką gniewnego Boga. Ma ukarać grzeszników za mordowanie boskiego stworzenia, jakim jest przyroda i nasza planeta. Ofiarą nie ma być nienarodzone dziecko, jak chciał oderwany od chrześcijaństwa radykalny ekolog. Ofiara ma być znacznie większa. Travis zmywał brud z ulic nowojorskiej Sodomy i Gomory pistoletem. Dla Johna cały świat zasługuje na karę, skoro do śmierci planety przykłada się każdy rozwinięty kraj. Ofiara musi więc być symboliczna. Jeden i drugi walczy z zanieczyszczeniem. Travis bronił prostytuujące się dziecko przed alfonsami. Pastor chce oczyścić ziemię z brudu jej gwałcicieli. Schrader zastanawia się jednak, czy zmiany klimatyczne nie są również częścią bożego planu dla ziemi. Może właśnie zbliża się apokalipsa i jej częścią jest ludzka autodestrukcja? Zabijanie ziemi jest przecież zabijaniem życia. Zabijaniem samego siebie. Czyż nie przed tym przestrzega dziś Franciszek, mocno stawiający ekologię w centrum swojego nauczania? Bez wątpienia łączy to kalwinistę Schradera z przesłaniem papieża.



„Pierwszy reformowany” jest zdecydowaną krytyką amerykańskich pastorów mających sojusz z wielkim biznesem. Nie jest to film otwarcie antytrumpowski. Jest jednak wymierzony w politykę, którą Trump uosabia. Nie mamy jednak do czynienia z paszkwilem antykapitalistyczym w duchu Michaela Moore’a. To zupełnie inny poziom rozważań. Owszem, mamy tutaj pazernych przedstawicieli wielkiego biznesu, poświęcających dobro planety dla własnych korzyści. Czy dlatego „Pierwszy reformowany” dostał nominacje do Oscara? Bo jest postępowy ekologicznie?

Schrader jest radykalny. Jest drażniący i rozdziera wiele ran. Kino religijne powinno takie być. Gorące, a nie letnie. Kontrowersyjne i intrygujące. Wzbudzające żywe debaty. Nie potrzebujemy dziś w kinie katechez umacniających wiarę. Potrzebujemy dzieł pobudzających serca i umysły ludzi dalekich od wiary. „Pierwszy reformowany” jest takim właśnie filmem. To ciekawe filmowe rozważanie teologiczne na czas Wielkiego Tygodnia.

VoD

„PIERWSZY REFORMOWANY” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE



Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl fe81096850

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Uniwersalna przypowieść

Andrew Hyatt proponuje nam zupełnie inny rodzaj religijnego kina. Nawiązuje do „sandałowego kina" lat 50. XX w., reaktywowanego przez Mela Gibsona w „Pasji". Nie jest jednak „Paweł. Apostoł Chrystusa" odważnym, eklektycznym stylistycznie spojrzeniem na mękę Chrystusa w duchu Gibsona. Jest to natomiast uniwersalna opowieść o istocie chrześcijaństwa. Bez zbędnego patosu i ckliwości.

Jest to dzieło hagiograficzne i ma na celu ewangelizować widza. Nie ma w tym nic złego, zwłaszcza że Hyatt stara się to robić, choć nie zawsze mu się udaje), w sposób dosyć subtelny. Podobnie jak w „Zmartwychwstałym" Kevina Reynoldsa, twórcom udało się zebrać świetną obsadę na czele z Jimem Caviezelem w roli św. Łukasza, Jamesem Faulknerem jako św. Pawłem i Olivierem Martinezem (rzymski legionista). To ich ciekawie i konsekwentnie zbudowane role stanowią największą siłę filmu. Do tego dochodzi przejmująca, wpisująca się w motywy z biblijnego kina muzyka zdobywcy Oscara Jana A.P. Kaczmarka.

Może być zaskakujące, że Caviezel, który przeszedł do historii kina najbardziej wyrazistą rolą Jezusa w „Pasji", teraz wcielił się w ewangelistę. Znakomity hollywoodzki aktor nie ukrywa jednak, że po nawróceniu traktuje swój zawód jako misję. Mówił o tym w wywiadzie, który miałem przyjemność z nim przeprowadzić dwa lata temu dla tygodnika „Sieci". Ciekawostką jest, że to właśnie wizyta w Polsce pchnęła go do zagrania św. Łukasza. Decyzję podjął po poznaniu historii św. Maksymiliana Kolbego.

„Paweł, apostoł Chrystusa" opowiada o ostatnich latach życia Szawła z Tarsu. Oskarżony wraz z innymi chrześcijanami przez Nerona o podpalenie Rzymu, więziony, torturowany i ostatecznie ścięty Paweł symbolizuje męczeństwo nie tylko o. Kolbego w niemieckim obozie, ale wszystkich chrześcijan, którzy przecież wciąż są najbardziej prześladowanymi ludźmi na świecie. Debatująca



nad ucieczką z Rzymu wspólnota chrześcijan przypomina dzisiejszych wyznawców Chrystusa z Bliskiego Wschodu, chroniących się każdego dnia przed maczetami islamistów. Nie jest to tylko opowieść o prześladowaniu, ale również inspirująca katecheza traktująca o istocie nauk Jezusa. Pierwsi chrześcijanie zmienili oblicze świata nie ogniem i mieczem, ale świadectwem wiary. Nadstawianiem drugiego policzka, oddawaniem życia za Chrystusa i nieznanym w tamtym czasie miłosierdziem wobec najsłabszych i odtrąconych. Nie było to łatwe. Widząc palonych żywcem braci w wierze, rzucanych na pożarcie lwów chrześcijan (łącznie z dziećmi i kobietami), nawet Łukasz ma wątpliwości, czy nadstawianie drugiego policzka jest odpowiednim wyjściem.

Św. Paweł nawet przez katolickich modernistów jest traktowany z rezerwą i niechęcią. Przeciwstawia się go samemu Jezusowi, robiąc odpowiedzialnym za rzekomo surową dogmatykę Kościoła katolickiego. To nonsens i ideologizacja wiary. Wyrazem tego trendu jest m.in. film „Ostatnie kuszenie Chrystusa", gdzie Paweł pokazany jest jako nawiedzony manipulator, tworzący cynicznie mitologię zmartwychwstałego Jezusa. U Hyatta to właśnie Paweł mówi, że bez zmartwychwstania chrześcijaństwo nie ma żadnego sensu. Pierwsi chrześcijanie są ludźmi wątpiącymi, walczącymi z potrzebą zaparcia się siebie. Muszą odrzucić od siebie tak bardzo wpisaną w nasz krwiobieg pokusę zemsty na oprawcach. Muszą pogodzić się z losem zmieniających oblicze całej cywilizacji rewolucjonistów. To los owiec między wilkami. Przebiegłych jak węże, ale również wiecznie gotowych na poświęcenie życia za swojego mistrza.

Oni wiary poganom nie narzucają. Oni nią zarażają. Dzięki swojemu świadectwu. Dobrze, że Hyatt nie tworzy ograniej postaci nawróconego rzymianina, co widzieliśmy nie tylko w „Quo Vadis". Tutaj poganin nie przyjmuje do serca Chrystusa, mimo że jego bogowie go zawodzą, a ratunek odnajduje w działaniach prześladowanego wyznawcy Nazarejczyka. Czyż nie przypomina on współczesnych niedowiarków odtrącających chrześcijaństwo mimo udokumentowanych objawień i uzdrowień? Łukasz wykrzykuje w pewnym momencie, że świat jest już tak zły, że zabija noworodki choćby z najmniejszym stopniem niepełnosprawności. Trudno nie odczytywać tego w kontekście dzisiejszego koszmaru eugenicznej aborcji.

„Paweł, apostoł Chrystusa" udanie uwypukla, co stało za sukcesem pierwszych chrześcijan, uderzających w potęgę Rzymu słowem, a nie mieczem. Żarliwa wiara? Nie tylko. Grek Łukasz był przecież wykształconym lekarzem i jednocześnie wyznawcą religii rozsadzającej swoim przesłaniem cały ówczesny system wartości. Chrześcijaństwo u samego źródła nie było więc religią wyłącznie odrzuconych, biednych i prostych ludzi, ale też intelektualnych elit. Bez względu na status materialny i pozycję społeczną każdy chrześcijanin miał jedną powinność: pokazać, że tylko miłość bliźniego może odmienić świat. To zupełnie inny film niż „Pierwszy reformowany". Wybrałem te dwa filmy na okres świąt wielkanocnych, bo oba pokazują różne kierunki amerykańskiego kina religijnego. Który wybieracie?

„PAWEŁ. APOSTOŁ CHRYSTUSA"
DOSTĘPNY NA HBO GO

eprasa.pl fe81096850



Wszystkie ręce na pokład

Apeluję, by konsumenci i przedsiębiorcy wykazali się solidarnością i odpowiedzialnością – mówi ***Tomasz Chróstny***, prezes UOKiK, w rozmowie z Maciejem Wośko, redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej" i portalu wGospodarce.pl

Panie prezesie, Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów pod pana kierownictwem aktywnie zaangażował się w zwalczanie skutków kryzysu, z jakimi mamy do czynienia w związku z pandemią koronawirusa. Pańskie zdecydowane wypowiedzi o zwalczaniu nieuzasadnionych podwyżek cen artykułów pierwszej potrzeby i urzędowe ustalenie cen maksymalnych spotkało się jednak także z krytyką. Pojawiły się głosy, że przypomina to powrót do gospodarki centralnie planowanej i walki ze spekulacją – charakterystycznej dla epoki PRL. M.in. Witold Orłowski wyraził opinię, że jako ekonomista ma problem z odgórnym ustalaniem cen, choć rozumie taką potrzebę w dobie kryzysu, jednak nie wierzy, że UOKiK ma odpowiednie zasoby, by sprostać temu zadaniu. Jak pan skomentuje takie głosy?

Tomasz Chróstny: Przede wszystkim doceniam to, że prof. Orłowski podziela pogląd, że w obecnych warunkach i okolicznościach gospodarczych mechanizm zabezpieczający konsumentów przed wzrostem cen jest potrzebny. Wyjątkowa sytuacja wymaga wyjątkowych narzędzi, mityczna, niewidzialna ręka rynku w wielu krajach sięga zaś po widzialną rękę państwa. Nie możemy dopuścić do sytuacji, w której w ciągu kilku tygodni ceny podstawowych kategorii produktów wzrastają o kilkadziesiąt procent w warunkach, gdy nie brakuje ich po stronie podaży. Gospodarka i rynek bywają nieefektywne, wiemy to zarówno z ekonomii behawioralnej, jak i instytucjonalnej. Tak jak konkurencja wymaga ochrony, aby mechanizm rynkowy mógł działać sprawnie, zaś rywalizacja pomiędzy przedsiębiorstwami przebiegać uczciwie, tak konsumenci również – zwłaszcza w obecnych warunkach – powinni być w sposób szczególny chronieni. Epidemię próbują wykorzystać nieuczciwi przedsiębiorcy – w takich sytuacjach obowiązkiem UOKiK jest przeciwstawić się tego typu praktykom w ramach wszelkich, możliwych do zastosowania, narzędzi.

Zgodnie z zasadą „wszystkie ręce na pokład" zdecydowałem, aby pracownicy Inspekcji Handlowej monitorowali ceny w sklepach tradycyjnych, a pracownicy UOKiK w internecie. W tej chwili Urząd i wszystkie wojewódzkie inspektoraty Inspekcji Handlowej pracują na pełnych obrotach, ponieważ obecna sytuacja jest nadzwyczajna. Podczas epidemii konsumenci mają ograniczone możliwości wyboru najkorzystniejszej cenowo oferty. Potrzebujemy jednak dodatkowych mechanizmów przeciwdziałania tym negatywnym praktykom, dlatego zaproponowałem rozwiązania w zakresie maksymalnych cen i marż, które znalazły się w tarczy antykryzysowej. Za ich kontrolę oraz sankcje finansowe będą odpowiedzialne wskazane w specustawie instytucje. Minister właściwy do spraw gospodarki w porozumieniu z ministrem właściwym do spraw rolnictwa i rozwoju wsi będą mogli ustalać takie ceny dla niektórych produktów, praktyki rażącego i nieuzasadnionego gospodarczo podwyższania cen będą zaś zagrożone karą finansową w wysokości od 5 tys. zł do 5 mln zł od kontrolującej instytucji. Recydywa w praktyce będzie zagrożona dodat-

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl fe81096850

kową sankcją finansową nałożoną przez prezesa UOKiK w wysokości do 10 proc. rocznego obrotu przedsiębiorcy, same kontrole zaś będą prowadzone m.in. bez wcześniejszego informowania podmiotu.

Prace niemal wszystkich resortów nad pakietem przepisów tarczy antykryzysowej przynoszą już realne rozwiązania legislacyjne. Spoglądając jednak za naszą zachodnią granicę, widzimy, że Niemcy wprost mówią o ochronie niemieckich firm przed przejęciami przez „obcy kapitał". To łamie dotychczasowe paradygmaty wolnego rynku i wolnej konkurencji. Jak pan się odnosi do tych zmian w polityce rządów państw dotkniętych pandemią? Jak pan się odniesie do wniosku, że powinniśmy w pierwszej kolejności chronić i wspierać polskie przedsiębiorstwa?

Wiele obowiązujących dotychczas teorii, ale także praktyk działania w wyniku obecnego kryzysu będzie musiało ulec zmianie. Kapitał ma narodowość – to bez wątpienia jest coraz mocniej zauważalne. Przedsiębiorstwa należy wspierać i jest to niezbędne nie tylko dla uczciwej konkurencji, lecz również rozwoju gospodarczego kraju. Niezbędne są przy tym silne i sprawne instytucje, które czuwają nad mechanizmem gospodarczym i uczciwymi relacjami pomiędzy uczestnikami rynku. My również dostrzegamy potrzebę wzmocnienia naszej efektywności i zmiany procedur wewnętrznych, w tym w obszarze kontroli koncentracji oraz antymonopolowym. Pracujemy intensywnie, aby w okresie turbulencji gospodarczych zapewnić ochronę i konsumentów, i konkurencji.

Głośnym echem odbiła się także pańska propozycja wprowadzenia rocznych wakacji w spłatach wszystkich kredytów i pożyczek. Propozycję tę skrytykowała m.in. Agnieszka Wachnicka, prezes Fundacji Rozwoju Rynku Finansowego, zrzeszającej wiele firm pożyczkowych z sektora pozabankowego. Abstrahując od krytyki, nasuwa się pytanie, czy pana zdaniem kryzys, który wywoła koronawirus, będzie rzeczywiście aż tak dotkliwy, że konieczne są bardzo radykalne rozwiązania, takie jak właśnie propozycja rocznych wakacji od wszelkich spłat?

Podczas epidemii wiele przedsiębiorstw nie uzyskuje płatności za zrealizowane dostawy produktów lub wykonane usługi, część traci kontrakty bądź ma wstrzymaną ich realizację. Podobnie dochody konsumentów maleją, i to w krótkim czasie, co obecnie wynika przede wszystkim z wprowadzonych mechanizmów izolacji społecznej, mającej na celu ograniczenie zasięgu epidemii. Niebawem jednak wskutek spadku aktywności gospodarczej te konsekwencje koronawirusa będą jeszcze bardziej dotkliwe dla wszystkich uczestników rynku. Zdajemy sobie sprawę, że w tych niezwykle trudnych, bezprecedensowych warunkach, wiele osób może mieć kłopoty z płynnością finansową, a co za tym idzie – z regulowaniem zobowiązań finansowych, które zaciągali w zupełnie innej sytuacji ekonomicznej. Stąd wśród naszych propozycji mających na celu ochronę konsumentów znalazła się propozycja uregulowania prawnego wakacji kredytowych. Liczyliśmy się z sytuacją, w której – w toku konsultacji – ten okres może zostać skrócony do trzech czy sześciu miesięcy, uznano jednak, że wypracowany pod patronatem prezydenta RP Andrzeja Dudy mechanizm samoregulacji banków w zakresie wakacji kredytowych jest w obecnych warunkach wystarczający. Oczywiście monitorujemy propozycje różnych banków, podobnie zapisy aneksów przedstawianych klientom. Oferta banków i instytucji finansowych powinna być w mojej opinii bardzo prokonsumencka – tak aby te szczególnie ważne instytucje zaufania publicznego dowiodły swojej społecznej odpowiedzialności.

Kolejny projekt, z którym UOKiK dołączył w dyskusji na temat tarczy antykryzysowej, dotyczy maksymalnego ograniczenia pozaodsetkowych kosztów kredytów konsumenckich. Także ta propozycja spotkała się z nieprzychylnymi reakcjami sektora, który twierdzi, że jest już wystarczająco regulowany m.in. poprzez tzw. ustawę o kredycie konsumenckim. Pada też argument, że jeśli sektor pożyczkowy popadnie w kłopoty, w sytuacji kryzysowej wiele osób straci możliwość sprawnego podreperowania bieżącego budżetu.

Argument dotyczący szarej strefy, braku dostępu do produktów finansowych czy zwolnień w branży firm pożyczkowych pojawiał się w zawsze, gdy wysuwano propozycje dodatkowych mechanizmów regulacyjnych. Ten lobbing jest wielopoziomowy, obejmuje aktywność finansowanych fundacji i stowarzyszeń, ale także artykuły sponsorowane. Jak widać w ostatnich dwóch tygodniach, branża dysponuje sporymi środkami do walki z regulacjami wpływającymi na jej zyskowność. Ale potrzebne jest w tej branży lepsze zrozumienie sytuacji, w której wielu jej klientów znalazło się przecież nie ze swojej winy...

Przygotowując przepisy dotyczące obniżenia kosztów pozaodsetkowych, konsultowaliśmy skutki ekonomiczne z Komisją Nadzoru Finansowego i innymi instytucjami. Spadek zapotrzebowania na kredyty i pożyczki już teraz jest widoczny, a jest on skutkiem ograniczonego popytu konsumpcyjnego w związku z wprowadzonymi ograniczeniami, w tym w przemieszczaniu się i zgromadzeniach.

Dodatkowe regulacje prawne, które pojawiły się we wcześniejszych latach, w tym ograniczające wysokość ponoszonych przez konsumentów kosztów, nie tylko nie wstrzymały rozwoju sektora, lecz pozwoliły zwiększyć paletę oferowanych przez nie produktów. Obniżenie kosztów pozaodsetkowych, wynikających z pobieranych opłat i prowizji, zwiększa dostępność do tych produktów dla konsumentów, są one tańsze. W obecnych warunkach podstawowa przesłanka do ich wprowadzenia jest jednak inna. Jest nią wysokie ryzyko utraty płynności i wpadnięcia w pułapkę zadłużenia przez konsumentów. Nie możemy dopuścić do masowych upadłości konsumenckich oraz utraty majątków wskutek wysokich kosztów pozaodsetkowych od pożyczek. Obecnie pożyczając 1 tys. zł na 7 czy 15 dni, koszty pozaodsetkowe wynoszą często 250 zł – my proponujemy ich redukcję do 50 zł, w przypadku produktów powyżej

eprasa.pl fe81096850

30 dni ta redukcja będzie zaś proporcjonalnie mniejsza i wyniesie połowę względem obecnego ich poziomu. Nie chcemy odciąć Polaków od dostępu do pożyczek czy kredytów konsumenckich, a jedynie zmniejszyć ich koszty po to, aby nie stanowiły zagrożenia dla stabilności finansowej konsumentów. To rozwiązanie na trudne czasy, w których się obecnie znaleźliśmy. W naszej opinii jest ono bardzo potrzebne.

Zamknięcie sklepów stacjonarnych sprawia, że kwitnie handel w sieci, w którym tak negatywne zjawiska jak nieuzasadnione windowanie cen czy napędzanie popytu strachem przed pandemią stały się prawdziwą plagą. Próba zaradzenia tym zjawiskom oznacza kontrolę działań on-line – a to zadanie wyjątkowo trudne. Chwalił pan m.in. współpracę z Allegro, które zablokowało kilkadziesiąt tysięcy absurdalnych czy też nieuczciwych ofert na swojej platformie. Czy ten model współpracy z e-commerce będzie kontynuowany i rozszerzany? I czy Urząd dysponuje zasobami pozwalającymi skutecznie przeciwdziałać takim zjawiskom w sieci?

Rzeczywiście w ostatnim czasie dużym wyzwaniem jest dla nas blokowanie sprzedaży on-line produktów, które nie mają ani właściwości im przypisywanych, ani wartości, za którą nieuczciwy przedsiębiorca je oferuje. Chodzi głównie o oferty, które według opisów mają rzekomo chronić konsumentów przed koronawirusem, głównie środki ochrony indywidualnej, np. maseczki, żele, mydła do dezynfekcji, a także różne suplementy diety. Jesteśmy w tym zakresie w kontakcie z wieloma portalami i sklepami internetowymi. Dużym wsparciem było również dla nas rozporządzenie pana premiera Mateusza Morawieckiego, który nakazał wycofanie ze sprzedaży niektórych kategorii produktów z najpopularniejszych platform sprzedażowych. Ofert wprowadzających konsumentów w błąd jest jednak w dalszym ciągu bardzo dużo na innych portalach, także mających na celu wyłudzenie pieniędzy. Niestety oszuści próbują działać na wiele różnych sposobów, zachęcam zatem do dużej czujności i ostrożności.

> Wyjątkowa sytuacja wymaga wyjątkowych narzędzi, mityczna, niewidzialna ręka rynku w wielu krajach sięga zaś po widzialną rękę państwa. Nie możemy dopuścić do sytuacji, w której w ciągu kilku tygodni ceny podstawowych kategorii produktów potrafią wzrosnąć o kilkadziesiąt procent w warunkach, gdy nie brakuje ich po stronie podaży

Mimo epidemii UOKiK działa z pełną mocą, szukając sposobów na wsparcie konsumentów i ochronę firm, które zetknęły się z nieznanymi wcześniej wyzwaniami. Branża turystyczna, transportowa, tradycyjny handel – to dziedziny gospodarki, które „oberwały" już w pierwszych tygodniach epidemii. Jak widzi pan rolę UOKiK w kryzysowej sytuacji, w której znaleźli się zarówno konsumenci, jak i przedsiębiorcy – dostawcy dóbr i usług?

Obecna sytuacja jest niezawiniona ani przez przedsiębiorców, ani przez konsumentów. Zastała nas w okresie istotnych zmian rozpoczętych w lutym – moim celem jest zwiększenie skuteczności działań Urzędu, do czego niezbędna jest przebudowa całej organizacji. Epidemia koronawirusa niesie wiele dodatkowych wyzwań, dlatego pracy nam nie brakuje.

Jesteśmy zaangażowani w przygotowanie rozwiązań ograniczających gospodarcze skutki epidemii, w tym jako konsultant i łącznik pomiędzy rządem RP a Komisją Europejską. Od samego początku epidemii usuwamy oferty wprowadzające konsumentów w błąd. Wspólnie z podległą prezesowi UOKiK Inspekcją Handlową monitorujemy ceny i karzemy nieuczciwe praktyki sprzedawców w sklepach tradycyjnych i w internecie. Zaproponowaliśmy zmiany prawne właśnie po to, aby ochronić konsumentów przed wyzyskiem i nieuczciwymi praktykami. Zwiększamy także aktywność w przewadze kontraktowej w sektorze rolno-spożywczym. Wiele działań prowadzimy w sposób miękki, bez postępowań, aby poprzez wywieraną presję na nieuczciwych przedsiębiorców osiągnąć jak najszybciej pożądany efekt.

Konsumentom zaoferowaliśmy w szerszym zakresie możliwość skorzystania z bezpłatnych porad prawnych, na które jest w tej trudnej sytuacji ogromne zapotrzebowanie. Taką pomoc można uzyskać w indywidualnych sprawach, m.in. dzwoniąc na numer infolinii konsumenckiej 801 440 220 oraz 22 290 89 16, pisząc e-maila na adres porady@dlakonsumentow.pl, a także kontaktując się w sprawach transgranicznych z Europejskim Centrum Konsumenckim. Zachęcamy też do szukania odpowiedzi na trudne pytania związane z prawami konsumenta w czasie epidemii na stronie uokik.gov.pl/koronawirus, gdzie przygotowaliśmy swoiste kompendium wiedzy i odpowiedzi na najczęściej zgłaszane ze strony konsumentów wątpliwości.

Dlatego w tym trudnym czasie apeluję, aby obie strony zawartych umów – konsumenci i przedsiębiorcy – wykazywali się solidarnością i odpowiedzialnością. Starajmy się rozwiązywać spory polubownie, w drodze mediacji, korzystając z darmowego wsparcia prawnego dla konsumentów. Mam poczucie wielkiej odpowiedzialności za ochronę zarówno konkurencji, jak i konsumentów. Jesteśmy aktywni i nie zamierzamy zwalniać właśnie dlatego, aby te obowiązki należycie wypełnić.

eprasa.pl fe81096850

Wszystko o tarczy

Przygotowanie tarczy antykryzysowej wymagało ogromnego nakładu pracy rządu premiera Mateusza Morawieckiego. Wyzwań było bardzo wiele, a do najważniejszych należały presja czasu oraz wdrożenie mechanizmów, które sprawią, że przyjęte przez Sejm rozwiązania okażą się skuteczne



Tarcza wprowadza wiele nowych rozwiązań, z których będą mogli skorzystać przedsiębiorcy i dlatego bardzo ważnym warunkiem jej powodzenia w praktyce jest czytelna i łatwa w odbiorze informacja o zastosowanych środkach osłonowych i pomocowych. Równolegle więc z pracami nad nowymi rozwiązaniami legislacyjnymi toczyły się prace nad przygotowaniem poręcznego kompendium wiedzy o tarczy antykryzysowej, które byłoby dostępne dla przedsiębiorców już w dniu wejścia w życie antykryzysowych przepisów.

Już 1 kwietnia na stronie Polskiego Funduszu Rozwoju www.pfr.pl/tarcza pojawił się odnośnik do 172-stronicowego „Przewodnika antykryzysowego dla przedsiębiorców", w którym – mimo obszernej objętości – w sposób bardzo uporządkowany oraz czytelny zgromadzono i opisano wszystkie narzędzia wsparcia oraz sposoby na ich uzyskanie. Przewodnik został przygotowany w łatwym do ściągnięcia, także na urządzenia mobilne, formacie. Broszurę podzielono na cztery części, a w treść merytoryczną wprowadzają nas listy do przedsiębiorców premiera Mateusza Morawieckiego oraz prezesa zarządu PFR Pawła Borysa.

„Wystarczyło kilka tygodni, żeby cały świat mierzył się dziś z sytuacją bez precedensu w swojej historii gospodarczej i społecznej. (...) Koronawirus sięgnął jednocześnie po nasze bezpieczeństwo zdrowotne i ekonomiczne. Jednak ten kryzys minie. Może za kwartał, może za pół roku. I zapewne świat nie będzie taki, jaki był. Priorytetem dla nas wszystkich musi być dziś utrzymanie powiązań gospodarczych, ochrona miejsc pracy i późniejszy szybki powrót polskich firm na ścieżkę rozwoju" – napisał premier Mateusz Morawiecki.

„W tak trudnych warunkach jednego z największych w historii kryzysów gospodarczych oraz ścisłych restrykcji sanitarnych najważniejsze jest szybkie dostosowanie się do zmieniającego się otoczenia zarówno przez przedsiębiorstwa, jak i samorządy oraz pracowników. Ważne jest zarządzanie antykryzysowe. Niezbędne jest także wsparcie ze strony państwa i jego instytucji. Dzięki temu możemy solidarnie przejść przez ten kryzys, robiąc wszystko, co możliwe, by zapewnić kontynuację działalności firm oraz ochronę miejsc pracy" – dodał w swoim liście prezes zarządu PFR Paweł Borys.

W pierwszej części „Przewodnika antykryzysowego dla przedsiębiorców" znajdziemy to, co najbardziej interesuje zaniepokojonych rozwojem sytuacji przedsiębiorców, a więc wszystkie rozwiązania tarczy antykryzysowej. W drugiej części możemy się zapoznać z finansowaniem biznesu i doradztwem, jakie można uzyskać od podmiotów skupionych w Polskim Funduszu Rozwoju, a więc: Banku Gospodarstwa Krajowego, Agencji Rozwoju Przemysłu, Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych, w tym Faktoringu KUKE Finance, Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości oraz PFR Ventures.

Trzecia część zawiera praktyczne porady, jak prowadzić biznes w czasie obostrzeń koniecznych w czasach pandemii. Przygotowano m.in. odpowiedzi na pytania, jak zarządzać firmą, jak utrzymać miejsca pracy czy jak zagwarantować sobie łańcuchy dostaw. Czwarta część to lista źródeł i przydatnych linków, które bezpośrednio przekierują nas na strony podmiotów, które pomogą nam uzyskać potrzebne wsparcie bądź rozszerzoną informację.

Równolegle z udostępnieniem „Przewodnika antykryzysowego dla przedsiębiorców" uruchomiono stronę rządową www.gov.pl/tarczaantykryzysowa, na której także znalazły się wszystkie niezbędne informacje.

Tak szerokie, łatwo dostępne i czytelne opracowanie praktycznych sposobów na skorzystanie z rozwiązań antykryzysowych zebranych w tarczy daje nadzieję, że polscy przedsiębiorcy masowo z nich skorzystają i dla nikogo nie będzie problemem dotarcie do użytecznej informacji.

(BZ)

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 65/0320/F

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fe81096850



ARP na froncie walki z koronawirusem

W obliczu dramatu, jakim jest pandemia koronawirusa, Polacy potrafią okazać solidarność, podejmując skuteczne działania w najpilniejszych potrzebach. Zauważamy to codziennie w drobnych gestach sąsiedzkich, w lokalnych akcjach pomocy. Mamy także to szczęście, że polskie duże firmy, w tym spółki skarbu państwa, bez wahania włączyły się w pomoc na wielką skalę

Należy do nich Agencja Rozwoju Przemysłu, która finansuje wyposażenie placówek medycznych, włączyła się w produkcję pojemników na płyn dezynfekcyjny i kombinezonów ochronnych, a także wspiera firmy w tak trudnym dla biznesu czasie.

JEST WSPARCIE DLA SZPITALI

Na początku kwietnia Agencja Rozwoju Przemysłu zakupiła i sprowadziła z Chin środki ochrony osobistej warte 5,5 mln zł. 1 i 2 kwietnia na warszawskie Okęcie przyleciały trzy samoloty z ponad milionem masek i 100 tys. kombinezonów.

Oprócz tego ARP SA zakupiła 300 tys. profesjonalnych laboratoryjnych testów genetycznych do szpitali od wiodącego producenta z Korei Płd. Połowa z nich przyleciała do Polski 2 kwietnia, pozostałe przylecą w tym tygodniu. Testy te są przekazywane przez ARP do Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Warszawie, jednostki podległej Ministerstwu Zdrowia.

To kolejne transporty. Już pod koniec marca Agencja Rozwoju Przemysłu zakupiła i sprowadziła z Chin środki ochrony osobistej warte 5,2 mln zł. 1,7 mln maseczek, 40 640 kombinezonów, 10 tys. gogli i 416 500 rękawic trafiło do magazynu Poczty Polskiej w Łodzi, która przy współpracy z Ministerstwem Zdrowia przekazuje je do placówek medycznych. Kilka dni wcześniej zmagazynowano w tym miejscu transport 27 tys. fartuchów ze Szwecji oraz 5 tys. gogli ochronnych. Jednocześnie Fundacja ARP przekazała polskim szpitalom 3 mln zł na pomoc w przezwyciężaniu skutków epidemii koronawirusa. Pierwsze 2,256 mln zł trafiło do czterech szpitali z województw podlaskiego, lubuskiego i wielkopolskiego. Fundacja ARP zorganizowała również zbiórkę pieniędzy wśród 60 spółek należących do grupy kapitałowej ARP SA z przeznaczeniem na zakup środków ochrony sanitarnej dla szpitali, domów dziecka, domów seniora.

– Spółki skarbu państwa mają obowiązek realizować cele społeczne. Działania grupy kapitałowej ARP SA oraz naszej fundacji wspierają rząd premiera Mateusza Morawieckiego. ARP weźmie też aktywny udział w realizacji działań przewidzianych w ramach tarczy antykryzysowej – mówi Cezariusz Lesisz, prezes zarządu ARP SA.

RUSZYŁA PRODUKCJA

W nadzorze właścicielskim ARP znajduje się kilkadziesiąt spółek prowadzących różnorodną działalność gospodarczą.

Opakomet Kraków, producent opakowań z tworzyw sztucznych dla branży spożywczej, chemicznej, budowlanej i automotive, teraz pracuje 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, produkując pojemniki do płynu dezynfekcyjnego. Spółka przestawiła na ten cel wszystkie swoje moce produkcyjne. Dziennie z taśmy produkcyjnej schodzi 60 tys. pojemników, ale niedługo ta liczba osiągnie 100 tys. sztuk – dzięki pomocy żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej. Odbiorcą opakowań z tworzyw HDPE o pojemności 5, 1, i 0,6 litra jest przede wszystkim Orlen, ale także inne spółki skarbu państwa, takie jak Polfa Tarchomin czy podmioty grupy KGHM.

Z kolei Opakomet Łowicz, na co dzień produkujący opakowania aluminiowe, zajął się wytwarzaniem i pozyskiwaniem fizeliny potrzebnej do wyrobu kombinezonów ochronnych. Do użytku trafiła już pierwsza partia 6 tys. wyprodukowanych tutaj kombinezonów.

W walkę z koronawirusem włączył się także wrocławski Dozamel, który specjalizuje się m.in. w produkcji artykułów BHP. Ta spółka dostarcza rękawice i sprzęt ochrony do kilkunastu placówek zdrowia na Dolnym Śląsku.

POMOCNA DŁOŃ DLA BIZNESU

ARP bierze aktywny udział w realizacji działań przewidzianych w ramach tarczy antykryzysowej. Na ten cel Agencja otrzyma 1,7 mld zł. Środki te przeznaczone będą na wsparcie polskich firm, także tych najmniejszych. Wśród oferowanych produktów znajdą się: leasing operacyjny z 12-miesięczną karencją w spłacie i ponadnormatywnym okresem spłaty, pożyczka obrotowa finansująca wypłatę wynagrodzeń w sektorze MŚP oraz pożyczka obrotowa na finansowanie deficytu w kapitale obrotowym.

– Produkty finansowe oferowane przez Agencję Rozwoju Przemysłu pozwolą przedsiębiorstwom na przetrwanie trudnego okresu związanego z wprowadzeniem stanu zagrożenia epidemicznego – ocenia Paweł Kolczyński, wiceprezes Agencji Rozwoju Przemysłu.

Anna Raciniewska

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 57/0320/F

eprasa.pl fe81096850

Wsparcie PZU w walce z epidemią

PZU jako jedna z pierwszych firm zareagował na zagrożenie związane z koronawirusem. Wartość pomocy dla szpitali i innych służb walczących z epidemią sięga już prawie 10 mln zł

W wyjątkowa sytuacja wymaga wyjątkowych działań. Jako największy ubezpieczyciel w Polsce czujemy szczególną odpowiedzialność i troskę o zdrowie wszystkich Polaków – deklaruje prezes PZU Beata Kozłowska-Chyła. Dowodem są kolejne inicjatywy. Najnowsza – to przekazanie chorym w szpitalach zakaźnych tzw. opasek życia monitorujących parametry życiowe.

Kiedy dwa tygodnie temu PZU, w odpowiedzi na apel Ministerstwa Aktywów Państwowych, zadeklarował przekazanie 200 samochodów służbom medycznym zajmującym się walką z epidemią, wicepremier minister aktywów państwowych Jacek Sasin skomentował na Twitterze: „@Grupa PZU to kolejny przykład SSP, nadzorowanej przeze mnie w ramach @MAPGOVPL, która w pełni rozumie znaczenie CSR".

Poczucie społecznej odpowiedzialności biznesu, a więc CSR, łączy w trudnym okresie walki z epidemią liczne spółki skarbu państwa. PZU jest jedną z nich. – Spieszymy z pomocą zawsze, gdy dzieje się coś złego. Tym bardziej więc nie pozostajemy obojętni wobec tak poważnego zagrożenia, jakim jest koronawirus – mówi prezes PZU Życie Aleksandra Agatowska.

200 samochodów od PZU ma służyć m.in. do przewożenia próbek do badań od osób pozostających w domowej kwarantannie. Pomoc, której wartość sięga prawie 2,5 mln zł, ma podwójny wymiar. Jest też wsparciem dla małych i średnich firm, od których PZU wypożycza auta, a których obroty spadły w związku ze stanem epidemii.

PONAD 6 MLN ZŁ DLA SZPITALI

Jeszcze większą finansową wartość ma pomoc udzielana przez PZU szpitalom. Otrzymują ją tzw. szpitale jednoimienne, zajmujące się osobami zakażonymi koronawirusem, ale także np. Wojewódzki Szpital Dziecięcy w Olsztynie. Na zakup sprzętu medycznego do walki z koronawirusem PZU i PZU Życie przeznaczyły 6 mln zł. Do szpitali trafiają m.in. testy do wykrywania koronawirusa, respiratory, bronchoskopy do badania tchawicy i oskrzeli oraz kardiomonitory.

Dodatkowe 300 tys. zł, a więc jedną trzecią swojego rocznego funduszu prewencyjnego, wyasygnowało należące do Grupy PZU Towarzystwo Ubezpieczeń Wzajemnych Polski Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych. Pieniądze mają służyć szpitalom do zakupu środków ochrony osobistej i materiałów sanitarnych.

KILKASET OPASEK ŻYCIA

Nowością – i to na światową skalę – są opaski życia dla zakażonych koronawirusem. To zakładane na rękę jak zegarek elektroniczne urządzenia, które monitorują podstawowe parametry życiowe pacjentów. Dokonują pomiarów pulsu i temperatury ciała, a także saturacji, a więc nasycenia krwi tlenem. Analizują wyniki i natychmiast – sygnałem dźwiękowym i komunikatem na ekranie komputera – alarmują personel medyczny, gdy parametry życiowe chorego spadną do krytycznych poziomów.

Opaski życia pozwolą na kontrolowanie stanu chorych non stop przez całą dobę. – Są połączeniem innowacyjności i służących ratowaniu ludzkiego życia nowoczesnych technologii ze społeczną wrażliwością, którą się kierujemy w biznesie. Już pod koniec zeszłego roku, we współpracy z Ministerstwem Zdrowia, wprowadziliśmy je pilotażowo w Mazowieckim Szpitalu Wojewódzkim w Siedlcach. Zdały tam egzamin, a teraz powinny się sprawdzić w trudnym momencie, gdy są najbardziej potrzebne – mówi członek zarządu PZU Życie Dorota Macieja. Jak deklaruje, PZU chce przekazać szpitalom kilkaset takich opasek.

Spółka wsparła ponadto Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny. Pieniądze pomogą w doposażeniu linii diagnostycznej do badań laboratoryjnych na obecność koronawirusa, co umożliwi skrócenie czasu oczekiwania na wyniki tych badań.

10 TYS. PORAD MEDYCZNYCH

PZU jako jedna z pierwszych firm włączył się do walki z koronawirusem. Jeszcze na początku marca PZU Zdrowie uruchomił bezpłatną pomoc telemedyczną dla wszystkich Polaków, nie tylko swoich klientów, którzy niepokoją się o swoje zdrowie w związku z epidemią. Około stu lekarzy udziela porad telefonicznie lub w formie wideokonsultacji.

Spółka zdecydowała się na zdalną pomoc medyczną, żeby ograniczyć ryzyko rozprzestrzeniania się wirusa. Taka forma pomocy nie wymaga od osób, które niepokoją się swoim stanem zdrowia, przejazdów i wizyt w placówkach medycznych, gdzie mogłyby zarażać innych albo samemu narażać się na niebezpieczeństwo zarażenia. Inicjatywa jest też wsparciem dla publicznej służby zdrowia. Spośród ponad 10 tys. osób, które skorzystały dotąd z porad telemedycznych, większość nie była klientami PZU Zdrowie.

Piotr Grochowski

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 9/0420/F

Fot. Krzysztof Bubel/Shutterstock.com

eprasa.pl fe81096850



Nic już nie będzie takie samo. W zakupach także

Warto stanąć na chwilę i zrobić pamiątkową fotografię. Świata i tych rzeczy, które drastycznie i na długo ulegną zmianie. Na przykład sportretować polski handel i e-zakupy, bo pewne rzeczy mogą się zmienić nieodwracalnie



MAKSYMILIAN WYSOCKI

Gdzie nie spojrzeć, trzeba stwierdzić, że przyszło nam żyć w ciekawych czasach, zwłaszcza pod względem zmiany naszych zwyczajów cyfrowych. Transformacja cyfrowa i bez COVID-19 następowała bardzo dynamicznie. Teraz przyspieszy jeszcze bardziej. Dotyczy to także e-zakupów, czyli branży e-commerce, której rozwój był do tej pory hamowany przez silne przywiązanie Polaków do tradycyjnych form robienia sprawunków. Ale zaraza sprawiła, że łańcuchy podaży w tradycyjnym handlu zostały właśnie zerwane.

Wzrost e-commerce od wielu lat jest ogromny, i to na całym świecie. Prześcignął już ilościowo zakupy tradycyjne. Jednak ten wzrost popularności elektronicznej formy zakupów nie prognozował, zdaniem analityków, upadku sklepów stacjonarnych. Te ciągle nas wabiły. Czasem prostym hasłem „cena czyni cuda", czasem bardziej wyrafinowanymi taktykami marketingowymi, wliczając w to specjalny dobór wystroju, muzyki czy nawet sprzyjającego zakupom zapachu. Choć cyfrowy świat coraz bardziej nas wciągał, to jednak nie chcieliśmy się zupełnie rozstać z bezpośrednim kontaktem z nabywanym towarem. Ale e-zakupy przyciągały łatwością, wygodą i szybkością, a to czas jest wartością nadrzędną w pędzącym świecie. Nagle jednak tego kontaktu fizycznego zabrakło, a świat niespodziewanie się zatrzymał. Przynajmniej obecnie (na jak długo, nie wiadomo) w kwestii zakupów dylemat tradycyjnie czy elektronicznie przestał istnieć. Pozostała tylko kwestia pewności i bezpieczeństwa.

eprasa.pl fe81096850

Czy tradycyjną Polskę czeka rewolucja

Polski **e-commerce** rozwija się najszybciej w Europie – 16,1 proc. rocznie. W sieci kupuje już 27,3 mln Polaków. Nasz rynek e-commerce, według Statista.com, wart jest obecnie 11,2 mld dol. Dla porównania niemiecki – ponad 82,1 mld dol. Choć mocno przyspieszamy, to jednak udział internetowego kanału sprzedaży w całości handlu detalicznego w Polsce jest niski. Wynosi tylko 4,3 proc. Czy teraz nastąpi gwałtowna zmiana?

SPRAWDZONY SYSTEM

Jak każda gwałtowna zmiana niesie ona szanse i zagrożenia. Można stawiać na własne sklepy e-commerce i w zależności od przyjętego rozwiązania będzie to kosztować od kilkuset (abonament w usłudze chmurowej) do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Do tego należy doliczyć wszystkie pozostałe wydatki, np. reklamy internetowej, zarówno w wyszukiwarce, jak i w social mediach, bez której nikt nas nie znajdzie. Można też działać przez bezpieczne i sprawdzone systemy.

Jednym z nich jest Allegro, które przez 20 lat stworzyło platformę, na której co miesiąc 18 mln Polaków robi zakupy u 100 tys. sprzedawców, bo tyle polskich małych i średnich firm handlowych działa na platformie. Choć już dziś ich wspólna oferta – 140 mln ofert miesięcznie – jest trudna do wyobrażenia, to Allegro planuje, że na koniec roku w serwisie będzie można wybierać spośród aż 200 mln ofert.

O polskiego klienta walczą coraz mocniej globalni gracze, tacy jak Aliexpress zyskujący – jak skarżą się polscy przedsiębiorcy – głównie na nieopodatkowanych i dotowanych przez chiński rząd przesyłkach. Do tego wkrótce ma wejść do Polski Jeff Bezos, jeden z najbogatszych ludzi na świecie, ze swoim Amazonem.

Allegro jednak nie zwalnia tempa. W ubiegłym roku zainwestowało w swój ekosystem ponad 700 mln, a w 2020 r. zamierza wydać 1 mld zł. Większość tych pieniędzy zostanie w kieszeniach kupujących, dzięki systemowi darmowych dostaw Allegro Smart! Także teraz, w czasie epidemii koronawirusa, Allegro wysyła do swoich polskich klientów indywidualnych i polskich przedsiębiorców gesty solidarności i wsparcia.

DLA PRZEDSIĘBIORCÓW

Allegro ogłosiło wart 16 mln „Pakiet wsparcia dla sprzedających", żeby pomóc polskim firmom przetrwać trudny czas pandemii koronawirusa. Celem jest wsparcie zarówno obecnych sprzedawców, jak i nowych firm dotkniętych ograniczeniami w handlu. Mogą one rozpocząć sprzedaż na platformie przy zerowych kosztach prowizji. Allegro wstrzymało też ogłoszone wcześniej podwyżki opłat, dzięki czemu sprzedawcy oszczędzą 8,5 mln zł.

Jeszcze wcześniej firma ogłosiła wartą 21 mln zł inwestycję, dzięki której każdy za darmo i bez dodatkowych warunków może przez miesiąc korzystać z bezpłatnych dostaw w ramach Allegro Smart! W ten sposób firma pomaga Polakom zorganizować swoje życie w trudnych czasach i zrobić bezpieczne zakupy przez internet.

– Ze względu na obecną sytuację w kraju i apele o pozostanie w domach oraz unikanie dużych zgromadzeń Allegro zdecydowało się wspierać tych, którzy stosują się do zaleceń, a także rodziny, które chcą zrobić zakupy dla swoich najbliższych – powiedział François Nuyts, prezes Allegro. – W tym krytycznym okresie najbliższych kilku tygodni pokryjemy koszty dostaw. Akcja będzie finansowana przez Allegro, nie liczymy na zysk. Po upływie bezpłatnego okresu usługa wygaśnie automatycznie bez żadnych opłat dla użytkowników czy zachęt do jej wykupienia. Wyłącznym celem inicjatywy jest wsparcie najbardziej potrzebujących.

Fot. allegro



Fot. Shutterstock

Biliony w sieci

Zakupy **on-line** to jedna z najpopularniejszych działalności internetowej. W 2019 r. sprzedaż detaliczna handlu elektronicznego na całym świecie wyniosła 3,53 bln dol. Zakładana globalna wartość rynku **e-commerce** za cały 2020 r. to 4,2 bln dol. W 2022 r. prognozowane przychody ze sprzedaży detalicznej w tej branży wzrosną do 6,54 bln dol. Chiny szybko przebiły USA. Dziś **e-zakupy** w Państwie Środka generują większość przychodów dla całego rynku, przy oszałamiającej jego wartości przekraczającej 1 bln dol. Drugi w rankingu rynek USA wart jest „tylko" 419 mld dol.

eprasa.pl fe81096850



Oferta biznesowa Żabki z jeszcze dłuższym okresem przychodu gwarantowanego

Sieć zmieniła proces rozmów z kandydatami, które odbywają się online

Żabka Polska właśnie wprowadziła zapowiadane już wcześniej zmiany w ofercie. Od kwietnia nowi franczyzobiorcy mogą liczyć na 16 tys. zł przychodu podstawowego, co miesiąc, przez pierwszy rok, niezależnie od obrotu. Oferta skierowana jest do wszystkich osób zainteresowanych prowadzeniem swojego biznesu. Sieć Żabka gwarantuje w pełni wyposażony i zatowarowany sklep, a także szkolenia i wsparcie. W związku z epidemią firma prowadzi rozmowy z kandydatami w ramach wideokonferencji.

– Obecnie priorytetem dla nas jest również dbanie o bezpieczeństwo, zarówno franczyzobiorców, jak i ich pracowników, ale także osób, które wkrótce podejmą współpracę z naszą siecią. Sytuacja, w której się znaleźliśmy, wymaga elastyczności i nowych rozwiązań, dlatego zmodyfikowaliśmy nasz proces rekrutacyjny tak, aby był jak najbezpieczniejszy dla wszystkich zaangażowanych osób. Biorąc pod uwagę problemy gospodarcze i trudną sytuację na rynku pracy, zdecydowaliśmy się na wprowadzenie oferty i wsparcie również z myślą o osobach, które straciły pracę i szukają nowych możliwości – mówi Adam Manikowski, wiceprezes zarządu ds. operacyjnych firmy Żabka Polska.

Poprzednia oferta Żabki obowiązywała do końca marca. Od kwietnia br., w ramach nowej oferty, sieć wydłuża okres gwarantowanego przychodu z 6 na 12 miesięcy, przy kwocie 16 tys. zł co miesiąc przez cały rok, od momentu podpisania umowy.

– Nowa oferta jest dostosowana do oczekiwań rynku, ale gwarantuje także stabilność i bezpieczeństwo na starcie, kiedy zaangażowanie przedsiębiorcy jest największe. Przez pierwszy rok co miesiąc franczyzobiorca ma zagwarantowany przychód podstawowy w wysokości min. 16 tys. zł. Ta kwota pozwala mu na spokojny rozwój i dojście do perfekcyjnego poziomu zarządzania swoim sklepem. Otwierając własny biznes, przedsiębiorca nie ma gwarancji, jaki przychód wygeneruje za pierwszy rok funkcjonowania, nasza oferta na start daje pewność przychodu w tym okresie – mówi Sebastian Bielawski, dyrektor Departamentu Rozwoju i Wsparcia Franczyzobiorców.

eprasa.pl fe81096850

NASZE WSPARCIE, TWÓJ BIZNES

Sklepy Żabka prowadzone są przez indywidualnych przedsiębiorców, którzy w ramach umowy o współpracy otrzymują zestaw narzędzi wspierających zarządzanie sklepem i finansami, które zwiększają szansę powodzenia sklepu na tle rynku. Przed podpisaniem umowy franczyzowej każdy kandydat zapoznaje się z modelem biznesowym oraz zasadami współpracy z siecią, następnie przechodzi kilkunastodniowe szkolenie operacyjne, podczas którego ma okazję zapoznać się z informacjami niezbędnymi do prowadzenia sklepu. Co ważne, każda osoba, która podejmuje współpracę z siecią Żabka, może w każdej chwili zrezygnować, co nie wiąże się z żadnymi konsekwencjami. Po podpisaniu umowy obie strony obowiązuje 30-dniowy okres wypowiedzenia. Co ważne, wkład początkowy wynosi około 5 tys. zł, czyli w przypadku rezygnacji franczyzobiorca jest w dużo lepszej sytuacji niż indywidualny przedsiębiorca, który uruchamia sklep na własną rękę, ponieważ w tym przypadku inwestycja wynosi ponad 200 tys. zł.

SKLEP POD KLUCZ OD ŻABKI

Żabka oferuje koncept i standardy współpracy, które są dużym ułatwieniem dla początkujących przedsiębiorców. Przyszły franczyzobiorca może dokonać wyboru spośród oferowanych lokalizacji sklepu, w którym chciałby prowadzić swój biznes. Za znalezienie lokalizacji i opłatę czynszu odpowiada firma Żabka Polska. Wspiera ją w tym sztuczna inteligencja, dzięki której już na etapie prezentacji lokalu kandydat może się dowiedzieć, jaki jest potencjał sprzedażowy danego lokalu. Żabka odpowiada także za zatowarowanie lokalu oraz wsparcie marketingowe, IT i logistykę. Dodatkowo franczyzobiorca może korzystać np. z aplikacji mobilnej frappka, dzięki której może na bieżąco monitorować, co się dzieje w jego sklepie, firma zapewnia także pełne wsparcie techniczne w postaci Interwencyjnych Grup Serwisowych w największych miastach w Polsce, a także program awizacji dostaw oraz program szkoleń i e-learningu. Działa także Centrum Wsparcia Franczyzobiorców, w ramach którego franczyzobiorcy otrzymują wsparcie w bieżącej działalności.

PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ I PROWADZENIE BIZNESU PO STRONIE FRANCZYZOBIORCY

Franczyzobiorca prowadzi indywidualną działalność gospodarczą i w ramach umowy o współpracy z firmą Żabka Polska jest odpowiedzialny za zarządzanie sklepem i jako przedsiębiorca odpowiada za kontrolę kosztów, prowadzenie administracji swojej działalności gospodarczej, realizację zobowiązań podatkowych i ZUS czy kwestie pracownicze. Jak każdy przedsiębiorca, jest również zobowiązany do bieżącej oceny swoich dochodów.

Działanie w ramach franczyzy Żabki zwiększa szansę skutecznej konkurencji na rynku sklepów: jak wynika z naszych danych, na dziesięciu nowych franczyzobiorców aż dziewięciu po pierwszym roku osiąga satysfakcjonujący poziom rozwoju sklepu. Wskaźnik ten w Żabce jest dużo lepszy niż na rynku tzw. sklepów niezależnych, ponieważ wg danych rynkowych średnio w pierwszym roku działalności upada ponad 30 proc. małych i średnich firm, a w przypadku branży handlowej wskaźnik ten jest jeszcze wyższy.

NOWE ZASADY ROZMÓW Z KANDYDATAMI W OBLICZU EPIDEMII

Sieć sklepów Żabka wspiera swoich franczyzobiorców i zapewnia im wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa w obliczu epidemii. Jako jedna z pierwszych sieci na rynku natychmiastowo zaczęła przekazywać bezpłatnie franczyzobiorcom środki dezynfekcyjne, rękawiczki, w całej sieci została zamontowana specjalna szyba pleksi oddzielająca kasjerów od klientów. Żabka umożliwiła także franczyzobiorcom ograniczenie liczby osób przebywających w tym samym czasie w sklepie oraz skrócenia godzin funkcjonowania. Sieć wdrożyła ponadto nowe zasady prowadzenia rozmów z kandydatami na franczyzobiorców. Proces rekrutacyjny różni się obecnie od wcześniejszego, gdyż dziś najważniejsze jest przestrzeganie zasad mających na celu ochronę naszego zdrowia.

Została wprowadzona możliwość spotkań on-line dla kandydatów na franczyzobiorców. Zarówno pierwsze, jak i kolejne spotkania mogą się odbywać w tej formie. Kadra rekrutacyjna została wyposażona w środki ochrony osobistej, czyli przede wszystkim rękawiczki i środki dezynfekujące. Z uwagi na ograniczenie funkcjonowania urzędów Żabka przygotowała prezentację, która prowadzi kandydata przez ePUAP, umożliwiając tym samym kompletowanie dokumentów w wersji cyfrowej. Ważnym elementem procesu rekrutacyjnego są oczywiście szkolenia w sklepie, jednakże i one obecnie w dużej części odbywają się on-line. Kandydaci i kandydatki na franczyzobiorców przez sześć dni szkolą się zdalnie, a sześć dni w sklepie. Podczas tradycyjnych form szkolenia zachowywane są wszystkie wymagane środki bezpieczeństwa.

Firma **Żabka Polska** Sp. z o.o. jest właścicielem największej w Polsce sieci sklepów typu convenience – ponad 6 tys. placówek prowadzonych przez blisko 4,5 tys. franczyzobiorców pod marką Żabka. Na przestrzeni 20 lat działalności na polskim rynku spółka zdobyła pozycję lidera segmentu sprzedaży convenience. Nasze sklepy są odwiedzane codziennie przez blisko 2 mln klientów, a 12 mln konsumentów mieszka nie dalej niż 300 m od najbliższej Żabki. W nowym formacie, wzbogaconym o szeroki wachlarz usług dodatkowych, funkcjonuje już ponad 5,4 tys. sklepów. Nasz biznes rozwijamy odpowiedzialnie. Do filarów CSR spółki należą: dbałość o środowisko naturalne, odpowiedzialna sprzedaż żywności, rozwój osobisty i edukacja, wsparcie lokalnych społeczności, a także dbałość o zdrowie i aktywny styl życia.

Więcej informacji na: www.zzabka.pl/franczyza

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 95/1019/F

eprasa.pl fe81096850

Firmy, które przez koronawirusa zmagają się z problemami, mogą skorzystać ze specjalnych rozwiązań. Bank Gospodarstwa Krajowego uruchamia kolejne elementy planu pomocowego dla polskich przedsiębiorców



Pakiet pomocowy dla firm. BGK wspiera polskich przedsiębiorców

BGK aktywnie się włączył w wypracowanie systemowych rozwiązań, które pomogą przedsiębiorcom przetrwać w trudnym okresie spowodowanym przez koronawirusa. Część z nich pojawiła się w przygotowanej przez rząd specustawie.

– Tarcza antykryzysowa to kompleksowy pakiet, który wesprze przedsiębiorców. Pojedyncze, nieskoordynowane rozwiązania nie przyniosłyby takich rezultatów jak holistyczne podejście, które przyjął rząd. Dużą rolę we wsparciu firm odgrywa bank rozwoju – mówi Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes BGK.

eprasa.pl fe81096850

GWARANCJE DE MINIMIS NA LEPSZYCH WARUNKACH

We współpracy z resortami finansów i rozwoju BGK przygotował nowe, lepsze warunki w programie gwarancji de minimis. Polegają one na zwiększeniu maksymalnego zabezpieczenia z 60 proc. do 80 proc. kwoty kredytu (wartość gwarancji to maksymalnie 3,5 mln zł). Bank zrezygnował z pobierania prowizji za udzielenie gwarancji za pierwszy rok gwarancji, która wcześniej wynosiła 0,5 proc., a okres kredytu obrotowego nią objętego wydłużył z 27 do 39 miesięcy. Ze zwiększonych gwarancji może już skorzystać każda firma sektora MŚP, która dotychczas spełniała kryteria określone w programie gwarancji de minimis, niezależnie od branży. Informację o dostępności gwarancji przedsiębiorcy mogą uzyskać w banku kredytującym współpracującym z BGK. Lista banków dostępna jest na stronie www.bgk.pl.

CO DAJE PRZEDSIĘBIORCOM PROGRAM GWARANCJI DE MINIMIS?

Gwarancje de minimis ułatwiają zaciągnięcie kredytu obrotowego lub inwestycyjnego firmom z sektora MŚP. BGK tworzy i proponuje rozwiązania systemowe dla sektora bankowego. Gwarancje de minimis umożliwiają bankom kredytującym zaakceptowanie wyższego ryzyka przy udzielaniu kredytu przedsiębiorcy.

– Gwarancje są skutecznym wsparciem finansowania mikro, małych i średnich firm. To zwłaszcza one cierpią na brak kapitału i zabezpieczenia, którego mogą użyć jako gwarancji spłaty swoich kredytów. Mikrofirmy, które często są biznesem rodzinnym, mogą uzyskać kredyt dzięki temu, że jego spłata jest zabezpieczona, przynajmniej częściowo, przez gwarancje de minimis – mówi Mateusz Walewski, główny ekonomista Banku Gospodarstwa Krajowego.

Środki z kredytu obrotowego mogą być wykorzystane na bieżące finansowanie działalności gospodarczej, np. na zapłacenie faktur za zakupione towary i usługi czy uregulowanie podatków, składek ZUS i innych zobowiązań, jakie powstają w związku z prowadzoną działalnością gospodarczą. Możliwe jest także finansowanie celów rozwojowych przedsiębiorstwa. Przedsiębiorcy mogą także przeznaczyć kredyt z gwarancją na spłatę kredytu obrotowego lub inwestycyjnego.

FUNDUSZ GWARANCJI PŁYNNOŚCIOWYCH

Drugim rozwiązaniem jest utworzenie Funduszu Gwarancji Płynnościowych. To z tego funduszu udzielane mają być gwarancje dla średnich i dużych firm dotkniętych skutkami pandemii COVID-19.

Parametry tego rozwiązania są następujące:

- zabezpieczenie do 80 proc. kwoty kredytu
- tylko do nowych lub odnawianych kredytów
- kwota kredytu objętego gwarancją – do 250 mln zł
- kwota gwarancji – od 3,5 mln zł do 200 mln zł
- okres gwarancji – maks. 27 miesięcy
- przeznaczenie kredytu – zapewnienie płynności finansowej

Z gwarancji de minimis lub tych udzielanych z Funduszu Gwarancji Płynnościowych będą mogły skorzystać firmy, które na 1 lutego 2020 r. nie miały zaległości w ZUS, US i banku kredytującym. Łączna wartość kredytów zabezpieczonych gwarancjami może wynieść ok. 100 mld zł, a gwarancje z Funduszu Gwarancji Płynnościowych mają być udzielane do końca 2020 r.

SYSTEM DOPŁAT DO OPROCENTOWANIA KREDYTÓW

Kolejne rozwiązanie, nad którym pracuje BGK, to system dopłat do oprocentowania kredytów, których udziela przedsiębiorcom sektor bankowy. – Nie chcemy ograniczać branż ani wielkości firm, do których to wsparcie będziemy kierować. Najważniejsze jest dla nas to, jak możemy wspomóc firmy i sektor bankowy, aby banki mogły udzielać kredytów na lepszych warunkach poprzez mechanizm dopłaty do odsetek. Nie jesteśmy dzisiaj w stanie określić, jak koronawirus wpłynie na poszczególne branże czy firmy. Dlatego nie chcemy wprowadzać ograniczeń – podkreśla prezes zarządu BGK Beata Daszyńska-Muzyczka.

WSPARCIE Z WYKORZYSTANIEM FUNDUSZY EUROPEJSKICH

Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej prowadzi zaawansowane rozmowy z Komisją Europejską w sprawie przesunięcia części środków z perspektywy finansowej 2014–2020 na wsparcie przedsiębiorstw, zwłaszcza mikrofirm. Resort wprowadził już zmiany w kredycie na innowacje technologiczne. Najważniejsze z nich to: wyższa premia technologiczna, możliwość pokrycia wkładu własnego i więcej wydatków podlegających refundacji.

Przedsiębiorcy już teraz mogą łatwiej spłacić pożyczki unijne. Pierwsza zmiana dotyczy dodatkowej, sześciomiesięcznej karencji w spłacie rat kapitałowych dla przedsiębiorców. Druga to wakacje kredytowe. W trakcie obsługi finansowania na cztery miesiące można wstrzymać spłatę zobowiązań. Trzecia zmiana to możliwość obniżenia oprocentowania pożyczki. Co więcej, w przypadku zaległości w spłacie zobowiązań na skutek COVID-19 możliwe jest niestosowanie odsetek karnych oraz niepodejmowanie działań windykacyjnych.

Wsparcie otrzymała również branża turystyczna, która już wyraźnie odczuła ekonomiczne skutki pandemii. Ułatwienia dla przedsiębiorców wprowadzono w pożyczce na rozwój turystyki w Polsce Wschodniej. Firmy mogą skorzystać z sześciomiesięcznych wakacji kredytowych oraz dodatkowej, półrocznej karencji w spłacie.

Ułatwienia w spłacie pożyczek wprowadzono także dla podmiotów ekonomii społecznej. Obejmują one: wydłużenie okresu utworzenia miejsca pracy maksymalnie do 12 miesięcy, wydłużenie okresu spłaty do 12 miesięcy, karencję w spłacie kapitału dodatkowo do sześciu miesięcy, wakacje kredytowe – zawieszenie spłaty rat kapitałowych lub kapitałowo-odsetkowych do sześciu miesięcy oraz obniżenie oprocentowania do 12 miesięcy.

Informacje o aktualnym wsparciu dla firm możesz sprawdzić na www.bgk.pl, www.biznes.gov.pl i https://pozyczki-unijne.bgk.pl/instytucje-finansujace/.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 1/0420/F

eprasa.pl fe81096850

Tabletki jak wojsko, czołgi i myśliwce



„Polska będzie odbudowywała sektor farmaceutyczny" – zapowiedział podczas sejmowej debaty nad tarczą antykryzysową premier Mateusz Morawiecki. Najbliższe tygodnie i miesiące to chyba ostatni czas, by zapowiedzi te przekuć na polityczne decyzje i legislacyjne konkrety. Pandemia koronawirusa przekonuje, że bez własnych leków i wyrobów medycznych jesteśmy jak armia bez czołgów i myśliwców



PIOTR FILIPCZYK

Zaraza zmieni nasz świat. Tak przynajmniej chce legion komentatorów, obracających po stokroć każdy aspekt spodziewanej „przemiany". O wielu przepowiedniach niebawem, jak zwykle, zapomnimy. Wydaje się jednak, że na dłużej zostanie z nami widok pozamykanych prywatnych przychodni, międzynarodowy wyścig o każdą paczkę maseczek ochronnych czy strach przed pustymi półkami w aptekach.

W Polsce temat konieczności zbudowania suwerenności zdrowotnej po pandemii przebija się nieśmiało spośród doniesień o państwowych spółkach pilnie przestawiających się na produkcję płynu do dezynfekcji i robiących za granicą gigantyczne zakupy sprzętu dla szpitali, więźniach szyjących maseczki czy rodzimych firmach farmaceutycznych na trzy zmiany produkujących leki wspomagające leczenie COVID-19. W zachodnim świecie – tak jak my dramatycznie uzależnionym od Chin i Indii wytwarzających lwią część substancji aktywnych (API) niezbędnych do produkcji leków, gotowych medykamentów i innych produktów medycznych – jest to dziś temat najważniejszy. Zwłaszcza że o ile Chiny ruszyły z produkcją, o tyle Indie właśnie wstrzymały swój eksport...

NIE MA NICZEGO

„Amerykańskie leki dla amerykańskich pacjentów, amerykańskie dostawy do amerykańskich szpitali. Musimy się zjednoczyć, aby Ameryka była naprawdę niezależnym państwem, w każdym znaczeniu tego słowa" – grzmiał na jednej z ostatnich konferencji prasowych poświęconych chińskiemu wirusowi prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump.

„(...) system farmaceutyczny jest w kryzysie. Jest to o tyle bardziej karygodne, że już doświadczaliśmy braków niektórych leków w latach 2018–2019. Ponad 530 »leków o ważnym znaczeniu terapeutycznym« było niedostępnych lub dostęp do nich był utrudniony. Wysiłek reindustrializacji musi dotyczyć w pierwszej kolejności leków. Tylko tak zapewnimy suwerenność Francji i Europy w dziedzinie farmaceutyki" – pisał w „Le Figaro" Jean-Loup Bonnamy (tekst przedrukował portal wszystkoconajwazniejsze.pl).

Na alarm biją nawet Niemcy. Tamtejsza prasa i eksperci domagają się, by natychmiast stworzyć w Unii warunki rozwoju produkcji leków generycznych. „W przetargach publicznych obligatoryjnie powinni być uwzględniani, na zasadzie stałego udziału, dostawcy, którzy wykorzystują substancje czynne produkowane na terenie Unii Europejskiej" – czytamy w jednej z wielu tego typu publikacji.

Sęk w tym, że dziś, jak przypomina Jean-Loup Bonnamy, 80 proc. cząstek aktywnych, z których wytwarza się gotowe leki, produkowanych jest poza UE, a w Europie, jak konstatuje publicysta, nie ma ani jednej fabryki paracetamolu.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl fe81096850

DEKALOG LEKOWEJ SUWERENNOŚCI

Choć w USA trwa polityczna wojna, przy której nasza polaryzacja to niewinne igraszki, bez problemu udało się zbudować poparcie obu partii dla legislacji uderzającej wprost w interesy azjatyckich producentów leków. Ustawa przygotowana przez republikańskiego senatora Toma Cottona ma nałożyć na wszystkich wytwórców gotowych produktów obowiązek informowania, gdzie powstały zawarte w nich cząstki aktywne. Żadna agencja ani instytucja rządowa nie będzie mogła też zakupić leków wyprodukowanych na chińskich API.

„Zaraza przyszła z Chin, Chiny muszą za to odpowiedzieć. Nasze zdrowie nie może zależeć od chińskich lekarstw, to śmiertelnie niebezpieczne" – przekonuje senator Cotton.

Według opublikowanych właśnie danych Chiny dostarczają USA 95 proc. ibuprofenu, 91 proc. hydrokortyzonu, 70 proc. paracetamolu, 45 proc. penicyliny, 40 proc. heparyny. W sumie 80 proc. antybiotyków trafiających na amerykański rynek pochodzi z Chin.

„Nie mamy możliwości wyprodukowania w Stanach Zjednoczonych nawet podstawowych leków wspomagających leczenie COVID-19. Nie możemy samodzielnie wyprodukować antybiotyków zwalczających infekcje, które mogą przyjść z koronawirusem, takich jak zapalenie oskrzeli czy zapalenie płuc" – mówi Rosemary Gibson, współautorka wydanej nieco ponad rok temu książki „China Rx" („Chiny na receptę").

Książka ta powinna obowiązkowo znaleźć się na biurkach naszych decydentów. To nie tylko nakreślony precyzyjną kreską obraz upadku i mrożących krew w żyłach statystyk. Rosemary Gibson i Janardan Prasad Singh przedstawiają, odnoszący się do Stanów Zjednoczonych, ale z odpowiednimi poprawkami możliwy do przyjęcia wszędzie, plan odzyskania suwerenności lekowej Zachodu. Odpowiednia legislacja, system zachęt dla rodzimego przemysłu farmaceutycznego, wywiad i kontrwywiad, dzięki którym można prześwietlić metody działania azjatyckich grup producenckich – to wszystko, przy maksymalnym wysiłku, jest możliwe. Ale podstawowe przesłanie, pierwszy punkt ułożonego przez autorów dekalogu brzmi tak: „Uznaj, że leki to strategiczny zasób, a nie towar do kupienia za najniższą możliwą cenę". Żadne regulacje nie będą bowiem skuteczne, jeśli wszyscy nie uświadomimy sobie raz na zawsze, że nowoczesne wojsko, własne banki i niezależność energetyczna mogą znaczyć niewiele, gdy przyjdzie epidemia, a nam zabraknie własnych leków czy maseczek.

> W Polsce 70 proc. leków, które kupujemy, pochodzi z zagranicy i tę zależność chcemy zmienić – mówił w grudniu 2017 r. Mateusz Morawiecki

KIEŁKUJĄCA REFLEKSJA

Powiedzieliśmy już, że w Polsce o bezpieczeństwie lekowym w dobie pandemii na razie jakby cicho. Nie znaczy to jednak, że tematu nie ma. Głosy wzywające do poważnej rewizji strategii państwa w obszarze ochrony zdrowia płyną przede wszystkim z konserwatywnej strony.

„Staje się (...) jasne, że pojęcie bezpieczeństwa narodowego musi być traktowane nie tylko poważnie, ale również szeroko. (...) Bo dziś już wiemy, że bezpieczeństwo narodowe to nie tylko armia i infrastruktura krytyczna, ale także służba zdrowia, zdolności produkcyjne w przemyśle chemicznym (środki do dezynfekcji, leki), higienicznym (maseczki) oraz tym obsługującym służbę zdrowia (respiratory, testy)" – pisał w portalu wPolityce.pl redaktor naczelny naszego tygodnika Jacek Karnowski. „Musimy mieć więcej fabryk w Polsce. Musimy produkować tyle, żeby zawsze, nawet w najgorszej opresji, dla Polaków wystarczyło wszystkiego. Musimy wziąć bezpieczeństwo lekowe na poważnie i z dobrodziejstwem inwentarza – jako wspólnota zgodzić się, że warto postawić na swoich, nawet jeśli będzie to wymagało wysiłku i pieniędzy" – dodawał w swoim felietonie redaktor naczelny „Gazety Bankowej" Maciej Wośko.

Świadomość, że problem wzmocnienia i rozwoju rodzimego przemysłu farmaceutycznego powinien wyjść z szuflady ze sprawami „na później" i szybko zamienić się w konkretne rozwiązania prawne kiełkuje też chyba w obozie władzy. Wszyscy politycy PiS, z którymi rozmawialiśmy, przyznają, że trzeba się do tego wreszcie poważnie zabrać. Ministerstwo Rozwoju (MR) zapewnia, że „bezpieczeństwo lekowe to priorytet" i podkreśla, że „w zapewnieniu skutecznych i bezpiecznych leków, które zaspokajają potrzeby zdrowotne społeczeństwa, kluczową rolę odgrywają krajowi producenci leków, którzy wytwarzają swoje produkty na terytorium Polski". Od kilku lat w MR trwają prace nad Refundacyjnym Trybem Rozwojowym (RTR), który ma rozkręcić produkcję oraz innowacyjność naszego przemysłu.

„Obecnie wszystkie nasze działania skupiają się na zabezpieczeniu jak najlepszej reakcji na rozpowszechnianie się koronawirusa. Jesteśmy świadomi, jak ważna jest rodzima produkcja leków, dlatego z pewnością będziemy kontynuować rozmowy na temat RTR" – poinformował resort minister Jadwigi Emilewicz. Ministerstwo Zdrowia, heroicznie walcząc ze skutkami pandemii, rozmawia jednocześnie z krajowymi firmami farmaceutycznymi o rozwiązaniach systemowych, dzięki którym będą one mogły zwiększać produkcję i zyskać konieczną dla inwestycji stabilizację. Tu na stole jest bezkosztowe i łatwe do wdrożenia rozwiązanie nazywane RTR Plus.

„W Polsce 70 proc. leków, które kupujemy, pochodzi z zagranicy i tę zależność chcemy zmienić" – mówił w grudniu 2017 r. Mateusz Morawiecki.

Dziś wypowiedź premiera staje się aktualna jak nigdy. Z jedną różnicą: nie „chcemy", lecz „musimy".

eprasa.pl fe81096850

NORBI, NORBERT DUDZIUK*

Najpiękniejsza plaża jest w Stegnie



Jeszcze do niedawna nieustanna zmiana miejsca była moją chorobą zawodową, ale bycie w drodze dosłownie wrosło we mnie także poza koncertami. Dam taki przykład: w styczniu pojechaliśmy z żoną na wakacje do Tajlandii. Wróciliśmy, potem jakiś czas kręciłem „Kołem fortuny" i nadszedł czas walentynek. Żona pyta: – Kochanie, co robisz w weekend? Grasz jakieś koncerty? Nie? No to co? Mówię: – Dawaj, jedziemy. Wsiedliśmy w samolot i polecieliśmy do... Włoch. Mediolan, Florencja, Bolonia... Można powiedzieć, że ścigaliśmy się z koronawirusem, choć dziś brzmi to jak bardzo czarny dowcip. Wróciliśmy niemal w ostatnim bezpiecznym momencie.

Kiedy podróżowanie było jeszcze czymś naturalnym, jak jechaliśmy w ciepłe miejsca, wybieraliśmy te z czystą wodą, piękną plażą, fajnym hotelem i żeby jeszcze było, co wokół zwiedzać. Idąc tym tropem, na naszej trasie musiała się pojawić Tajlandia, ale też Stany Zjednoczone, a w nich Kalifornia albo Floryda. Że „kto bogatemu zabroni?". Ale naprawdę, jak ktoś chciał i się postarał, mógł tam trafić po totalnej taniości. Tylko trzeba było odpowiednio wcześnie i odpowiednio dużo czasu na to poświęcić. Chociaż... ja już na to jestem trochę za stary i nie musiałem się aż tak starać.

Gdyby nie obecne okoliczności, poleciłbym w Stanach Sarasotę, miasto nad Zatoką Meksykańską, od Miami godzina samolotem. Szczycą się tam, że mają największą i najpiękniejszą plażę. Nie tylko w USA. Trochę się z tym nie zgodzę, bo najpiękniejsza jest w Stegnie, nad polskim morzem, ale niech im będzie.

Jak tylko było można, dużo jeździliśmy i lataliśmy w różne strony. Chcieliśmy skorzystać z tego, co dobrego niesie życie (a to, jak widać, bywa nieprzewidywalne). I wcale nie na końcu świata trafiliśmy coś niezwykłego. Szukałem prezentu na urodziny żony i znalazłem w internecie hotel w niesamowicie pięknym otoczeniu, nad brzegiem Jeziora Rożnowskiego. Na zdjęciach wyglądało to fantastycznie, ale dopiero po przyjeździe szczęki opadły nam do ziemi. Widoki niesamowite, jakby przeniesione z innego miejsca. Totalne zaskoczenie. Byliśmy w ultraszoku. Gdyby tam zawieźć kogoś z zamkniętymi oczami i powiedzieć: „Jesteś w Szwajcarii albo we Włoszech"... przytaknąłby bez wahania. A to było w Polsce. I byliśmy tam całkiem niedawno. W sierpniu ubiegłego roku.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

** wokalista, prowadzący „Koło fortuny"*

Fot. Baranowski/AKPA

eprasa.pl fe81096850



SŁODKO-SŁONY

Zrób sobie frajdę

ANNA MONICKA

Zanim zamknęliśmy się w domach, doszła do mnie paczka z Kalabrii. To sam nosek włoskiego kozaczka. Dalej, za Cieśniną Mesyńską, jest już tylko Sycylia. W tym górzystym, pełnym wąwozów i klifów krajobrazie rosną wspaniałe cytrusy, które można zamawiać bezpośrednio od gospodarzy pracujących na małych rodzinnych plantacjach. Wychodzi trochę drożej niż w naszych sieciówkach, ale ma się gwarancję, że owoce nie są pryskane, więc można je wykorzystać dosłownie w całości, łącznie z pestkami. Bergamotki od dawna były moim marzeniem, na miejscu dokupiłam do nich trochę pomarańczy (sycylijskich, czerwonych) i cytryn, udało mi się znaleźć ekologiczne.

Zabawa w obrabianie trwała trzy dni. Do smażenia z trzcinowym cukrem poszedł sam miąższ, obrany nawet z białych skórek. Pestki i wszystkie odpadki zebrałam i pogotowałam kilka godzin na małym ogniu, a potem zmiksowałam i przetarłam przez sito – wyszedł wspaniały, gęsty żel pektynowy. Jego częścią zagęściłam konfiturę, z reszty zrobiłam odżywczą maseczkę do twarzy. Skórki – to w nich jest największe bogactwo drogocennych olejków. Bergamotkowe posiekałam i zalałam spirytusem, pomarańczowe usmażyłam, cytrynowe ususzyłam, żeby dodawać do napojów latem albo, zmielone, do ciast.

Ale prawdziwy teatr to smażenie miąższu. Sam pomarańczowy jest za mdły, więc warto dodać i ciut cytryn, i bergamotki. Zasypane ciemnym cukrem owoce trzeba dusić kilka godzin na małym ogniu, od czasu do czasu mieszając. Potem pierwsze studzenie i sprawdzenie smaku. Ja na tym etapie dodałam trochę miodu. Następnego dnia znów podgrzewanie i po paru godzinach studzenie. Ostatniego – sprawdzamy konsystencję i dodajemy pektyny. Konfitura powinna być gęsta, lejąca, o ciemnobursztynowym kolorze. Przekładamy ją do małych wyparzonych słoiczków. Ja zamykam je na spirytus, czyli wlewam strzykawką na wierzch po kilka kropli, podpalam i zakręcam. Zakrętki wcześniej też smaruję alkoholem.

Podaję na śniadanie z ciepłymi tostami, andrutami (przekładaniec jak pischinger, kilka warstw kajmaku, a jedna cytrusowa), ale taka konfitura pasuje też do białych mięs. Jest dość wytrawna i tak przesycona zapachem słonecznych owoców, że cały dzień zaczyna lepiej smakować. Nawet w zamknięciu. Byle krótkim – tego na święta życzę.

Fot. Shutterstock, Anna Monicka



WILCZYM OKIEM

Droższy od złota

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Szeroko pojęte substancje określane mianem wonności cenione były od najdawniejszych czasów z rozmaitych względów: estetyczno-zapachowych, leczniczych, jako podnoszące prestiż, lecz również jako środki odkażające powietrze. Szlachetność wonności wynosiła je na taki poziom, że ewangeliści nie zapominają o nich, opisując zmartwychwstanie Jezusa: „Gdy minął szabat, Maria Magdalena, Maria matka Jakuba, i Salome nakupiły wonności, żeby pójść namaścić Jezusa" (Mt 16, 1). Cudowny zapach towarzyszył także objawieniom Matki Bożej.

Kadzidło, tuż obok złota, zostało także ofiarowane Jezusowi przy narodzeniu. Co interesujące wartość materialna niektórych substancji, które można by zaliczyć do pojemnej kategorii wonności, nadal jest niezwykle wysoka. Nadal też można się posłużyć dla porównania wartością złota, chociaż porównanie wypada zaskakująco: czysty, oryginalny, prawdziwy olejek z bułgarskiej róży damasceńskiej *Rosa damascena*, nazywany „płynnym złotem", osiąga ceny nawet dwu i trzykrotnie wyższe od cen złota (olejek ten nie ma nic wspólnego z rozmaitymi, naśladującymi go zapachem płynami dostępnymi powszechnie w sprzedaży).

Róża damasceńska jest różą mieszańcową, wywodzącą się m.in. od róży francuskiej *Rosa gallica* i była uprawiana już w starożytności. Jej nazwa wywodzi się od syryjskiego Damaszku – pierwotnego rejonu uprawy, jednak już od dawna najbardziej cenione są róże uprawiane w bułgarskiej Dolinie Róż, okolonej łańcuchami górskimi Starej Płaniny i Srednej Gory opadającej w kierunku Morza Czarnego.

Dlaczego bułgarski olejek różany jest taki drogi? Płatki róż zbiera się tylko tuż przed wschodem słońca. Jeden zbieracz jest w stanie pozyskać od kilku do dwudziestu kilku kilogramów wonnych płatków dziennie. Do uzyskania 1 kg olejku potrzeba natomiast 3–4 tony płatków róży damasceńskiej.

W skład płynnego, różanego skarbu wchodzi wiele substancji tworzących niezwykle długą listę i odpowiadających za jego trwałość, niepowtarzalny zapach, odkażające działanie antyseptyczne oraz właściwości lecznicze, znajdujące zastosowanie w aromaterapii, wspomagające regenerację, gojenie blizn i opóźniające starzenie skóry.

eprasa.pl fe81096850

Wojciech RESZCZYŃSKI

To się nie uda



www.wojciechreszczynski.pl

W dramatycznych opisach naszej historii stale pojawia się ten sam powiązany z sobą wątek. Z jednej strony pełne poświęcenie dla ojczyzny i bliźniego – do aktu najwyższego, jakim jest oddanie życia za drugiego człowieka. Z drugiej zaś przykłady zdrady i zaprzaństwa, sprzeniewierzenia się wspólnocie we własnym lub cudzym interesie. O tym, jakie postawy uznajemy za pozytywne, a jakie za szkodliwe, złe, stanowią systemy etyczno-moralne właściwe różnym cywilizacjom. Dla przykładu – w chrześcijaństwie szczególnie cenny był i jest model poświęcenia własnego życia w celu ratowania życia innego człowieka. Najjaśniej oświetla ten przykład osoba ojca Maksymiliana Kolbego, który osadzony w KL Auschwitz-Birkenau zgłasza gestapowcowi na placu apelowym gotowość przyjęcia kary głodowego bunkra, czyli de facto śmierci, w zastępstwie swojego współwięźnia Franciszka Gajowniczka. Parę dni temu w szpitalu w Mediolanie ponad 65-letni pacjent zarażany koronawirusem rezygnuje z podtrzymującego oddychanie respiratora i prosi lekarzy, aby podłączyli do urządzenia leżącego obok niego młodego człowieka.

Polska zakotwiczona jest w etyce cywilizacji łacińskiej, chrześcijańskiej, co nie znaczy, że nie ma w naszym kraju osób przywiązanych do innych etycznych wzorców wynikających z cywilizacji żydowskiej, turańskiej czy bizantyńskiej, a nawet islamskiej. Z obowiązku odsyłam do nauk prof. Feliksa Konecznego.

Szczególnie dziś zadajemy sobie pytania, jak to możliwe, że umieralność na koronawirusa okazuje się większa we Włoszech, w Hiszpanii czy USA niż w Chinach, które były źródłem i centrum epidemii, a dziś najprawdopodobniej wychodzą z zarazy. Dlaczego są kraje, w których epidemia nie wywołuje tak tragicznych skutków, i takie, które nie potrafiły w porę należycie ocenić zagrożenia albo je wręcz zbagatelizowały. Na te pytania nie ma prostej odpowiedzi, nie daje jej też nauka krakowskiego profesora, choć bywa pomocna. Na przykład w krajach, w których demokracja jest iluzoryczna albo jej nie ma, osiągnięcie większej dyscypliny społecznej jest możliwe tylko przez zastosowanie środków przymusu policyjnego. Dlatego jeszcze długo będziemy spekulować na temat metod walki z epidemią w Chinach i faktycznej liczby ofiar.

W krajach demokratycznych, które znalazły się w warunkach katastrofy pandemicznej, osiągnięcie wymaganej dyscypliny społecznej jest możliwe tylko dzięki zaistnieniu silnej świadomości obywatelskiej i zgody narodowej co do podstawowych wartości i celów wspólnoty. To stosunek do własnego państwa, patriotyzm, poczucie więzi narodowej i rodzinnej, zachowania prospołeczne, poziom merytoryczny i etyczny rodzimych elit rządzących i ludzi odpowiedzialnych na przykład za publiczną służbę zdrowia. Zbyt mało respiratorów może być takim właśnie skutkiem braku odpowiedzialności za własny kraj. Na tym tle, ku mojemu zdziwieniu, Polska pod względem liczby respiratorów sytuuje się całkiem nieźle, a jeszcze robi dodatkowe zakupy, a w tym czasie restrykcyjne przepisy, zakazy, kary grzywien, jedynie wspomagają przestrzeganie ogólnie oczekiwanych zachowań w interesie dobra wspólnego.

O naszej opozycji niektórzy złośliwi mówią, że jest gorsza od koronawirusa, bo atakuje już piąty rok. Czy nadzwyczajny charakter zagrożenia pandemią nie powinien być wystarczającym powodem do zakończenia tego totalnego ataku, współpracy opozycji z rządem, który zgodnie z prawem i ustrojem politycznym sprawuje władzę, rządzi? Czy w interesie Polski walczącej z epidemią o skali nieznanej na naszych ziemiach od stu lat nie należałoby wspólnie wspomagać służbę zdrowia, administrację państwową i samorządową, zwiększyć społeczną dyscyplinę wychodzenia z zarazy, zmniejszyć skutki gospodarcze, finansowe i społeczne i odłożyć polityczny spór na później, dać przykład odpowiedzialności za kraj i jego obywateli. Jakże anachroniczne jest zachowanie opozycji, zaciekle walczącej z „pisowską" władzą, tą, która uchroniła nasze szpitale przed prywatyzacją, postawiła finanse i gospodarkę na nogi, w porę zareagowała na epidemiczne zagrożenie. Opozycji wydaje się, że właśnie teraz tak rozchwieje polską łódź, że przejmie ster władzy, prezydent Andrzej Duda przegra wybory, a potem uda się wygrać Sejm i utworzyć własny rząd. To się nie uda. Polskie społeczeństwo jest zbyt doświadczone i mądre, aby ponownie zaufać partii, która na służbie zdrowia chciała „kręcić lody". Trudno też uwierzyć w troskę opozycji o bezrobotnych, o polski mały i średni biznes i polski interes narodowy. Jakże żałośnie brzmią dziś nawoływania i żądania liberalnej opozycji o publiczne pieniądze – dajcie, zapłaćcie, wspomóżcie, zwolnijcie z opłat, podatków, świadczeń, tak jakby za skutki kryzysu odpowiadał rząd. Opozycja jest dziś jak Wałęsa – za demokracją, a nawet przeciw. Pogubiła się kompletnie.

eprasa.pl fe81096850

Pukanie Platformy



Jerzy *Jachowicz*

Stojącego przy drzwiach mężczyznę z zamyślenia wyrwało charakterystyczne pukanie. Na początku trzy stuknięcia, krótka przerwa – dwa, znowu przerwa i... cztery. – To nasz człowiek – pomyślał mężczyzna. Odsunął zasuwę w drzwiach od zaplecza lokalu, wpuszczając kolejnego gościa: „Witaj, Borys". Po wskazaniu przybyszowi drogi został na swoim miejscu.

W pierwszą sobotę kwietnia w jednej z nieczynnych, ekskluzywnych restauracji na warszawskim Mokotowie grupa czołowych polityków Platformy Obywatelskiej wyznaczyła sobie spotkanie. Do zorganizowania w trybie pilnym narady, mimo szalejącej epidemii koronawirusa, zmusiło zdekonspirowanie tajemnic ulubionego przez polityków opozycji i jej zwolenników portalu SokzBuraka. Sytuacja alarmowa powstała, gdy do mediów prawicowych dotarły informacje o składzie twórców i autorów tego bezkompromisowego medium.

W dużej sali restauracyjnej, przy małych stolikach, rozstawionych dla bezpieczeństwa kilka metrów jeden od drugiego, w pojedynkę siedziało już kilka znanych postaci PO: Izabela Leszczyna, Krzysztof Brejza, Kinga Gajewska, Monika Wielichowska, Marcin Kierwiński. W roli doradcy zaproszono też Grzegorza Schetynę. Po wejściu na salę Borysa Budki Marcin Kierwiński zapytał go rutynowo: – Pamiętałeś o konspiracji? Nie miałeś ogona?

– Dlatego się spóźniłem. W przejściu podziemnym metra przy placu Bankowym mignął mi Mariusz Kamiński. Później czułem go za plecami. Zawróciłem. I tak go zmyliłem. Jak dziecko.

– Zapewniam cię – mówił półgłosem Grzegorz Schetyna do Kingi Gajewskiej – że na liście, którą przygotował nasz ekspert dla Małgosi, było wiele rzeczy, od których konstytucja jest ważniejsza. Ale z pewnością nie było wśród nich „życia człowieka".

W tym czasie Sławomir Neumann, pełniący funkcję odźwiernego, usłyszał zdecydowane pukanie. Coraz głośniejsze. – Ki diabeł? Może Mariusz Kamiński? – pomyślał, lekko pocąc się Neumann. Pukanie nie ustawało. W końcu wydusił z siebie: – Kto tam? – To ja, Małgosia Kidawa. Przepraszam, zgubiłam kartkę „Jak pukać".

CO MNIE MARTWI

Wszędzie dobrze, ale...



Katarzyna *Łaniewska*

Polskie porzekadło mówi: wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Właśnie. Jesteśmy społeczeństwem dość przewrotnym. Jak nas się prosi, żeby z domu nie wychodzić, mówi się i przekonuje, że tam najlepiej jest dbać o swoje i innych zdrowie, to wtedy huzia – my będziemy wychodzić, nam się nic nie stanie. Jest taka część naszego społeczeństwa, która uważa, że jest nietykalna. Przez nikogo ani przez nic. Tak niestety się nie dzieje. Oni nie szarżują tylko swoim życiem, lecz narażają na utratę zdrowia i życia inne osoby.

Wiele razy słyszałam od ludzi pracujących: „Byle by tylko posiedzieć w domu", „Nie mam czasu być z dziećmi", „Dawno nie rozmawiałam z rodzicami", „Jestem tak zmęczona, że szybko kładę się spać", „Lecę rano do pracy i tak w kółko". Teraz, kiedy są i mogą być w domu oraz powinni tam być i mają czas na zrobienie porządku w szafie, mogą czytać do woli, jeżeli mają chęć, i przede wszystkim mogą się zająć dziećmi, porozmawiać ze starszymi członkami rodziny, którym tej bezpośredniej rozmowy często brakuje, to... odczuwają dyskomfort. Oni tu siedzą, a życie mija. Przemijać będzie to życie bez ich biegania przez jakiś czas. Tak teraz być powinno. Miejmy jeszcze trochę cierpliwości i wytrzymałości. Tak niewiele od nas zależy, a jednocześnie tak dużo!

Osoby starsze, tak jak ja, które chwaliłam, że to pokolenie przedwojenne i niepoddające się, nie mogą się porozumiewać za pomocą nowoczesnych technologii. Może krzywdzę te osoby, ale ja, pewnie przez moje oczy, nie umiem. Telewizor – tak, telefon – tak, ale internet i inne nowoczesne narzędzia komunikacji są nieosiągalne. Jak te osoby mają się porozumiewać ze światem i zawiadamiać o swoim samopoczuciu? Jestem osobą, jak sama siebie nazywam, średniointeligentną. Choć jestem po wyższych studiach aktorskich, widzę różnicę między respiratorem a inspiratorem.

Podziwiam wszystkich lekarzy i ludzi, którzy odpowiadają na pytania w środkach masowego przekazu. Wiem, że te pytania są ważne i dużo się z nich uczymy, ale zadawajmy je na poziomie. Po co pytać, czy można otwierać okna? Zawsze można otworzyć okno, tym bardziej gdy się nie wychodzi na spacery. Siostra Marta z czeskiej telenoweli z czasów PRL „Szpital na peryferiach" i tak by przez nie nie wyfrunęła, bo „gdyby głupota miała skrzydła, latałaby jak gołębica".

eprasa.pl fe81096850

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wicek

Cokolwiek by napisać o epidemii, to wpada się albo w objęcia mdłego banału, albo w spór polityczny, w którym tzw. opozycja infantylnie szuka swojego miejsca. Kto ma oczy, ten widzi, a kto nie widzi, może mieć pretensje tylko do siebie



Aleksander Nalaskowski

Mamy więc problem z nazwaniem wszystkiego, co dzieje się dookoła. Bo język medycyny czy administracji już nie wystarczy. Dookoła dzieje się coś, czego nie potrafimy nazwać, a gdy już uda się nazwać, to jesteśmy przerażeni. Niewystarczalność języka dotyka psychologów, lekarzy, socjologów, politologów i prawników. Może im się wydaje, że mówią jasno, ale obraz staje się coraz bardziej mglisty i nieczytelny. Dlatego wolę ich nie słuchać. W przeciwieństwie do Szumowskiego czy Guza nie mają mi nic do zaoferowania.

Zastanawiałem się, jak w tym felietonie pogodzić wirusa z Wielkanocą. Bo święta będą szczególne. Pewnie mniej kiełbasiane, mniej alkoholowe, a na pewno mniej biesiadne i rodzinne. Nie chcę powielać tego, co już powiedziano. Wyrażam tylko nadzieję, ale całkiem niedużą, że parę zatwardziałych serc się rozgrzeje przy pustym grobie i stole bez gości i potem może coś z tego będzie. Szukałem drogowskazu, który pokazywałby, że istnieje jakiś związek między zarazą a Wielkanocą. A szukałem w dzieciństwie. Moim chełmżyńskim dzieciństwie. Z tego niewielkiego miasta nad sporym jeziorem pochodził Stefan Wincenty Frelichowski. Za młodu harcerz wodniak, zapalony zastępowy, znakomity uczeń (tylko z francuskim mu nie bardzo szło), dobry kolega. A ponieważ imię Stefan kolegom nie odpowiadało, to wołali go drugim imieniem – Wicek. Tak przecież bywa wśród kumpli. Po maturze Wicek poszedł do seminarium w Pelplinie, by w końcu trafić jako wikary do kościoła Najświętszej Marii Panny Toruniu. Cały czas był harcerzem i harcerzami się opiekował. Nic zatem dziwnego, że po wybuchu wojny został aresztowany przez gestapo i uwięziony w toruńskim Forcie VII, potem trafił do obozu przejściowego w Nowym Porcie, następnie do Stutthofu, potem do Sachsenhausen, a w końcu do Dachau – największej w historii katowni kapłanów. Współwięźniowie z wszystkich tych miejsc wspominają, że wszędzie był księdzem. Nagabywany przez jakiegoś księdza-współwięźnia, aby się oszczędzał, bo będzie potrzebny w wolnej Polsce, odparł, że jest kapłanem na dziś, a nie na jutro. Wszędzie odprawiał potajemne msze, spowiadał, sprawował sakramenty. Dzięki niemu w najtrudniejszych z możliwych warunkach więźniowie mogli uczestniczyć w tajnym Triduum Paschalnym. Nigdy nie narzekał, rozchodziła się wokół niego aura spokoju, ufności w Bożą Mądrość. Wcześnie dostrzeżono w nim potencjał świętości.

Gdy w Dachau wybuchła epidemia tyfusu i chorych w zasadzie bez jakiejkolwiek opieki pozostawiono w tzw. szpitalu, do którego wstęp innym więźniom był surowo zabroniony i zagrożony karą śmierci, Wickowi nie brakowało odwagi, aby mimo zakazów chodzić do chorych, pomagać im, myć, poić, dzielić się swoimi racjami żywności i nade wszystko nieść kapłańskie pocieszenie i sakramenty. Wiedział, co ryzykuje, ale jego świętość nie pozwalała mu być bezczynnym. Ryzyko się spełniło. Zaraził się tyfusem i 23 lutego 1945 r. zmarł w opinii świętości. Zmarł, bo jego kapłaństwo nie pozwoliło mu słuchać esesmańskich zakazów, bo wiedział, że trzeba ratować ginących w strasznych cierpieniach, że trzeba ich godnie odprowadzić pod drzwi domu Ojca. Bycie kapłanem do końca było dlań ważniejsze niż bycie żywym.

W czerwcu 1999 r. na toruńskim lotnisku byłem świadkiem jego beatyfikacji przez Jana Pawła II. Bo my, chłopaki z Chełmży, do końca trzymamy się razem. I z tą myślą, i z tym wzorem kapłana zostawiam Was, drodzy Czytelnicy, na te wyjątkowe Święta Wielkanocne.

Przeprosiny. W ramach ekspiacji pragnę przeprosić wszystkie osoby sprzedające na straganach, targowiskach, w kramach etc. za krzywdzące i poniżające je, zawarte w poprzednim felietonie, porównanie do Iwony Hartwich. Mea culpa.

Autopromocja

Dziękujemy!

Wszystkim, którzy w tym trudnym czasie wspierają nas w skutecznej dystrybucji, sprzedaży i dostawie bieżących wydań tygodnika „Sieci”.

Dziękujemy **pracownikom firm kolporterskich, centrów logistycznych, właścicielom i pracownikom punktów sprzedaży prasy, kurierom i listonoszom** – to dzięki Wam, Waszemu zaangażowaniu i odpowiedzialnej postawie nasi Czytelnicy mają dostęp do swojego ulubionego tygodnika „Sieci”.

To dzięki Wam jesteśmy dziś z naszymi Czytelnikami.

Z okazji nadchodzących Świąt Zmartwychwstania Pańskiego życzymy nadziei, miłości i wiary w lepsze, bezpieczniejsze jutro. Bądźmy razem.

Wydawca i zespół tygodnika SIECI

PRZEZ ŚWIETLIK

Ściema nic nie da



Wiktor Świetlik

Nie lubię się mądrzyć w sprawach religijnych, bo są i mądrzejsi, i bardziej do tego predestynowani, ale wydaje mi się, że w świętach, które nas czekają, chodzi w dużym stopniu o prawdę, która ponad dwa tysiące lat temu zwyciężyła kłamstwo, ale wciąż musi z nim walczyć.

Chyba przy tej okazji dostaliśmy też dość poważne upomnienie, i to z samej góry. Jak się nad tym trochę zastanowić, to nasze życie i to, co nas otaczało, było często lipą. Nasza rzeczywistość została całkowicie zdominowana przez socjotechnikę, public relations, marketing, reklamę, autoprezentację, lobbing, influencerów, kampanie. No i przede wszystkim narracje – jakże modne ostatnio słowo. Żadna z tych rzeczy nie jest zła sama w sobie, ale coraz bardziej ogon zaczął machać psem. Coraz częściej zaczęliśmy sami wierzyć w swoje własne bajki.

W swoje bajki zaczęli wierzyć też ideolodzy wszelkiej maści i cynicy, którzy dla pieniędzy i kariery potrafią, kiedy trzeba, udawać wyuzdanych homoseksualistów, a jak trzeba, najpobożniejszych mnichów. W swoje bajki wierzyli ci, którzy nadzieję na przyszłość zaczęli budować na pluciu na własne państwo, i ci którzy ugrzęźli w niewoli rozmaitych dogmatów, które nie dają rady w próbie z czasem.

Niestety wszystko to, cała ta – jak to kiedyś młodzież mawiała – „ściema" w starciu z Bożym biczem, jakim jest epidemia, się nie sprawdza. Nie przekona jej odpowiednio wstawiona gadka, wykupiony tekst w gazecie ani wpłata na fundację. Zupełnie to są dla niej rzeczy nieistotne. Dla nas za to bardzo. Niedawno jakaś organizacja, która wcale nie jest organizacją, i przedstawia się jako Porozumienie Chirurgów, choć wcale nie jest żadnym porozumieniem, wystąpiła do rządu ni mniej, ni więcej, tylko z apelem, by ujawnił ukrywane przez siebie przypadki śmierci osób chorych na koronawirusa. Nieistniejące porozumienie nie przedstawiło żadnych faktów na potwierdzenie tezy, że wie o tych przypadkach, a tylko o nie zapytało, sugerując, że one są. Ten apel oczywiście podbiły rozmaite Lisy i Palikoty, nakręcając ordynarne kłamstwo w środku epidemii.

Cały system jest tak skonstruowany, tak go ludzkość na tym swoim etapie wypracowała, że wszystko jest w gruncie rzeczy w pełni legalne. Więc kłamcy mogą się czuć bezpieczni, a nie ci, którzy chcą bronić często mniej atrakcyjnej prawdy. Chyba jednak nie do końca tak jest i także o tym przypominają nam te wielkie święta.

Prawdy, miłości, pokoju i oczywiście zdrowia!

9/0120/F

REKLAMA



KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Weź Pożyczkę bez wychodzenia z domu!
Zadzwoń do placówki lub pod nr 801 600 100
Pieniądze na Twoim koncie nawet tego samego dnia

kasastefczyka.pl **801 600 100**
(koszt wg taryfy operatora)

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Klientów nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Oferta skierowana do Członków Kasy Stefczyka. Konto oznacza rachunek płatniczy. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

eprasa.pl fe81096850

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Wielkanocna liturgia domowa

Koronawirus dotkliwie uderzył w naszą odwieczną tradycję



Ryszard Makowski

Trudno sobie wyobrazić święta Wielkiej Nocy bez Triduum Paschalnego, bez Drogi Krzyżowej, ale przede wszystkim bez pójścia w Wielką Sobotę ze święconką. Życie duchowe ma swoje rytuały i tak drastyczne ich naruszanie powoduje trudną do wypełnienia pustkę. Co ważne, Wielkiejnocy nie da się przełożyć na zasadzie „a może tym razem obejdziemy ją sobie w lipcu". Święta kościelne są specyficznym kalendarzem porządkującym nasze życie. Nawet komuna kombinująca, jak zastąpić Świętego Mikołaja Dziadkiem Mrozem, nie poważyła się na naruszenie powagi momentów ważnych dla katolików, które rzekomo reprezentowały wyłącznie stare babinki. Nawet w stanie wojennym, mimo godziny policyjnej, nie zabroniono pójścia na pasterkę.

Teraz dotknęło nas coś znacznie bardziej opresyjnego. Epidemia uderza w jedność rodziny. Wnuczek może być zagrożeniem dla babci. Człowiek człowiekowi koronawirusem. Jednak nie traćmy wiary. Obejdźmy uroczyście Wielkanoc. Kościół rekomenduje wiernym błogosławieństwo pokarmów w ramach liturgii domowej. Podczas śniadania wielkanocnego poświęcenia jajka do podzielenia może dokonać członek rodziny. Chyba nawet wystarczy zrobić znak krzyża. Przeżyjmy te święta z wiarą, że pokonamy niewidzialnego wroga. Kwarantanna niech będzie czasem zadumy. Może znajdziemy lepszą drogę niż ta, którą czasem automatycznie podążamy. Wywód (mój) powiał tu ciut tanią dydaktyką. Prawda. Ale w trudnych czasach najprostsze recepty mogą być najskuteczniejsze.

eprasa.pl fe81096850

***Michał Korsun prezentuje:* Szwedzka sielanka**



Wycinki z przeszłości

Tę piękną okładkę zamieścił „Przewodnik Katolicki" na Wielkanoc 1935 r. W „objaśnieniu" ilustracji czytamy:

„»A po szabacie, gdy w niedzielę świtać zaczynało, powstało wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem Anioł Pański zstąpił z nieba, a zbliżywszy się, odsunął kamień i usiadł na nim. I była postać jego niby błyskawica, a jego szaty białe jak śnieg « (Mt 28, 1,2).

Tę chwilę wyobraził artysta malarz G. Guthnerz na swoim obrazie. Anioł białoskrzydły, w szatach białych jak śnieg, jaśniejący jako błyskawica, siedzi na krawędzi. Lewą ręką wskazuje na grób, prawą wznosi ku górze. Widać, że przemawia do kogoś – my wiemy, że mówi do niewiast – że komuś objaśnia tajemnicę Zmartwychwstania.



A więc Chrystusa, gdy zmartwychwstał i płytę kamienną ciałem Swem uwielbionym przenikał, by wyjść z grobu, nie widziało żadne oko ludzkie. Zmartwychwstał samowładnie, mocą Boską, nie rozbijając kamienia, ani go nie przesuwając. Wyszedł z grobu, poprzez kamienną płytę, tak jak niezadługo wejdzie do zgromadzonych apostołów mimo drzwi zamkniętych".

I w to wierzymy.

(mk)

Modlitwa za Nich...



Leszek Długosz

Boże daj siłę pozwól wierzyć
Że ćwierć sekundy, i mniej jeszcze
Wcześniej choć i najmniejsze mgnienie
Zdążył tam Anioł Miłosierny
Twój posłaniec
Osłonił Ich swym skrzydłem, wyrwał
Uniósł i przygarnął
– Zanim runęli

Bo nie umiera tu na Ziemi
Duch sprawiedliwy, Wola prawa
Miłość czysta
Dla takiej wiary daj moc Panie
Że tam upadła w lesie katyńskim
Materia roztrzaskana tylko
A byli wzięci
Do Arki Twego Miłosierdzia
– Są ocaleni

Istoto licha
Lepianko człowiecza marna
Wierzysz tak?
– Wierzę Panie
/ Kraków, 12 kwietnia 2010 /

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl fe81096850

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Przerwa w zabawie!

„Zabawić się na śmierć” to książka nieżyjącego już Neila Postmana. Choć wydana w roku 1985, to jest jak znalazł w czasach internetu, mediów społecznościowych, a zwłaszcza kwarantanny!

DWIE ANTYUTOPIE

Postman porównuje dwie głośne antyutopie: „Nowy wspaniały świat” Aldousa Huxleya wydany w 1932 r. oraz „Rok 1984” George’a Orwella, który ukazał się w 1949 r.

„Orwell lękał się tych, którzy zakażą wydawania książek. Huxley zaś obawiał się, że nie będzie powodu do ustanawiania podobnego zakazu, ponieważ zabraknie kogokolwiek, kto zechce książki czytać. Orwella przerażali ci, którzy pozbawią nas dostępu do informacji. Przedmiotem obaw Huxleya natomiast byli ludzie, którzy dostarczą nam informacji w takiej ilości, że staniemy się bierni i egoistyczni. Orwell bał się, że nasza kultura przeistoczy się w kulturę niewolników. Huxley zaś lękał się, że ogarnie nas kultura banału, zajmująca się jakimś ekwiwalentem doznań. (...) W »Roku 1984« (...) ludzi kontroluje się przez zadawanie im bólu. »W Nowym wspaniałym świecie« to samo jest osiągane dzięki dostarczaniu przyjemności. (...) Orwell obawiał się, że zniszczy nas to, czego nienawidzimy, Huxley zaś – że to, co uwielbiamy”.

Postman mówi, że Zachód bardziej obawiał się wizji Orwella, a tymczasem spełnia się antyutopia Huxleya.

KONTROLA PRZEZ SUPERSTYMULACJĘ

Niekończący się pochód komputerowych gier. Oczekiwanie na lajki, całe morza lajków. Na okazję, by zrobić superselfie. Na kolejny odcinek serialu na Netfliksie... Memy, memy, memy! Fejki, fejki, przekomiczne fejki.

Tak, okazało się, że ludzi nie trzeba kontrolować przez zakazy, wystarczy



Zachód bardziej obawiał się wizji Orwella, a tymczasem spełnia się antyutopia Huxleya

ich przebodźcować, aby... Aby co? Aby zagubili potrzebę prowadzenia życia wewnętrznego. Aby utracili zdolność prowadzenia refleksji nad swoim losem. Aby utracili autonomię moralną. Aby utracili potrzebę podążania ku dojrzałości.

Przecież już przed wirusowym szokiem ludzie zaczęli tracić orientację w tym, co dzieje się w świecie. Czyż inaczej powstałyby tzw. bańki informacyjne? Subświaty z filtrami selekcji i interpretacji, które pozwalają oswoić choć skrawek otaczającego nas świata.

Głębokie relacje międzyludzkie wypierane przez przelotne związki. Wybierane tak, aby przyniosły jakąś wymierną i szybko dostępną korzyść lub przyjemność. Doraźna wymiana uczuć i przysług miała zastąpić trud ucierania się relacji długotrwałych – wymagających nie tylko kompromisów, nierzadko zwykłego poświęcenia cząstki siebie i wcale niesymetrycznych, bo ludzie mają różne charaktery i sporo osób dąży do dominacji.

Ciągła stymulacja bodźcami z zewnątrz nie pozwala nam wsłuchać się w swoje głębokie pragnienia. Odcina nas od wielkiego dziedzictwa ludzkości, którego jesteśmy częścią. Gęsta teraźniejszość odcina przeszłość i uniemożliwia pracę nad sobą niezbędną dla dojrzewania ku odpowiedzialnej przyszłości.

ARCHETYPY

Jeśli chcecie przypomnieć sobie stare, prawie odwieczne prawdy, sprawdzone ścieżki ku dojrzałości i dobremu życiu, to europejskie dziedzictwo ma przecież swoje drogowskazy.

Dla tych, którzy otrzymali łaskę wiary, jest Nowy Testament. A dla tych, którzy wątpią, ale lękają się pracy nad sobą, jest inna – nawet starsza – tradycja. To czytanie archetypów, mitów i symboli ludzkiej kultury. Czytanie pism Carla Junga (1875–1961), a patrząc ku źródłom – analizowanie mitologii greckiej.

Przekonującym przypomnieniem tej drugiej ścieżki okazały się książki, które w dniach kwarantanny trochę nieoczekiwanie znalazły się na stole w naszej kuchni. Pierwsza to „Psychologia mitów greckich” wydana w roku 2013. Druga to „Archetypy, mity, symbole” z roku 2019. Są to dociekania psychiatry i psychoterapeuty dr. Zenona Waldemara Dudka, z którym rozmawiała Maja Jaszewska. Sięgnijcie po nie.

Z bólem przyznajemy: wygląda na to, że w obliczu tego kryzysu socjologia jest bezradna. Sięgamy po psychologię. Ale nie tę dzisiejszą akademicką, która funkcje umysłu człowieka rozcina na słabo ze sobą powiązane skrawki. Rekomendujemy psychologię, która śmiało sięga ku źródłom człowieczeństwa.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl fe81096850

Forum wGospodarce.pl

II edycja projektu Grupy Medialnej Fratria

To platforma wymiany doświadczeń o roli inwestorów zagranicznych w polskim modelu państwa dobrobytu

- **Zainicjujemy dialog** między inwestorami obecnymi na polskim rynku, ekspertami a administracją.
- **Podsumujemy** dotychczasowy wpływ inwestycji zagranicznych na naszą gospodarkę.
- **Przeanalizujemy** postrzeganie możliwych kierunków budowania polskiej konkurencyjności.
- **Zaprezentujemy** znaczenie obecności największych marek w Polsce.

Więcej informacji w dedykowanej zakładce na

www.wgospodarce.pl

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Cyfryzacji

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Rozwoju

Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNERZY GŁÓWNI:

allegro

British American Tobacco Polska

Coca-Cola

Philip Morris Polska

VEOLIA

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

AstraZeneca

Deloitte.

emitel

JTI

NOVARTIS

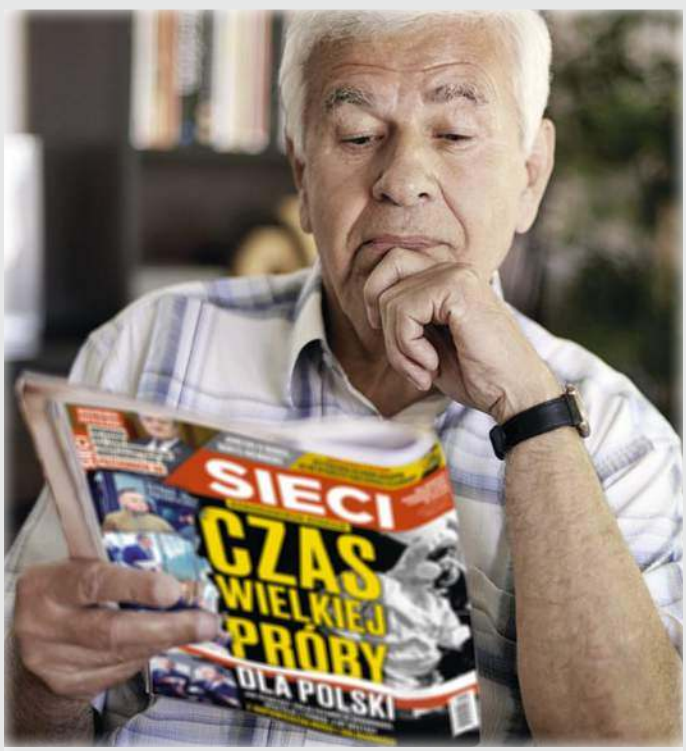
STRABAG

VELUX

eprasa.pl fe81096850

ZAMÓW SIECI
DLA SWOICH BLISKICH

ZOSTAŃCIE W DOMACH
I CZYTAJCIE SWÓJ ULUBIONY TYGODNIK



PRENUMERATA

- **do 30% taniej! Tylko 75 zł** za 3 miesiące
- tygodnik trafia **wprost do skrzynki**
- jest **bezpiecznie zafoliowany**

ZAMÓW NA:

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



E-PRENUMERATA

- **do 70% taniej!** Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
- do czytania na **komputerze, smartfonie, tablecie**
- **w prezencie** dostęp do magazynu **wSieci Historii**

ZAMÓW NA:

www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl fe81096850